

KOKAINOWE WYDMY

Powieści Carla Hiaasena

w Wydawnictwie Amber

Druga skóra Kokainowe wydmy

Pechowy fart Podwójne oszustwo Sezon turystyczny Strefa huraganu

Striptease

CARL

HIAASEN

BILL MONTALBANO

KOKAINOWE WYDMY

Przekład MACIEJ PINTARA

AMBER

Tytuł oryginału POWDER BURN

Redakcja stylistyczna KATARZYNA STACHOWICZ-GACEK

Redakcja techniczna ANNA BONISŁAWSKA

Korekta WIOLETTA WICHROWSKA

Ilustracja na okładce MARKHARRISON

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA

AMBER

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

KSIĘGARNIA INTERNETOWA WYDAWNICTWA AMBER Tu znajdziesz

informacje o nowościach i wszystkich naszych książkach! Tu kupisz

wszystkie nasze książki! <http://www.amber.supermeclia.pl>

Copyright © 1981 by William D. Montalbano and Carl Hiaasen AH rights reserved.

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 2000

ISBN 83-7245-386-1

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o. 00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel.

620 40 13, 620 81 62 Warszawa 2000. Wydanie I Druk: Cieszyńska

Drukarnia Wydawnicza

Dartowi i Connie

Prolog

Frachtowiec był zarejestrowany w Panamie. Formalność. Na kwadratowej rufie widniał koślawy napis „Night Owi”. Dwa miesiące wcześniej nazywał się „Pacific Vixen”, a przedtem „Maria Q”.

Miał trzydzieści pięć metrów długości i prawie zupełnie przerdzewiał. Kiedyś przewoził kawę z Santos i mączkę rybną z Callao. Teraz dychawiczyne diesle z trudem pchały go pod prąd. Płynął bez świateł.

Załoga zmieniała się równie często, jak nazwy statku. Tej nocy składała się z

dziewiętnastu młodych Kolumbijczyków, poszukiwaczy przygód z tropikalnego wybrzeża Karaibów, gdzie niegdyś dotarł Drake. Siedzieli rozwaleni na brudnym pokładzie. Leniwie palili papierosy i popijajali piwo. Z głośnika płynęły stare tanga argentyńskie, nadawane przez Radio Rebelde w Hawanie.

Kapitan, starszy od marynarzy, w milczeniu pociągał biały rum z butelki bez nalepki. Pożółkłą koszulkę przecinał pas karabinu M-1 z magazynów armii kolumbijskiej. W tym kraju miał wielu przyjaciół, ale dziś żadnego - ani na pokładzie, ani na morzu.

Wychylił się przez lewe okno sterowni i spojrzał na zachód. Lufa broni zahaczyła o drewniany dach.

Niebo na horyzoncie rozjaśniała łuna sodowych lamp ulicznych Miami.

Kapitan dużo słyszał o tym mieście. Zastanawiał się, jakie jest naprawdę.

Duże i hałaśliwe jak Bogota? A może małe i tętniące życiem jak Cartagena?

A kobiety? Ijacy są gringo?

Przesunął telegraf maszynowni na „Stop”, i frachtowiec zaczął wytracać szybkość. Załoga instynktownie zamilkła. Kilku marynarzy szeptało coś między sobą. Nowi wskazywali śpiące miasto.

Radio zatrzeszczało, ucichło i znów zatrzeszczało. Tylko ono rozświetlało ponurą sterownię. Nowoczesny japoński odbiornik błyszczał na tle matowego wnętrza.

7

Kapitan podał swoje współrzędne po hiszpańsku i dwukrotnie włączył światła dziobowe. Potem statek znów otoczyła ciemność.

- Ya vienen - zawołał ktoś z załogi.

Mimo wschodniej bryzy kapitan dosłyszał daleki szum, jakby znad zarośli mangrowych na południu Zatoki biscoynej nadlatywał rój pszczoł. Naliczył trzy... nie, cztery różne silniki. Każdy miał inny ton. Odgłos narastał.

Trzej marynarze zbiegli szybko pod pokład. Czwarty stanął na dziobie.

Odezwało się radio.

- „Sowa”, podaj swoje namiary. Tu „Kotka”. Podaj jeszcze raz swoje namiary.

Kapitan powtórzył współrzędne kiepską angielszczyzną. Kiedy skończył, z innej łodzi dobiegło krótkie: Basta! Potem radio ucichło.

- Spiesz się - powiedział kapitan do strażników na pokładzie. - Przygotujcie broń.

W porcie Crandon panował spokój. Żeglarze w białych butach i playboycie, z nosami posmarowanymi maścią cynkową dla ochrony przed słońcem, zawsze wieczorem znikali. Noc należała do poławiaczy krewetek i homarów; do samotników, którzy lepiej czuli się na morzu niż w mieście.

Na nabrzeże wjechał duży jeep international. Stanął tyłem do wody i po pochylni zsunęła się szybka, smukła motorówka: dziewięćmetrowa, jaskrawoczerwona donzi. Do środka wskoczyli trzej młodzi mężczyźni w ciemnych

ubraniach. Ryk dwóch potężnych mercruiserów spłoszył pelikany drzemiące na boi.

Sternik pchnął przepusznicę do przodu i moc czterystu koni mechanicznych uniosła wysoko dziób. Donzi pomknęła na południe, pozostawiając za rufą trzymetrowy grzebień piany. W lśniącym kadłubie odbijała się luna znad Miami.

- Światła! - krzyknął najniższy z mężczyzn. Sternik przyłożył do ucha zwiniętą dłoń.

-Co?

- Włącz światła! Chcesz, żeby dorwała nas Straż Przybrzeżna?

Sprzed dziobu umykały belony, iglicznie i duże trygony. Trzeci mężczyzna siedział tyłem do pozostałych i patrzył na rozpryski wody za rufą. Starł się przyzwyczaić do kołysania niewidocznych fal.

- Może strzelisz sobie piwko? - zawołał do niego sternik. Pasażer z tyłu pokręcił głową.

- Nie, dzięki. -Nie odrywał oczu od kilwatera, ciągnącego się jak półtora-kilometrowa blizna na czarnej wodzie. Niski mężczyzna z pistoletem za paskiem džinsów przysunął się do sternika.

- Co jest z Ruisem?

8

- To jego pierwszy raz. Denerwuje się.

- Jezu! Ale numer. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Hej, nie przejmuj się - uśmiechnął się sternik. - Dzisiaj to łatwizna.

- Jasna cholera - zaklął niski i cisnął do wody na wpół opróżnioną puszkę piwa.

Dwadzieścia minut później donzi rzuciła kotwicę w pobliżu Elliott Key, wyspy w kształcie buta, odległej o czternaście kilometrów od lądu. Sternik ustawił radio CB na kanał piętnasty. Rozległy się trzaski i hiszpański żargon kierowców.

- Idioci - mruknął.

Trzej mężczyźni siedzieli w milczeniu przez pół godziny. Sternik obserwował horyzont na wschodzie. Na południe płynął niezgrabny tankowiec niesiony Prądem Zatokowym. Od czasu do czasu słychać było silnik małej łodzi.

Ruis wstał i zaczął sikać za burtę. Chwiał się niczym początkujący linoskoczek. Sternik i niski wybuchnęli śmiechem.

- Skoro już tam jesteś, wciągnij kotwicę - rozkazał sternik i zerknął na złotego rolexa oyster. Zegarek był wart dwa tysiące trzysta dolarów i kosztował go jedną noc pracy. - Czas ruszać.

- Widzisz coś?

- Jeszcze nie.

Donzi skierowała się na pełne morze. Płynęła z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Fale bezlitośnie waliły w kadłub. Mężczyźni stali w otwartym kokpicie, żeby się orzeźwić. Po kwadransie sternik zamknął przepusznicę i dziób z pluskiem opadł.

- „Sowa”, odezwij się - dobiegło z głośnika. Sternik milczał.
- Dlaczego nie odpowiadają? - zirytował się Ruis.
- Zamknij się! - uciszył go niski. - Stój i patrz.
- „Sowa”, odezwij się - powtórzył głos.
- Tam! - wykrzyknął sternik i wskazał na północny wschód. Kilka kilometrów przed nimi migąło światło. Raz białe, raz zielone. Przez radio ktoś podawał po hiszpańsku liczby. Sternik donzi nie zawracał sobie głowy notowaniem. Mimo metrowych fal widział już kształt frachtowca.
- „Sowa”, odezwij się. Tu „Kotka”. Podaj jeszcze raz swoje zamiary.
- Ten facet to jakiś cholerny świr - syknął niski w donzi. - Każ mu się zamknąć.

Sternik wziął mikrofon.

- Basta! - rozkazał.
- Dobra - powiedział niski. - Do roboty.

W drodze do frachtowca wyprzedziła ich inna łódź - niebieskie magnum.

Niemal szybową nad falami. Nawet w ciemności sternik donzi rozpoznał, że załoga to Amerykanie: wysocy blondyni w tenisowych koszulkach. Dwaj z nich trzymali pistolety.

9

Półnaczy, spoceni Kolumbijczycy z „Night Owi” podawali na magnum bele towaru w tempie brygady strażackiej. Jeden z Amerykanów stał na dziobie łód/i i przekazywał kolegom jutowe tobołki. Piętnaście worków zniknęło w czeluściach pękatego kadłuba.

- Mogliby się pospieszyć - wymamrotał nerwowo Ruis.

Niski nie odezwał się, tylko zerknął wściekle na sternika. Po cholere zabrał tego mięczaka? Następnym razem nie popełni tego błędu, nie ma mowy. Magnum odpłynęła z rykiem. Wir wodny odbił się z głębokim echem od kadłuba frachtowca.

Donzi przybiła do statku. Niski przycumował. Ruis zacisnął dłonie na pleksiglasowej owiewce motorówki i spojrzał w górę. Na tle nieba rysowała się szczupła sylwetka Kolumbijczyka z karabinem.

- Cuantos? - zapytał marynarz.

- Veinte - odparł sternik w karaibskim hiszpańskim; urodził się na Kubie i tam spędził pierwsze lata życia. - Y algo mas.

Kolumbijczyk skinął głową. Ty załadujesz - rozkazał Ruisowi sternik. - Ja wchodzę na pokład.

Kolumbijczycy zaczęli rzucać niskiemu szorstkie bele. Podawał je Ruisowi, który dysząc ze zmęczenia upychał przeszło dwudziestokilowe tobołki w łodzi. Po kilku minutach donzi wypełniła się niemal po burty.

- Więcej nie wejdzie - wysapał Ruis.

- SHenzio! - zgromił go niski.

Sternik motorówki stał na pokładzie frachtowca i rozmawiał cicho z kapitanem. Od południa zbliżał się odgłos silników. Nadciągali następni klienci.

- Trzy kilo - powiedział. - Płacimy gotówką.
- Takie są zasady. Nie powinniśmy nawet przewozić tego gówna - kapitan wręczył mu brązową torbę. - Trawka to jedno, a koka... Zupełnie co innego.
- Ale opłaci ci się ryzykować, co? Twojemu bratu też? Kapitan spochmumiał.
- Widziałem go wczoraj w Miami - ciągnął sternik. - Duża bryka, ładna ita... Ostatnim razem spotkałem się z nim na tej łajbie. Teraz to panisko, wielki hurtownik.
- Bo to wielki interes, compadre - odparł ponuro kapitan. - I mnóstwo w nim iniejsca dla ludzi, którzy nie zadają pytań. Dawaj forszę.
Sternik wrócił na łódź i wydobył ze schowka pod kokpitem małą, niebieską torbę lotniczą Pan Am-u. Była wypchana.
- Szybciej - przynaglił niski. - Nie mamy już miejsca.
- Odpalaj silniki - odparł sternik.
Szybko wdrapał się po sznurowej drabince na pokład frachtowca. Niski przekręcił kluczyk zapłonu i zdławił obroty do minimum.
~ Hej, dokąd on idzie? - zdenerwował się Ruis. Walczył właśnie z trzynastą belą Niski przysunął się do niego i wcisnął mu do rąk pistolet.

10

- Opuuszczamy resztę towaru. Odwróć się plecami do statku i wetknij gnata za spodnie. Wyciągniesz go, jak ci powiem.
Na pokładzie frachtowca sternik donzi wręczył kapitanowi torbę lotniczą.
- Tu jest całość, Felix.
- Bueno. Przeliczę. - Kapitan nie odrywał wzroku od przemytnika. W jednej ręce trzymał M-1, w drugiej torbę Pan Am-u.
Sternik opuścił się na łódź jak mała. Rzucił cumę na statek i chwycił ster.
- Trzymajcie się! - krzyknął i pchnął przepustnicę do przodu. Donzi wystrzeliła przed siebie i zatoczyła łuk. Na pokład „Night Owi” bryznęła woda.
Kapitan otworzył torbę.
- Madre de Dios! - wrzasnął. - Come mierda sinvergüenza! Rzucił torbę na pokład i uniósł karabin.
- Fuego! - krzyknął. - Fuego!
Na widok błysków z frachtowca, niski schował się za burtę donzi. Potem wychylił się i zaczął strzelać z pistoletu półautomatycznego. Ręka mu drżała. Ruis nic nie rozumiał.
- Zwolnij! - zawołał. - Chryste, zwolnij!
Łódź przyspieszyła jak rakieta. Ruis poleciał na okrężnicę. Pistolet wypadł mu z ręki i zniknął za burtą. Mężczyzna chciał się czegoś chwycić, ale motorówka wybiła się na grzbiecie fali. Wyleciał przez rufę. Plusnęło, jakby w wodzie wylądował worek cementu.
- Jezu - powiedział niski.
Sternik nawet się nie obejrzał. Oczy łzawiły mu od wiatru. Łódź pędziła na wschód ku Przylądkowi Floryda.
- Jasna cholera! - zaklął niski. - Ruis umie pływać?
- Mam nadzieję, że nie; dla jego własnego dobra. - Sternik pokręcił głową. -

Mierda! Niepotrzebnie go zabrałem...

Niski już przestał się trząść.

- Co było w torbie? - zapytał.

- Tampony.

Na frachtowcu kapitan klął i pluł do morza.

Ruis unosił się na falach. Kolumbijczycy przyglądali mu się w milczeniu. Nikt nie strzelił.

- Socorro! - krzyknął Ruis. - Ratunku! - Jego głos odbił się echem. -Por favor! Tengo miedo! - Ruiz niezgrabnie utrzymywał się na wodzie. Bał się podpłynąć do drabinki; paraliżował go widok karabinów.

-Na pomoc! - zawołał płacząco. - Tiburón! Rekin! Jeden z marynarzy roześmiał się, ale kapitan uciszył go.

- Wciągnijcie go na pokład - rozkazał. Zanim wstał świt, statek zniknął.

11

1

Wszyscy znajomi w Coconut Grove jeździli już na dziesięciobiegowych rowerach, ale Meadows uważał to za bezsens. Nie ścigał się, a najbliższy pagórek był prawie pięćset kilometrów stąd. Trzy biegi całkowicie wystarczały. Właściwie mocny, brązowy raleigh, na którym pedałowal teraz wzdłuż Main Highway, miał tylko jedno przełożenie. Dwa pozostałe dawno zardzewiały.

Było jedno z tych letnich popołudni, kiedy nad bagnami Everglades zbierają się ciemne chmury, a potem wraz z deszczem i piorunami przesuwają się nad morze.

Temperatura przekraczała trzydzieści stopni, wilgotność powietrza sięgała dziewięćdziesięciu procent. Meadows ociekał potem, pedałowując wąską asfaltową alejką. Od jezdni oddzielały ją majestatyczne drzewa figowe. Grube gałęzie rzucały tylko skrawki cienia na ścieżkę rowerową i ulicę. W poprzek alejki śmigały jaszczurki. Ze starej palmy nad zatoką dochodził wrzask dzikich papug.

Chris Meadows uważał, że im większy upał, tym lepiej. O tej porze roku turyści wyjeżdżali i zostawiali Florydę miejscowym. Przynajmniej tak było dotychczas. Ostatnio osiedlało się tu coraz więcej ludzi. Od razu czuli się jak u siebie. Ubywało miejsca dla tych, którzy mieszkali tutaj od dawna.

Meadows zerknął na długi sznur pojazdów mijających kościół porośnięty bluszczem. Na każde pięć samochodów trzy miały zamknięte szyby i włączoną klimatyzację. Współczuł kierowcom. Nie widzieli jaszczurek, nie słyszeli papug i nie czuli bryzy od zatoki. Za godzinę nie złapie ich gwałtowna, krótka ulewa, która zmyje ulice. Temperatura spadnie o ponad dziesięć stopni i powietrze odświeży się. Ale oni nie odczują ulgi i stracą wspaniałe widowisko.

Meadows zastanawiał się, co zrobić. Mógł zdążyć do domu przed burzą i obserwować z ganku sztorm na zatoce, pociągając drinka. Mógł też pojechać do biblioteki, a wracając zdjąć koszulę i pedałować przed siebie w deszczu.

Obie perspektywy były nęcące.

Tego popołudnia T. Christopher Meadows miał dobry humor. Szpital dziecięcy w Nowym Meksyku był jego sukcesem. Za symboliczne pieniądze zapro-

13

jektował budynek z białej, suszonej na słońcu cegły, usytuowany u podnóża góry. Napracował się nad każdą bryłą każdym oknem, każdą krzywizną. Spacerował po okolicznych wzgórzach i oglądał, jak rośnie jego dzieło. Oceniał i analizował. Wszystko wypadło doskonale. Nawet architekci-konsultanci, którzy całe życie zajmowali się projektowaniem szpitali, nie znaleźli żadnej wady.

Meadows zwykle nie bywał na otwarciach budynków własnego projektu. Tym razem złamał tę zasadę. Dwa dni temu ciekawość zagnała go do Nowego Meksyku. W holu szpitala, na ścianie na wprost drewnianych drzwi, zostawił miejsce na krzyż. Wiedział, że bez tego placówka zdrowia nie będzie kompletna; zbudował ją dla zakonnic. Do wyrzeźbienia krzyża wybrały drobnego chłopca, samouka. Był chudy jak patyk i strasznie roztrzepany. Meadows nie powierzyłby mu nawet narąbania drewna na opał.

Mylił się. Zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko wszedł do holu. Dzieło chłopca zapierało dech. Kościsty Chrystus przypominał swego twórcę i naprawdę cierpiał na mahoniowym krzyżu. Rzeźba zdominowała hol, wyrażając bardziej przebaczenie niż ból. Meadows był pod wrażeniem. Nawet teraz, po powrocie do Miami, nie opuścił go zachwyty.

Handlowa część Coconut Grove drzemała w popołudniowym słońcu. Po ulicach spacerowało niewiele osób. Meadows minął ciemne kino, pusty park i rząd drogich, modnych butików. Coconut Grove stało się tak szykowną dzielnicą że zastanawiał się nad przeprowadzką.

Biegająca z przeciwka dziewczyna obdarzyła go zachęcającym uśmiechem. Przez moment dzielili ścieżkę rowerową. On pedałowal na północ potargany i bosy, w rozpiętej koszuli i płóciennych szortach, prawie pękających na udach. Ona truchtała na południe w satynowym sportowym stroju za siedemdziesiąt pięć dolarów, z włosami zaczesanymi do tyłu i przewiazanymi czerwoną wstążką. Ładna, pomyślał Meadows. Tylko trochę za bardzo widać, że goni za forszą. Kiedyś poznał kilka dziewczyn podczas biegania. Jedno ćwiczenie fizyczne poprzedzało drugie. Ale to już przeszłość.

Pomachał znajomemu kasjerowi w bankowym okienku dla zmotoryzowanych. Był to Bert - patrzył ponuro na ulicę. Jego widok przypomniał Meadowsowi, że w drodze powrotnej musi podjąć pieniądze. Trudno, trzeba będzie poświęcić mu kilka chwil. Biedak miał hemoroidy.

Z baru, który kiedyś był porządnym lokalem, wyszedł młody zapłakany blondyn. Ocierał łzy niebieską chusteczką w kolorze swojej koszulki, džinsów i oczu. Na drżącej, zapadłej piersi kołysał się okrągły, złoty wisiołek.

Meadows zwolnił. Zaraz nastąpi drugi akt. Nie pomylił się. Chłopak wziął głęboki oddech, zawrócił do baru i szarpnął drzwi.

- Dziwka! - wrzasnął. - Zdradliwa dziwka! Mam nadzieję, że ci to odgryzie. - W lokalu zapanowało zamieszanie. Blondyn oddalił się szybko.

14

Przyciskał do twarzy chusteczką, jak worek z lodem. Ech, młodzi i zakochani, pomyślał Meadows.

W miejscu, gdzie ulica skręcała na wschód i opadała ku zatoce, stał Arthur. Trudno było go nie zauważyć. Miał dwa metry wzrostu i warkoczyki na głowie. Jego talię opasywał białobeżowy batik, który silnie kontrastował z hebanowymi łydkami. Nie zwracał uwagi na to, że rozpalony beton chodnika parzy go w wielkie, bose stopy.

- Sie masz, Chris - zawołał.

- Jak leci? - odkrzyknął Meadows.

- Nędza, bracie. Gdzie się nie ruszę, zaraz smród. Człowiek już nie może spokojnie stać na ulicy.

Czujna policja w Miami wyznawała prostą zasadę: kto cały dzień wystaje na rogu, musi sprzedawać amfetaminę, trankwilizatory, marihuanę, kokainę albo nawet heroinę. Gliniarze patrolujący Grove regularnie czepiali się Arthura, ale nigdy go nie wsadzili.

- Potrzebny ci fundusz na ochronę - roześmiał się Meadows.

- Chrzanię to.

- Skombinuję koszulki z odpowiednim nadrukiem i zaczniemy zbiórkę.

- Spadaj, białasiu - odparł Arthur. - Zagramy później w szachy? - Nie dziś.

Pracuję nad projektem.

- Tylko zrób coś ładnego, Franku Lloydzie.

Meadows zjechał łagodnym zboczem i zatrzymał się przed biblioteką. Arthur był jego przyjacielem. Po raz pierwszy zobaczył go w podłej miejscowej jadłodajni. Murzyn siedział nad sfatygowaną książką o otwarciach szachowych. W Miami trudno o dobrego partnera do szachów, ale nikt ni z tego, ni z owego nie zaczepia obcego czarnego olbrzyma i nie proponuje partyjki. Dlatego Meadows po prostu zjadł i wyszedł.

Kilka dni później kupował ołówki i tusz w sklepie z przyborami kreślarskimi. Nagle podszedł do niego Arthur, wlokąc w wielkich łapskach dwóch nastolatków. Przyłapał ich na grzebaniu w zamkach wiekowego volkswage-na Meadowsa. Tego wieczoru zagrali nad basenem w szachy. Ku swemu rozczarowaniu Meadows przegrał.

- Ten facet wygląda jak rastafarianin, a gra w szachy jak Morphy - powiedział Meadows do swojego osaczonego króla. - No dobra, poddam się. Kim ty, u diabła, jesteś?

- Po prostu jednym z wielu uchodźców - odrzekł Arthur. W rzeczywistości był zdolnym technikiem komputerowym. Odłożył trochę pieniędzy, zapuścił włosy, i rzucił firmę. W nocy pracował jako bramkarz w małym, śródmiejskim klubie jazzowym. W dzień stał na swoim ulubionym rogu w Grove. Meadows

nigdy nie pytał, co tam robi. Wolał nie wiedzieć.

15

- Wybiera się pan do Peru, panie Meadows? Niedługo ogołoci nas pan ze wszystkich książek o Inkach - powiedziała miła, puciołowata bibliotekarka.
- Do Ekwadoru. Podobno to północna gałąź tego samego ludu. Kiedy doszło do wojny między ostatnimi potomkami Inków, założono dwie stolice - jedną w Cuzco, drugą w Quito. Meadows zastanawiał się, czy Inkom zrobiłoby jakąś różnicę, gdyby wiedzieli, że pod ich imperium leżą zasoby ropy naftowej, która po wiekach stanie się krwią cywilizacji. Ich spadkobiercom z pewnością nie było to obojętne.

Na rozległych przestrzeniach Amazonii należących do Ekwadoru odnaleziono ropę. Kraj nagle się wzbogacił, uzyskał bezprecedensową pozycję międzynarodową i członkostwo w OPEC. Czy seiior Meadows nie zechciałby zaprojektować nowej siedziby Ministerstwa Ropy w Quito? Wieżowiec, por favor, coś majestatycznego i symbolizującego nowy Ekwador. Meadows jeszcze się nie zdecydował. Nie spodobali mu się pretensjonalni, nowobogaccy oficerowie armii, których poznał. Ale z drugiej strony kusilo go nowe wyzwanie. Jak zaprojektować taki wieżowiec? Trzeba uwzględnić kolonialne dziedzictwo górzystego Quito, a jednocześnie stworzyć budowlę odporną na trzęsienia ziemi, tak częste w ekwadorskich Andach. Zanim da odpowiedź, musi odrobić pracę domową...

Uznał, że już nie zdąży do domu przed deszczem. Właśnie prosił bibliotekarkę o torbę na książki, gdy przeszkodziła mu jedna z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek widział.

Stała przed nim i uśmiechnęła się. Miała zielone oczy, jak on, i blond włosy do ramion. Ubrana była w sukienkę w szkocką kratę, białe skarpetki i białe skórzane półbuty.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Cześć.

-Nazywam się Jessica Tilden i mam pięć lat.

- O... Ja nazywam się Chris Meadows i mam trzydzieści sześć lat. Witaj?

- Jest pan sławny?

- Nie, oczywiście, że nie. A kto tak mówi?

- Moja mama.

-No cóż... Pewnie pomyliła mnie z kimś innym. Jessica Tilden zastanowiła się. Wyraźnie chciała rozmawiać dalej. Meadows nie mógł oderwać od niej wzroku. W jej twarzy dostrzegał coś znajomego.

- Nie wiesz, że nie wolno okłamywać dziewczynek? - rozległo się z tyłu.

Meadowsa przeszył dreszcz. Serce zabiło mu gwałtownie. Poczł się oszołomiony, słaby i bezbronny. Odwrócił się.

- Cześć, Sandy - powiedział cicho.

- Cześć, Chris.

Jessica to wykapana matka, pomyślał. Różniły się tylko kolorem oczu i strojem. Sandy miała niebieskie oczy i białą bawełnianą sukienkę do kolan, a

na nogach sandały. Kiedy widział ją ostatni raz, była w bikini i płakała.

16

Uścisnęli sobie ręce. Absurdalne powitanie, jak na ludzi, którzy się kiedyś kochali. Meadows nie wiedział, co dalej robić.

- Masz wilgotne dłonie, Chris.

- Pocę się. Przyjechałem na rowerze.

- Wiem, zauważyłam go na zewnątrz. Dlatego weszliśmy.

- Rany, Sandy. To już...

- Prawie sześć lat.

- Jeśli Jessica nazywa się Tilden, to...

- Wyszłam za Harolda Tildena z Syracuse.

- Syracuse... A, tak. Byłem tam. Ładne miasto. - W rzeczywistości uważał je za paskudne. Ani architektury, ani życia, ani słońca. Dno.

- A co u ciebie? - zapytała z uśmiechem.

- Nie narzekam.

- Jak dom?

- W porządku. -A łódź?

- Wciąż ta sama. Wstawiłem tylko nowy silnik.

- Masz jeszcze tamten młynek do kawy?

Och, daj spokój, Sandy, pomyślał. Nie dobijaj mnie. Kiedy w zatoce odbijały się pierwsze promienie słońca, wstawał i robił sobie kawę. Mielił ziarnistą, kostarykańską, którą przyjaciel przywoził mu z San Jose. Drażniła się z nim, że jest fetyszystą. Byłby nim każdy, kto zostawiłby ją rozmarzoną i samą w szerokim łóżku tylko po to, żeby napić się kawy. Lubiła dodawać, że musi być stuknięty.

- Młynek wysiadł. Wyrzuciłem go - skłamał.

- O? Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić bez młynka do kawy. A może ktoś ci ją robi?

- Nie - odpowiedział szybko. Bezskutecznie próbował odzyskać równowagę.

-Niewiele się zmieniłaś. To znaczy... właściwie wcale. Jak ci się żyło przez te lata?

- Och, to przeleciało tak szybko. Po naszym... po moim wyjeździe z Florydy zamieszkałam w Nowym Jorku i chciałam poszukać pracy. Ale nie zdążyłam, bo prawie od razu poznałam Harolda. Dosłownie ściął mnie z nóg

-uśmiechnęła się przepraszająco za ten zwrot. - Pobraliśmy się po dwóch tygodniach, uwierzyłbyś? A potem, bach, Jessica i Syracuse. Firma przeniosła tam Harolda. Poza tym nie zmieniłam się, to fakt. Jestem tą samą staromodną, wiejską dziewczyną, która lubi słońce na twarzy i piasek między palcami stóp. - Znów się uśmiechnęła.

Meadows nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego odeszła. Któregoś dnia wracając z biegania zastał ją skuloną na ganku. Siedziała na schodkach z głową w dłoniach. Od jakiegoś czasu wyczuwał, że coś jest nie tak, ale nie traktował tego poważnie. Nie stało się nic konkretnego. Zachowywała się z rezerwą

była nerwowa i kapryśna, a w łóżku raz nienasycona, to znów oziębła. Uznawał, że to tylko kobiece problemy i zapominał o tym. Miał wtedy mnóstwo pracy - projektował miejski dom dla milionera z Londynu. Tamtego dnia nie chciała nic wyjaśniać. Nazwała go nieczułym, ślepym egocentrykiem, ale to się już zdarzało. Po południu odeszła. Myślał, że wróci. Tymczasem zobaczył ją dopiero dziś.

- Co robisz w Miami? - spytał w końcu.

- Przyjechałam nacieszyć się słońcem i świeżym powietrzem, jak zwykle. I chciałam pokazać Jessice miasto, z którego pochodzę.

- Czy... - Meadows nie mógł wymówić słów „pan Tilden”. Jakie imię wymieniła, do diabła? - Czy twój mąż jest z tobą?

- Harold nie żyje - powiedziała cicho. - Zginął ostatniej jesieni podczas polowania na jelenie. Głupi wypadek.

- Och... Bardzo mi przykro. - Drugie kłamstwo w ciągu trzech minut.

Popatrzyła mu prosto w oczy. W jej spojrzeniu było wyzwanie; szczerze i bezpośrednio. Kiedyś Meadows podjąłby je, ale teraz? Po sześciu latach? I co z Jessiką? Dziewczynka wyszła zza rogu. Dźwigała stos książek niemal tak wysoki, jak ona.

- Mamusiu, chcę te książki.

- Nie jesteś zapisana do tej biblioteki, kochanie. Poza tym to książki dla dorosłych, nie dla dzieci.

- Chcę je. Obiecałaś mi lody. Jeśli nie mogę dostać lodów, chcę te książki.

- Kupię ci lody, kochanie. Na rogu ulicy jest cukiernia.

Meadows myślał gorączkowo. Prawie nie słuchał rozmowy matki z córką. Musiał coś postanowić. Ale co? Potrzebował czasu.

- Posłuchaj, może Jessica chciałaby popływać łodzią po zatoce? Jeśli któregoś dnia będzie ładna pogoda, to dopóki tu jesteście...

- Na pewno byłaby zachwycona - przerwała Sandy. - Zostajemy do końca tygodnia. Mieszkamy na Crestview. Zadzwoń w jakiś ładny dzień.

Cholera! Zawsze była bardziej zorganizowana od niego. Jak się pożegnać? Może pocałować ją w policzek?

Sandy nie czekała, aż się zdecyduje. Wzięła córeczkę za rękę, pomachała mu z uśmiechem i wyszła z biblioteki. Meadows wolno podszedł do roweru.

W spoconych dłoniach bezwiednie ścisnął plastikową torbę z książkami.

Bank znajdował się dwie przecznice od biblioteki. Dotarcie tam zajęło Meadowsowi trzy minuty i... sześć lat. Po wyjeździe Sandy nastąpiła seria żalonych przygód na jedną noc. Kobiety-manekiny, nadmuchiwane lalki. Nawet nie pamiętał ich imion.

Trwało to, dopóki nie spotkał Terry. Poznali się rok temu. Wystrzałowa Latina miała energię zdolną cofnąć morski przyptyk i urodę godną opiewania przez poetów. Uśmiechnął się. Nie było w tym żadnej przesady. Zakochał się bez pamięci.

A teraz zjawia się Sandy i rozdrapuje starą, zabliznioną ranę. Co ją tu przygnało - nostalgia czy tęsknota za nim? Nieważne. Chodzi o coś innego. Równanie się nie zgadza.

Sandy zostawiła go i wyjechała do Nowego Jorku. To ma sens. Jeśli chce się zmienić swoje życie, trudno wynieść się z Miami dalej niż do Nowego Jorku. Ale spotkać faceta i wyjść za niego po dwóch tygodniach? To kompletne wariactwo, zupełnie do niej niepodobne. Sandy była niemal pruderyjna. Mogła przespać się z kimś tylko wtedy, gdy go kochała. Ale poznać kogoś, by po chwili zostać jego żoną, a następnego ranka mieć z nim dziecko? Czy to sposób na wyleczenie się z poprzedniej miłości? Sandy jest na to za mądra. Meadows ustawił rower na czerwonym, ceglany chodniku przed bankiem i nagle poczuł ucisk w żołądku. A jeśli wyszła za męża nie dlatego, żeby zapomnieć o dawnej miłości, tylko żeby zalegalizować jej owoc? Może przywiozła tu córkę, by jej go pokazać, i pewnego dnia dziewczynka zrozumie...

Meadows podszedł do bankowego okienka. W głowie miał zamęt. Bert był cotygodniowym sprawdzianem jego cierpliwości; skrzywionym, powłóczącym nogami, spoconym uosobieniem niestrawności. Bez wątpienia poczęcie Berta też było pomyłką bo potem wszystko poszło nie tak.

- Jeśli masz hemoroidy, nie możesz siedzieć, tak? Więc cały dzień musisz stać. I co się wtedy dzieje? Dostajesz platfusa, tak?

Tego popołudnia Meadows nie potrafił współczuć Bertowi; myśli zaprzętała mu Sandy. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim kasjer otworzył szufladę i odliczył cztery dwudziestki i cztery piątki. Ułożył banknoty w plik, wyrównał brzegi i znów przeliczył. Meadows niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. W oszklonej klatce Berta odbijał się gorący chodnik. Mogłem włożyć buty, pomyślał Meadows. I gdzie ten deszcz? Spojrzał w niebo i zobaczył pierwszą ciemną chmurę. Jeszcze minuta, może dwie. Pedałowanie do domu w ulewie nagle przestało go pociągać.

- A lekarze? Co oni wiedzą? Biorą od ciebie kupę forsy i nic nie robią.

- Nie ma sprawiedliwości, Bert - mruknął Meadows i wziął pieniądze z metalowej szufladki, która wreszcie wysunęła się w jego kierunku.

-To prawda. Rozmawiałem z jednym naszym wiceprezesem i... Patrz na tego cholernego idiotę!

Meadows na moment stracił orientację. Zauważył wytrzeszczone oczy i rozdziawione usta Berta. Jednocześnie dostrzegł kątem oka rozmazaną, czerwoną plamę. Senną ulicą pędził z potworną szybkością samochód.

Meadows odwrócił się w prawo. Zobaczył tył forda mustanga i dwóch ludzi w środku. Przy tej szybkości nie mogli zmieścić się w zakręcie.

Kierowca najwidoczniej też to zrozumiał. Odbił w lewo, żeby zatoczyć szerszy łuk, ale stracił panowanie nad kierownicą i wpadł na przeciwległy chodnik.

Sandy Tilden trzymała córeczkę za rękę. Dziewczynka jadła lody. Nie miały szans.

Mustang uderzył obie jednocześnie. Jessica wyleciała w powietrze jak szmaciana lalka, a lody rozprysły się dookoła. Sandy dostała się pod podwozie. Samochód, wlokąc ją po ziemi, potrącił śmietnik i otarł się o ścianę budynku. W końcu zatrzymał się na latarni.

Banknoty wypadły z zeszywniałych palców Meadowsa.

- O, Boże... - jęknął. Sparaliżowało go.

U wylotu ulicy naprzeciw mustanga pojawił się bezszelestnie niski, czarny sedan. Zatrzymał się. Mężczyzna, który z niego wysiadł, poruszał się oszczędnym, zwinnym krokiem. Przypominał lekarza na ostrym dyżurze, który chce szybko dotrzeć do sali operacyjnej i nie marnuje cennej energii. Ale ten człowiek nie był lekarzem. Miał broń. Z odległości czterdziestu metrów Meadows dostrzegł czarny, złowrogi przedmiot.

Mężczyzna przystanął trzy metry od mustanga. Rozstawił nogi, wycelował i wystrzelił w samochód długą serię. Potem wrócił do swojego auta tym samym równym krokiem.

Do Meadowsa nic nie docierało. Jego umysł przestał funkcjonować. Bez zastanowienia zaczął biec w kierunku mustanga i czarnego sedana.

Przebył może połowę odległości od miejsca rzezi, gdy mężczyzna zauważył go.

Pamięć Meadowsa w ułamku sekundy zarejestrowała wizerunek mordercy: wysoki i barczysty, w ciemnych okularach. Owalna, okrutna twarz. Wydatne czoło. Gęste, czarne brwi.

Mężczyzna niedbałym ruchem uniósł broń i strzelił.

Meadows nie zdążył zorientować się w sytuacji. Bolesne szarpnięcie w prawej nodze pozbawiło go równowagi. Zatoczył się i upadł na gorący asfalt. Nie usłyszał krzyków. Nie poczuł ożywczego wiatru i nadciągającej nawałnicy. I nie zobaczył, jak gwałtowny deszcz zmywa do rynsztoka lody i krew.

2

Szczęściarz z pana. - Głos dochodził jakby z końca długiego tunelu.

Meadows leżał w białej pościeli wśród białych ścian. Podniósł wzrok na śniadego mężczyznę.

- Dlaczego?

- Pocisk wyrwał tylko kawałek ciała. Gdyby trafił w kość, byłby pan załatwiony na cacy. Dostał pan z ingrama. Pistolet maszynowy, cholernie paskudna splanuwa. Szkoda, że nie widział pan, co zostało z tamtych w mustangu.

- Kim pan jest?

20

- Nazywam się Nelson.

- Lekarz?

- Gliniarz.

Meadows z trudem podciągnął się wyżej na poduszkach. Prawą stroną ciała

przeszył ból. Ale jednocześnie rozjaśniło mu się w głowie.

Obok łóżka stali dwaj mężczyźni. Jeden był wysoki, muskularny i jasnowłosy; drugi niższy, drobniejszy i ciemniejszy. Mały wskazał blondyna.

- To Pincus, mój partner. - Meadows dawno nie widział tak krótko ostrzyżonego faceta.

- Dzień dobry, panie Meadows - odezwał się Pincus. - Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, jeśli czuje się pan na siłach.

Meadows nie czuł się na siłach. Wiedział, gdzie jest i wiedział, że jego rana jest bardziej bolesna niż groźna. Usłyszał to od pielęgniarki z wielkim biustem. Kazała mu zjeść lunch, ale odmówił, więc wyszła. Leżał tu od dłuższego czasu, pławiąc się w słońcu jak emeryt i próbując przypomnieć sobie wszystko, co się wydarzyło. Został postrzelony i trafił do szpitala. To jasne. Nie pytał o Sandy i Jessikę; nie musiał. Widział, co się stało. Zdawał sobie sprawę, że nie zapomni tego widoku do końca życia.

Pincus nieoczekiwanie wyjął białą cienką kopertę.

- To pańska własność. Zechce pan pokwitować?

Zaskoczony Meadows nagryzmolił swoje nazwisko na formularzu, który policjant mu podsunął. Rozerwał kopertę. Na koc wypadły cztery brudne banknoty dwudziestodolarowe. Popatrzył na nie tępo.

- Tuż przed postrzałem podjął pan z banku sto dolarów - wyjaśnił Pincus. - Ale znaleźliśmy tylko tyle.

Ciemny gliniarz roześmiał się.

- Brakującej dwudziestki już pan nie zobaczy. Ktoś ją zgarnął z ulicy. Na pana miejscu za połowę tego, co zostało, postawiłbym flaszkę dobrej whisky temu wielkiemu, czarnemu koleśowi.

- Arthurowi? - Meadows pamiętał, że ktoś do niego podbiegł, przyklęknął i zajął się nim. Półprzytomny z bólu nie rozpoznał, kto to.

- Zanim przyjechała karetka, całkiem sprawnie zatamował krwawienie - powiedział Nelson. - Gdyby się nie pospieszył, byłoby dużo gorzej.

Meadows skrzywił się.

- Zawołać pielęgniarkę?

- Nie, wszystko w porządku.

Twarz policjanta przesłonił dym z grubego cygara. Mężczyzna miał wąsy, głęboko osadzone oczy i długie czarne włosy. Latino, stwierdził Meadows. Prawie na pewno Kubańczyk, choć mówi doskonałym angielskim.

-Przepraszam, nie powinienem tu palić... - Nelson wykonał bardziej wyjaśniający niż usprawiedliwiający gest cygarem - ale pomyślałem, że nie będzie to panu przeszkadzać. Płuca ma pan w porządku.

21

- Su casa - odrzekł Meadows.

- Conio, chico, hablas espaniol. Que bueno.

- Si, hablo - przytaknął Meadows i przeszedł na angielski. - Ale teraz nie chce mi się wysilać.

- Nie ma problemu, amigo. Chcę zadać panu tylko jedno pytanie. Możemy

mówić po angielsku.

- Najpierw ja o coś zapytam. Złapaliście ich? -Nie.

-A złapiecie?

- Postaramy się - zapewnił Pincus.

- To znaczy, że nie złapiecie. Mam rację? Nelson wzruszył ramionami.

- Możliwe. Chyba, że pan nam pomoże. Potrafi pan opisać tego, który do pana strzelił?

Meadows odwrócił wzrok.

- Pamiętam go jak przez mgłę. Wielki facet w ciemnych okularach... Z wysuniętym czołem... Wszystko stało się bardzo szybko. Myślałem głównie o dziewczynce i jej matce.

- Zostawmy to. Jeśli przypomni pan sobie więcej, niech pan do mnie zadzwoni. Policyjny rysownik zrobi portret pamięciowy.

- Pewnie przejmie to wydział zabójstw - zauważył Pincus.

- Proszę kontaktować się ze mną - uciął Nelson. - Mam na imię Octavio. - Położył wizytówkę na stoliku obok łóżka Meadowsa.

Meadows zerknął na nią i napił się wody.

- Rozumie pan, o co w tym wszystkim chodziło?

-A co tu rozumieć? Dwóch palantów dało komuś po jajach i ktoś ich załatwił.

- Niech pan mi o tym opowie. Chciałbym coś wiedzieć.

- Wątpię, czy opłaca się w to wplątywać. To śmierząca sprawa.

- Już się wyplątałem.

- Jak cholera - zadrwił gliniarz. - Nie jest pan nawet „niewinnym, naocznym świadkiem”, jak te dwie zabite. Gazety nazywają kogoś takiego „lekkorannym, przypadkowym przechodniem”. Nawet nie wymienia pańskiego nazwiska.

Meadows z trudem się opanował.

- „Te dwie zabite” były mi bardzo bliskimi osobami.

Nelson wpatrywał się w dym, unoszący się z rozżarzonego końca cygara.

- Jasna cholera... Przepraszam, amigo - powiedział cicho. - Nie wiedziałem.

Meadowsa ogarnął gniew. Był zrozpaczony, obolały i bezsilny, a nonszalancki gliniarz działał mu na nerwy.

- Facet, który do mnie strzelił, jest odpowiedzialny za śmierć Sandy i Jes-siki. Powinien już siedzieć, na litość boską. To się stało w biały dzień!

22

- Łatwiej rozpoznać plagę, niż wytępić wszystkie szczury, amigo.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - warknął Meadows. Pincus, trzymał się dotychczas na uboczu, wkroczył do akcji.

- W tym mieście toczy się wojna narkotykowa, panie Meadows. Incydent, w którym pan ucierpiał, to jej część. Z czasem opanujemy sytuację, ale mamy ograniczone środki i nie zrobimy tego z dnia na dzień...

Rutynowa gadka, pomyślał Nelson. Sam często wygłaszał podobne teksty, tylko mniej napuszone. Teraz słuchał w milczeniu. Niech to szlag trafi; wlaź na pole minowe. Powinien był sprawdzić, czy Meadowsa coś łączyło z zabita

kobietą. Nie, to Pincus powinien to sprawdzić. To Pincus zawsze działa jak podręcznikowy gliniarz. Pisze wzorowe raporty i wykrywa wszelkie powiązania między stanowiskiem pałkarza a pierwszą bazą.

Teraz, zamiast rannej ofiary, która mogłaby podać rysopis zabójcy, Nelson miał przed sobą wkurzonego faceta.

Meadows nie wyglądał na członka straży obywatelskiej ani rozrabiacza z gatunku „opowiem wszystko prasie i poskarżę się burmistrzowi”, ale na wszelki wypadek lepiej go uspokoić. A kiedy się pozbiera, może przejrzy zdjęcia w kartotece i wskaże mordercę. Architekt powinien mieć dobre oko...

- Niech pan posłucha, amigo. Nie mam pojęcia, co pan wie o biznesie narkotykowym... - zaczął Nelson.

- Nie wiem nic. Dlaczego miałbym coś wiedzieć?

- Będzie pan tak krzyczał, to znowu zacznie pan krwawić. Ale jeśli posłucha nas pan spokojnie przez kilka minut, wyjaśnimy to i owo. Wtedy pan zrozumie, dlaczego tamta kobieta i jej córeczka zginęły, a pan został postrzelony.

Meadows zamilkł. Dopiero później zrozumiał to, co usłyszał. Jakby mówili w obcym języku!

Według Nelsona i Pincusa, południowa Floryda padła ofiarą swojego położenia geograficznego. Tysiące kilometrów plaż, setki lądowisk i pustkowia bagien Everglades przyciągają handlarzy narkotyków.

- Jeśli chodzi o prawo, porządek, sprawiedliwość i wszystkie inne wspaniałe rzeczy zagwarantowane w Konstytucji, to Stany Zjednoczone Ameryki kończą się na północnych krańcach Miami. To strefa wymiany ognia, ziemia niczyja; obojętnie, jak pan to nazwie - powiedział Nelson. - Narkotykowe centrum, amigo. Siedzą w tym wszyscy: od lekkomyślnych dzieciaków po filary społeczeństwa. Każdy się bogaci, a niektórzy giną.

Meadows dowiedział się, że z Karaibów docierają ogromne ilości marihuany; zwłaszcza z Jamajki, gdzie zbiory dają największe zyski. Jeszcze większe transporty nadchodzą z Kolumbii. Stamtąd sprowadza się też najbardziej ceniony narkotyk: kokainę. To coś dla bogaczy.

Kolumbijscy przemytnicy zorganizowali sieć przerzutu małych ilości koki.

Przewozi się ją w damskich torebkach i wysokich obcasach, ale również w brzuchach i odbytnicach. Kiedyś celnicy znaleźli dwa kilo zaszyte w zwłokach

23

trzymiesięcznego dziecka. Kiedy indziej młoda Kolumbijka zmarła po wyjściu z samolotu z Bogoty. Patolodzy stwierdzili, że miała w pochwie niemal pół kilo czystej kokainy. Plastikowe torebki popękały.

- Nie musiałyby pracować do końca życia. Zamiast tego, wylądowała na cmentarzu - mruknął Pincus.

Wraz z rozwojem rynku przemytnicy rozzuchwalili się, opowiadał dalej Nelson. Przerzut małych ilości już im nie wystarczał. Zaczęli wysyłać frachtowce z trawką i koką. Przez cieśniny Windward i Mona docierają do Cieśniny Florydzkiej. Z lądu wypływają na ich spotkanie szybkie łodzie. Na

pasach startowych na terenach Everglades lądują samoloty z tonami trawki. Czekają tam samochody, oświetlając reflektorami lądowiska. Za jeden ładunek można kupić dwanaście starych DC-3 i jeszcze coś zostanie. Od kilku lat napływa istna lawina towaru. Nie sposób jej powstrzymać. Ryzyko jest duże, ale zyski też. Dzięki narkotynom co roku przybywa milionerów w dżinsach. Są ich już setki.

Przybywa również wdów, bo narasta przemoc. Kokę od dawna destylują Kolumbijczycy. Potem dostarczają ją na Florydę i tu interes przejmują Kubańscy.

W Miami żyje pół miliona kubańskich emigrantów. Niektórzy z nostalgią wspominają czasy Batisty, gdy twardzi hombres utrzymywali kobiety i prywatne armie. Są też całe legiony młodych, którzy potrafią skradać się, strzelać i prowadzić szybkie łodzie w bezksiężycowe noce. Wyszkoliła ich CIA podczas tajnej, przegranej wojny z Fidelem Castro. Byli pilnymi uczniami i przekazują swoją wiedzę nowemu pokoleniu, wychowanemu już w Ameryce. Pieniądze z narkotyków to łatwe pieniądze. Ale coraz częściej jest na nich krew.

- Teraz rynkiem rządzą zawodowcy. Nie ma już miejsca dla cwanych amatorów. Zostało ich jeszcze trochę, ale niedługo wypadną z interesu. Przemoc zapanowała na dobre, gdy współpraca między Kolumbijczykami i Kubańczykami zaczęła się psuć. Podzieliła ich chciwość.

Kolumbijczycy postanowili sami rozprawiać swój towar i wyeliminować kubańskich pośredników. Usadowili się w Miami i zorganizowali własną sieć dystrybucji. W odpowiedzi Kubańscy zaczęli wypuszczać się do Kolumbii, kupować hurtowe ilości koki i przywozić tutaj.

Wszystko byłoby proste, gdyby jedni strzelali do drugich i na odwrót. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana: Kolumbijczycy i Kubańscy zabijają się również między sobą. I czasem bywa, że w samym środku awantury znajdzie się piękna kobieta i jej córeczka. Przykre, ale się zdarza.

- Złapiemy jednego, a dziesięciu innych idzie ze śmiechem do banku

- podsumował Nelson.

- Kto to był tym razem? - zapytał Meadows.

24

- Trudno powiedzieć - odrzekł Nelson. - Ci dwaj zabici nie mieli przy sobie papierów, choć wyglądali mi na Kolumbijczyków. Sądząc po użytej broni, zastrzelił ich Kubańczyk. Ale pewności nie ma.

- To jakiś nonsens - zaprotestował Meadows.

- Zgadza się. To bezsensowne, bezprawne i, niestety, beznadziejne. Więc jeśli następnym razem bardzo porządny gospodarz eleganckiego przyjęcia rozda łyżeczki do koki, niech pan mu to powie.

Octavio Nelson prowadził samochód. Bolała go głowa, a język szczypał od nadmiaru cygar. Zaczynały się godziny szczytu, ale do miasta jechało się jeszcze zupełnie znośnie. Słońce wisiło nad Everglades, do zmierzchu pozostało kilka godzin. Angela pracowała, więc nie spieszył się do domu.

Wróci do komendy i odwali trochę papierkowej roboty. Niezbyt udane popołudnie, pomyślał.

- Jak ktoś może być taki naiwny? - odezwał się nagle Pincus. Miał na myśli Meadowsa.

Nelson chrząknął. Meadows okazał się mniej więcej tak przydatny, jak jeszcze jedne zwłoki. W narkobiznesie działa się coś dziwnego. Tylko tak detektyw mógł wytłumaczyć pościg przez Grove w biały dzień. Handlarze zazwyczaj załatwiali porachunki bez świadków i po ciemku. Nelson musiał się dowiedzieć, o co chodzi. Ale bardzo wątpił, by pomógł mu w tym młody, rozgoryczony mężczyzna, z którym się właśnie rozstali.

- Jeśli potrafiłby wskazać mordercę, coś byśmy mieli - powiedział do Pincusa.

- Ale gdybyśmy wcześniej wiedzieli, że coś go łączyło z tamtą kobietą i jej córeczką, poszłoby nam z nim łatwiej, Wilbur.

- O, Jezu... Sprawdzalem go na wszystkie strony - zachnął się Pincus.

Wyczuł przyganę w głosie Nelsona. - U nas, u federalnych, wszędzie.

- Pytałeś o niego w Grove?

Zapadła wymowna cisza. Nelson stłumił westchnienie. Jego partner był w każdym calu gliniarzem dwudziestego pierwszego wieku. Jeśli informacje ograniczały się do formularza i figurowały w komputerze, Pincus potrafił je znaleźć. Gdyby Meadows kiedykolwiek się ożenił, Pincus wiedziałby o tym. Gdyby oboje mieli ten sam adres w prawach jazdy, Pincus by to ustalił.

Gdyby razem występowali o kredyt, Pincus doszedłby do tego. Ale jeśli po prostu przyjaźnili się, mieszkali po sąsiedzku czy sypiali ze sobą, Pincus był bezradny. Jak na razie nikomu nie przyszło do głowy, by gromadzić takie informacje w centralnym archiwum.

- Zapomnij o tym, Wilbur.

To zapewne bez znaczenia, pomyślał Nelson.

25

Kiedy Nelson wybierał się do domu, zadzwonił Roberto. Nie była to zwykła, towarzyska pogawędka; od dawna takich nie prowadzili.

- Chcę cię poprosić o przysługę, hermano.

- Co znowu?

- Chodzi o mój samochód. Stoi na Brickell Avenue, niedaleko roгатki. Trzeba go stamtąd odholować.

- Wezwij pomoc drogową.

- To nie takie proste. Żadna nielegalna sprawa, przysięgam. Tylko teraz wolę do niego nie podchodzić. Lepiej, żeby gliny to zrobiły.

- Co ty kombinujesz, por Dios?

- Później ci powiem. Głupie nieporozumienie, ale naprawdę powinien zniknąć z ulicy. Odbiorę go od was za kilka dni.

- To twój wóz?

-No jasne, a co myślałeś? Nowiutki mere 450 SEL. Kolor sahara beż. Ekstra bryka. Podam ci numery, dobra? PRW 378. Dzięki. Zadzwonię.

Octavio Nelson zaklął pod nosem. Szarpnął szufladę biurka, wyjął cygaro,

odgryzł koniec i wypluł. Niektórzy mają po prostu braci. On musi znosić zarazę imieniem Roberto.

Niektórzy bracia piją razem i wspominają stare, dobre czasy. Jeden bawi się z dziećmi drugiego i pomagają sobie, kiedy trzeba. Roberto Nelson był inny. Dopóki wszystko szło dobrze, nie pamiętał o rodzinie. Odzywał się, gdy miał kłopoty.

Roberto... Grubas o twarzy cherubina. Najstarszy i najbardziej zepsuty z nich wszystkich. Rozrabiaka. Bardzo podobny do ojca - drobnego, powolnego, powłóczącego nogami mężczyzny o rozbrajającym uśmiechu. Kiedy stary umarł...? Uliczny fotograf, który przez dwadzieścia pięć lat kręcił się z aparatem w nędznych zaułkach za Capitolio. Ćwierć wieku kiepskich zdjęć i pijackich monologów o porzuconej Irlandii, przeplatanych zdaniem w stylu: „Jakie piękne ma pani dzieci, se?ora Sánchez. Warte jeszcze kilku ujęć i portretowych odbitek”. A gdy irlandzka angielszczyzna utonęła w mojitos, to Nelson zorganizował pogrzeb. Roberto tylko płakał.

Nelson wpatrywał się cynicznie w gorącą letnią noc. Jak na człowieka, który wierzył w sprawiedliwość, widział jej cholernie mało - w rodzinie, w pracy czy gdziekolwiek indziej. Nie dlatego, że jej nie szukał. Cristo, jak bardzo jej szukał!

Nie skończył jeszcze dwudziestu lat, kiedy myślał, że ją znalazł. W górach Sierra Maestra marzył, mókł, nie dojadł i był szczęśliwy. Nosił karabin, minował mosty i żył wśród ludzi, którzy mówili o wolności i nowym porządku. Muera Batista! Viva Fidel! Nelson splunął do kosza na śmieci. Roberto nigdy nie walczył.

- Ty idź, chico, a ja zaopiekuję się rodziną - powiedział tamtej pamiętnej nocy, gdy kilkunastoletni rewolucjonista pomaszerował ze łzami w oczach

26

ku dorosłemu życiu. Zaopiekuję się rodziną, conio! Znów dancing w jachtklubie, weekend na wsi, dziewczyna na sianie. Szkoda, że Roberto nie był w Hawanie tamtego styczniowego ranka, kiedy do miasta wkraczali guerrillas. Nikt nie miał piękniejszej czerwono-czarnej flagi i nie klaskał głośniej. Tego dnia to Roberto płakał, a młody, zahartowany dowódca drużyny przyglądał się mieszaninie uwielbienia, niechęci i niewypowiedzianego niepokoju o polityczną przyszłość.

Roberto nie był również na plaży Giron, gdy rozczarowany rewolucją Nelson, dowodząc oddziałem emigrantów, pod osłoną ciała zabitego kolegi błagał o wsparcie z powietrza. Nie doczekał się.

Ale żadna siła nie wyciągnęłaby Roberto ze stadionu Orange Bowl, gdzie wiwatował na cześć młodego prezydenta, który obiecywał, że pewnego dnia w wolnej Hawanie załopocze zakrwawiona w bitwach flaga. Octavio Nelson nie został na przemówieniu; wyszedł po powitaniu.

W nowej ojczyźnie Roberto najpierw podawał się za prywatnego przedsiębiorcę. Teraz twierdzi, że jest dyrektorem. Czego? Jakiegoś Coś-Tam-In-ternational, zapewne. Zawsze „ustawia coś dużego” - tak to lubi

określać w nienaganej angielszczyźnie. Nawet przy rodzinie nie mówi po hiszpańsku. To nie pasuje do jego nowego wizerunku.

Stary, poczciwy Bobby Nelson. Rezydencja nad zatoką, wielka łódź i grafitowe rakiety tenisowe. Żona dekoratorka wewnątrz, wakacyjny domek w Północnej Karolinie. Dzięki Bogu, że nie mają dzieci. Skorzystałyby z programu oświatowego Ivy League dla mniejszości narodowych i mówiłyby rówieśnikom, że urodziły się na Beacon Hill.

Octavio Nelson wiedział, że jego brat to kombinator. Popelnia mniejsze i większe przestępstwa, byle tylko nie ubrudzić sobie rąk. Roberto zawsze jest do dyspozycji. Czarujący uśmiech, mocny uścisk dłoni i obietnice bez pokrycia.

Teraz przemycza narkotyki. Jeszcze jeden zachłanny dyletant z Miami. Lubi nadażać za modą i popisywać się. Pewnie nawet ma dwie identyczne, złote łyżeczki do koki. Dla siebie i dla niej.

Ma również brata gliniarza, który łapie handlarzy. Ryzykowne, ale opłacalne. Octavio zawsze będzie przede wszystkim bratem, a dopiero w drugiej kolejności policjantem. Roberto wiedział o tym i liczył na to.

Octavio Nelson długo siedział i rozmyślał. Komenda opustoszała. Czy jeszcze raz spełnić prośbę brata? Jeśli to zrobi, zapewne stanie się współnikiem przestępstwa. Jeśli tego nie zrobi, ktoś może ucierpieć. Ale z pewnością nie ta nędzna kreatura Roberto.

Nelson westchnął ciężko i podniósł słuchawkę czarnego telefonu. Połączył się z przyjacielem w policyjnym garażu.

- Tommy, tu Nelson. Możesz wyświadczyć mi przysługę? Muszę ściągnąć samochód z Brickell. Beżowy mercedes. Stoi niedaleko wjazdu na szosę, na grobli. - Wyrecytował numer rejestracyjny. - Jutro wypełnię papiery.

27

- Jasne, nie ma sprawy. Dziś nie narzekamy na nadmiar roboty.

- Dzięki. Aha... posłuchaj. Powiedz chłopakom, żeby ostrożnie zajrzeli pod maskę, zanim wezmą go na hol. W tym aucie może być bomba.

3

Kiedyś, gdy mężczyźni byli młodzi i mieszkali na Kubie, nad długimi rzędami drewnianych stołów, na honorowym miejscu zasiadał lector. Nie patrzył na rzemieślników, zręcznie zwijających i przycinających liście o intensywnym zapachu. I oni nie patrzyli na niego. Spieszyli się. Produkowali zabawki dla bogaczy.

Lector co rano przynosił lokalne gazety. Czytał głośno, wolno i wyraźnie, żeby wszyscy go słyszeli i rozumieli. Zaczynał od wiadomości i artykułów wstępnych, potem przechodził do sportu i komiksów. Przez cztery godziny tej usypiającej lektury każdy tabaquero robił setkę cygar.

Długie, gorące popołudnia dostarczały tematów do głębszych przemysleń.

Lector czytał wtedy powieści historyczne i romanse. Następne cztery godziny słuchania i kolejna setka cygar.

Teraz lectores należą do przeszłości, jak uliczni latarnicy. Zastąpiło ich radio.

Dziś odbiorniki tabaqueros z Miami grają głośno. Płynie z nich latynoska muzyka, żałobny lament po straconej ojczyźnie, natrętne zaproszenie do konsumpcyjnego społeczeństwa. Popołudnia wypełniają opery mydlane. Ręce pieszczące aksamitne liście pozostały takie same. Wciąż są szybkie, zwinne i czułe. Tylko słuch tabaqueros nie jest już taki, jak kiedyś. Mężczyźni przeżyli lectores, ale nie przetrwają stulecia. I nie mają tu następców. Młodzi Kubańcy w Miami prowadzą ciężarówki, uczą w szkołach, kierują bankami, przemycają kokę. Nie zwijają cygar.

Tylko starzy ludzie przychodzą co rano do fabryczek cygar w Miami. Podtrzymują tradycję, są cierpliwi i dumni. Jak ci trzej z firmy Matanzas w bocznej uliczce niedaleko Orange Bowl. Dopóki żył Pepin, było ich czterech. Elberto też mógłby tu pracować, gdyby chciał. Zwijał już cygara dla książąt i prezydentów Kuby. Ale Elberto to leń. Cabrón. Woli grać w domino. Dzień i noc. Jest bezużyteczny jak stara kobieta. I lubi drażnić się ze swoimi przyjaciółmi.

- Głupcy! - krzyczy, kiedy mija ławkę, na której czekają na autobus. - Nie musicie harować. Niech Tio Sam płaci za wasze frijoles. Już się w życiu napracowaliście. Nie wiecie, gdzie się odbiera ubezpieczenie społeczne? Chodźcie, pokażę wam.

Głupcy? To Elberto jest głupi, pomyślał Jesus. Pewnego dnia zrozumie, jak ważne było robienie cygar w Matanzas. Będzie patrzył z zazdrością, gdy

28

cała Mała Hawana stłoczy się przed fabryczką, żeby uścisnąć dłonie tabaqueros i poklepać ich po plecach. Wtedy zobaczy, kto był głupcem. To Jesus co rano otwierał rozchwiane drzwi, robił cafecitos i rozkładał wonne liście do produkcji. Teraz sprowadzano je z Republiki Dominikańskiej, a otulinę z Kamerunu. Ale nasiona tytoniu do tamtejszych upraw przemycano z Kuby. Efekt był doskonały; surowiec miał lepszą jakość niż z plantacji w Hondurasie i na Wyspach Kanaryjskich, gdzie zaopatrywali się inni emigracyjni wytwórcy. Czy jednak dorównywał kubańskiemu? Ni hablar. To oczywiste, że go przewyższał! Jesus jeszcze nie spotkał komunisty, który potrafiłby uprawiać tytoń, a tym bardziej zwijać cygara.

To Jesus karmił kurczaki na skrawku zieleni za fabryczką i nastawiał radio. Pedro i Raul żartowali, że musi wykonywać te prace, bo jest dzieckiem zakładu. Jesus wiedział, że tego od niego oczekują bo jest ich naturalnym przywódcą. Miał siedemdziesiąt cztery lata.

To on opróżniał popielniczkę, ścierał kurze i włączał klimatyzację w małym biurze na tyłach wytwórni. Dźwiękoszczelny pokój wyłożono grubą drewnianą boazerią. Stało tu nowoczesne biurko, obrotowy fotel i telefon z wieloma przyciskami. Gabinet wyprzedzał o sto lat resztę fabryczki. Tylko z tego powodu trzej mężczyźni co rano stawiali się do pracy. Wierzyli, że dzielny człowiek, który urzęduje w dźwiękoszczelnym pokoju, pewnego dnia poprowadzi ich z powrotem na Kubę. Tej tajemnicy nigdy nie pozna namiętny gracz w domino, głupi Elberto. Cabrón.

Starzy mężczyźni zawsze słuchali tej samej rozgłośni dla emigrantów kubańskich. Najbardziej lubili radiowe dyskusje polityczne. Siedzieli niczym rodzina przy kolacji wokół zniszczonego tambol, błyszczącymi chavetas przycinali cygara i przytakiwali siwymi głowami każdej nowej przepowiedni rychłego upadku el tirano. Castro. El verdugo. Świni.

Byli dumni, że są zorientowani o wiele lepiej niż inni emigranci, którzy muszą słuchać wiadomości. Mężczyzna w małym biurze zawsze wiedział pierwszy, czy wydarzyło się coś nowego - nieurodzaj, katastrofa lotnicza, poważny sabotaż, dezercja. Przekazywał to swoim tabaqueros, strzegącym wiernie jego twierdzy.

Ale szczegóły trzymał w sekrecie. Mogły być niebezpieczne. W el barrio roiło się od szpiegów. Skinienie głową. Tryumfalny uśmiech. Uniesiony kciuk. Wzruszenie ramion. To wystarczyło. Starcy rozumieli. Trudna walka trwa. Tego ranka mężczyzna przyszedł przygnębiony. Nic dziwnego; radio doniosło o nowym zwycięstwie Kubańczyków w Afryce. Musiało go to zabołec. Ścisnął Jesusa za ramię, wziął Churchilla ze stojaka Raula i bez słowa zniknął u siebie.

Wykonał dwa telefony. Pierwszy do wieżowca nad zatoką Biscayne.

- Kancelaria prawnicza.

- Z panem Redbirtem proszę. - Jego angielski był bez zarzutu.

29

- Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

- Morgan Jones.

- Łączę...

- Dzień dobry - powiedział. - Jak rozumiem, są jakieś kłopoty.

- Jezu Chryste, dzwoni pan w samą porę. Wszystko się wali. Nie wiem, co robić.

- Słucham.

- Nic nie nadchodzi. Od tygodnia nie można zdobyć nawet kilkudziesięciu gramów. Jeszcze trochę i wpadnę w gówno po uszy. W mieście roi się od glin i Kolumbijczyków. Nie wiemy, od kogo kupować. Nie wiemy, który towar jest dobry. Ludzie dostają świra. Odbiorcy nie chcą czekać.

- To tylko przejściowy problem. Rozwiążemy go. Może pan uspokoić odbiorców w moim imieniu. Wszystko będzie dobrze.

- W pańskim imieniu? Nawet nie wiem, kim pan jest, do cholery! Jak długo mam prowadzić ten interes tylko przez telefon? Odzywa się pan raz na kilka miesięcy i nie widziałem pana na oczy.

-1 tak zostanie, dopóki panu nie powiem. Tak było do tej pory i tak będzie dalej.

- Nie ma mowy. Sprawy się komplikują, giną ludzie... Musimy się spotkać.

- Nie, przyjacielu, nie spotkamy się. Będzie pan robił, co panu każe. -Nie dam rady. Nie...

- Woli pan wrócić do jeżdżenia za karetkami pogotowia i polowania na klientów wśród ofiar wypadków drogowych, mecenasie? A może chce pan,

żeby policja dowiedziała się, jaki z pana adwokat od spraw karnych, w każdym znaczeniu tego słowa?

- Chodzi mi tylko o to...

- Przywrócimy porządek na rynku, niech pan się nie martwi.

- Ale kiedy, na litość boską?

- Za miesiąc, może trochę później. Liczę, że zachowa pan spokój. Na razie dostawy mogą być ograniczone.

Odłożył słuchawkę i starannie przypalił świeże cygaro. Potem wykonał drugi telefon. Do Bogoty w Kolumbii. Połączył się bezpośrednio i tym razem mówił po hiszpańsku.

- Juan? Tu Ignazio.

- W czym mogę ci pomóc? - W głosie rozmówcy wyczuł sarkazm, ale hiszpański brzmiał łagodnie i przyjemnie. Jedyna rzecz, jaka mu się podobała w Kolumbii.

- Skończmy z tą grą. Czasy są ciężkie.

- Oczywiście, bo twoje zwierzaki strzelają na ulicach do moich chłopców. Zabijają gringos. Rabują moje statki i porywają mi kurierów. To czyste szaleństwo.

30

- Wiem, wiem... Ale to nie moi ludzie, tylko wolni strzelcy, jak ich nazywają gringos. Dzieciaki. Wszędzie ich pełno. Wystarczy, że taki umie prowadzić łódź albo pilotować samolot. Nie mogę za nich odpowiadać.

- Właśnie dlatego ulokowałem w Miami moich ludzi. Muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Nie będę prowadził interesów z dzieciakami.

- Możemy dojść do porozumienia. Miejsca wystarczy dla nas obu. Dla ciebie tam, dla mnie tutaj.

- Zastanawiam się, czy w ogóle cię potrzebuję, Ignazio. To ja mam towar. My jesteśmy fabryką. Bez nas nie przeżyjecie.

-A wy nie przeżyjecie bez dystrybutorów. Twoi ludzie przyjeżdżają tu jak pastuchy, z krowim łajnem między palcami nóg. Nie znają angielskiego. Nie rozumieją gringos. Nie wiedzą nawet, jak uruchomić windę. Potrafią tylko kraść i strzelać.

- Z czasem nauczą się wszystkiego.

- Z czasem na każdym rogu będą policjanci, celnicy i agenci DEA. Nie da się nic sprzedać.

Z Bogoty dochodziły jedynie trzaski.

- Posłuchaj - ciągnął. - Możemy współpracować. Jeśli chcesz mieć tu kilku ludzi do pilnowania wysyłek na północ, żaden problem. Mnie obchodzi tylko Miami.

Poszedł na duże ustępstwo. Usłyszał, jak człowiek w Bogocie westchnął. Z ulgą? Naciskał dalej.

- Trzeba wyeliminować wolnych strzelców i podzielić terytorium między nas. To nie powinno być trudne, jeśli podejmiemy do tego rozsądnie.

- Dobrze, możemy przynajmniej porozmawiać. Gdzie się spotkamy?

- Najlepiej na neutralnym gruncie. Proponuję Panamę. Znam tam kogoś, kto ci się spodoba. Jest bardzo młoda i wyjątkowa.

- Wiesz, jak skusić starego człowieka. Niech sprawdzę...

Niemal słyszał, jak wypielęgnowane palce przerzucają kartki notesu. Mężczyzna musiał siedzieć w swoim gabinecie przy tekowym biurku z osiemnastego wieku. Na kominku pod obrazem Goyi z pewnością płonął ogień. W Bogocie zawsze jest wilgotno, a to był starzec.

- Posłuchaj, Ignazio - odezwał się w końcu człowiek z Bogoty. - Nie ma mowy, żebym w najbliższym czasie mógł się ruszyć z kraju. Trwa sesja senatu, moja kawa jest niemal gotowa do zbiorów, muszę wygłosić przemówienie i biegnie mój ulubiony koń. Jedno za drugim. Wiesz, jak to jest. „Ignazio” ponownie zapalił Churchilla i zaciągnął się głęboko. Potem spróbował wypuścić kółko z dymu. Nie udało się, jak zwykle. Negocjacje wychodziły mu znacznie lepiej.

- Tak, oczywiście. Moja nowa łódź jest na ukończeniu i nie mogę się doczekać, kiedy będzie gotowa. Niecierpliwie się, jak mały chłopiec. Musisz ją koniecznie zobaczyć. Biała, długa i smukła, jak moja przyjaciółka w Panamie.

31

- Cartagena! - wykrzyknął nagle człowiek w Bogocie. - Za kilka tygodni muszę być w Cartagenie na konferencji. Możemy się tam spotkać.

Cartagena. Stare miasto rozpusty i bezprawia. Miasto awanturników. Wielki karaibski port, gdzie do manifestu statku nie wpisuje się nawet połowy ładunku. Każdy przemytnik na tej półkuli uwielbia Cartagenę, choć większość z nich została tu oszukana. Można przyjechać tutaj czołgiem, a mimo to nie przeżyć nawet sześciu godzin. Stary człowiek drażnił się z nim.

- Oczywiście o tej porze roku w Cartagenie jest bardzo gorąco - ciągnął mężczyzna w Bogocie. - Coś ci powiem: przyjedź do mnie. Moja wnuczka wychodzi za mąż. Przyślę ci zaproszenie na wesele.

- No cóż... - zawahał się.

- Gwarantuję ci bezpieczeństwo - zapewnił człowiek w Bogocie.

- W takim razie, załatwione.

- Vaya con Dios, Ignazio.

- Igualmente - odrzekł i wyłączył się.

To ważny dzień, uznał Jesus. Dzień wielkich wydarzeń.

Mężczyzna wszedł do biura przygnębiony, a wyszedł odprężony i ożywiony. Pochwalił Raula za Churchilla i zapytał Pedro o rodzinę. Powiedział, że sprzedaż idzie dobrze i kazał Jesusowi poszukać nowego tabaquero na miejsce Pepina.

Starcy czekali. Czy ma dla nich jakieś krzepiące wieści? Bardzo chcieli usłyszeć, że sprawa posuwa się naprzód, że krąg wokół mordercy w Hawanie wolno się zacieśnia.

- La lucha sigue - oznajmił w końcu mężczyzna i lekko uderzył pięścią w stary, drewniany stół. Walka trwa.

Tabaqueros zrozumieli.

- Hasta maniana, Don Jose - odpowiedzieli chórem. Doprawdy ważny dzień. Świt to najprzyjemniejsza pora dnia na Florydzie: czysta niczym kryształ i ulotna jak tropikalny zmierzch. Chris Meadows rozkoszował się poranną samotnością. Zrobił sobie kawę i usiadł na ganku. Chciał przejrzeć papiery, ale bardziej interesowały go znikające cienie nocy.

W szpitalu przywykł do wczesnego wstawania. Tydzień temu wrócił do domu. Ból w nodze był już znośny. Popatrzył na rząd palm nad basenem. Żadnego pływania, powiedział lekarz. Dopiero po zdjęciu bandażu.

32

Prawdą mówiąc, nie miał ochoty na kąpiel. Praca też go nie pociągała. Stracony tydzień. Nawet dwa, jeśli doliczyć szpital. Nigdy nie ogarniała go apatia, ale teraz jakby ugrzązł w gęstej pajęczynie i nie mógł się wyrwać. Wczoraj, podczas powolnego spaceru wśród tropikalnej roślinności odgradzającej dom od ulicy, zastanawiał się, co mu właściwie jest. Diagnoza: smutek, gniew i szok, niemal w równym stopniu. Użala się nad sobą? No to co? Przecież ma powody.

Nie, żeby czuł się opuszczony. Odwiedził go Arthur, przyniósł książkę o szachach i opowiedział kilka nowych dowcipów. Zaglądali sąsiedzi i pytali o zdrowie. Matka zapowiedziała wizytę. Musiał ją uspokoić, że już wszystko w porządku i nie warto się fatygować. Poza tym, cierpiał w kokonie prywatności. Bardzo pomogłaby mu obecność Terry. Ale ilekroć podrywała swój pękaty samolot transportowy z pasa startowego na międzynarodowym lotnisku w Miami i odlatywała na południe, Bóg jeden wiedział, kiedy wróci. Meadows urozmaicał sobie czas codziennymi telefonami do Nelsona. Pytał, czy zabójcy zostali złapani. Wczoraj odebrał Pincus. - Nic nowego - odparł krótko.

Meadows niezgrabnie wstał z ratanowej sofy. Może jeśli pójdzie na górę 1 usiądzie przy stole kreślarskim, znajdzie natchnienie do pracy. A przynajmniej wstąpi w niego trochę energii.

Dom był drewniany, ciemny i wyblakły, z wapienną fasadą. Meadows kupił go kilka lat temu od dziwnaczalnej rodziny, która mieszkała tu w izolacji przez ponad pół wieku. Natychmiast rozpoczął przebudowę.

Duży, oszklony ganek wychodził na zatokę. Meadows połączył z nim rozległy salon, likwidując wewnętrzne ścianki działowe. Podłogę całej przestrzeni wyłożył klepką dębową i dał cyprysowe belki sufitowe. Większość prac wykonał sam. Dobudował drewniane piętro z werandą i spał oba poziomy spiralnymi schodami.

Meadows spał i pracował na górze. Piętro miało przezroczysty dach, dzięki czemu było jasne i ciepłe, podczas gdy na dole panował chłód i półmrok. W studio dominował zniszczony stół kreślarski. Stały tu również mahoniowe gabloty z modelami budynków, które Meadows zaprojektował lub dopiero zamierzał stworzyć.

Kiedy tego ranka zaczął wreszcie coś kreślić, zadzwoniła Stella. Prowadziła jego biuro w śródmieściu Miami. Rzadko tam zaglądał, głównie z jej powodu. Stella była silną, agresywną kobietą i nadawałaby się na polityka: sama forma, zero treści. Meadows nie spotkał wcześniej nikogo o tak imponującej prezencji i dlatego ją zatrudnił. Zbyt późno zorientował się, że Stella nic nie potrafi załatwić jak należy.

Początkowo przeraził się. Uczył ją cierpliwie jak dziecko, ale przypominało to tłumaczenie z obcego języka. Gdy prosił o rezerwację biletu lotniczego

3 - Kokainowe wydmy

33

do San Francisco w biurze linii Western, odpowiadała: „Tak jest, panie Meadows, natychmiast”, po czym dzwoniła do Eastern.

Z czasem przyzwyczał się do niej. Tylko przyjaciele znali jego zastrzeżony numer domowy; wszyscy inni telefonowali do Stelli. System zdawał egzamin. Kiedy przekręcała wiadomość, zazwyczaj okazywało się, że to od kogoś, z kim i tak nie miał ochoty rozmawiać.

Dziś zameldowała, że szukał go klient nazwiskiem Nelson Octavio.

Przynajmniej numer zanotowała poprawnie. Meadows czekał z bijącym sercem, aż policjant podejdzie do aparatu.

- Tu Meadows. Aresztowaliście tamtych facetów?

- Jeszcze nie, amigo, pracujemy nad tym. Ale mamy pewien ślad i chciałbym pana prosić o pomoc.

- Jasne. Czym mogę służyć?

- Ostatniej nocy w Coral Gables znaleziono czyjeś zwłoki. Możliwe, że to jeden z tamtych. Byłbym wdzięczny, gdyby wpadł pan do biura koronera i rzucił na nie okiem. To nie zajmie dużo czasu.

- Gdzie mam przyjechać?

- Do kostnicy miejskiej w śródmieściu.

- Jezu! A nie wystarczy zdjęcie? Wizyta w kostnicy niezbyt mnie pociąga.

- Przykro mi, ale zdjęcie jest kiepskie. Po śmierci oni wszyscy wyglądają tak samo. Na fotografii policyjnej nie wychodzi ani cera, ani kolor włosów, ani wielkość twarzy. Naprawdę, bardzo by pan nam pomógł...

„Po śmierci wszyscy wyglądają tak samo”. Meadows przypomniał sobie ciało Jessiki wyrzucone w powietrze i Sandy wleczoną po ziemi.

- Przyjadę - obiecał i wyłączył się.

Meadows długo krążył, zanim znalazł biuro koronera. Okazało się, że pospolity, piętrowy budynek przylega do szpitala Flagler Memorial. Żadnej architektury, pomyślał Meadows. Jak to w Miami.

Lakoniczna urzędniczka wyglądała równie bezbarwnie.

- Przyjechałem zobaczyć zwłoki - powiedział.

- Krewny? -Nie, nie...

- Nazwisko?

- Christopher Meadows.

Kobieta przerzuciła plik różowych formularzy.

- Nie mamy tu żadnego Chrisa Meadowsa. Jest Christine Reilly, ale już ją zidentyfikowała córka.
- Meadows to ja. Proszono mnie, żebym rozpoznał zwłoki, które przywieziono dziś rano.
- Czyje zwłoki? - Urzędniczka stuknęła długopisem w blat biurka. Miała czas.

34

- Nie wiem. Nie podano mi nazwiska.
- Żarty pan sobie robi?
- Nie. Detektyw Nelson prosił, żebym tu przyjechał... Kobieta wcisnęła guzik interkomu.
- Doktorze Appel?
- Tak, Lorie? - zadudniło z daleka, jakby facet odezwał się z Key West.
- Przyszedł ktoś o nazwisku Meadows i chce zobaczyć ciało. Mówi, że Nelson go przysłał.
- Zgadza się. Daj go tutaj.

Meadows pokonał ostrożnie jedne wahadłowe drzwi, potem drugie. Znalazł się w dużej sali ze starymi, zielonymi kafelkami na ścianach. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest wśród nieboszczyków.

Zwłoki leżały rzędem na srebrzystych stołach sekcyjnych. Niektóre miały otwarte klatki piersiowe i przypominały indyki pokrojone na Święto Dziękczynienia. Wydawały się bardzo małe. Pachniało tu wilgocią i zgnilizną. Przełknął z trudem.

- Witam.

Meadows odwrócił się gwałtownie. Za nim stał doktor Harry Appel.

- Witam - odparł roztrzęsiony Meadows. - Przestraszył mnie pan.

- Nie miałem takiego zamiaru. Proszę siadać.

Meadows usiadł. Appel był wysoki i nosił rogowe okulary. Wrócił do pracy. W jednej ręce trzymał kanapkę z szynką i serem, drugą wyciął ludzkie serce. Wyglądało jak zakrwawiony, fioletowy balonik. Meadows bał się, że wymiotuje.

- Poczęstowałbym pana, ale to ostatnia - powiedział Appel. Nagle zauważył, że Meadows zbladł. - Przepraszam. - Schował kanapkę do papierowej torby.

- Normalnie nie jem przy pracy, ale mamy dziś urwanie głowy. Zresztą, sam pan widzi.

Meadows przytaknął słabo i spuścił wzrok.

Appel położył serce na wadze i podał wynik do dyktafonu. Potem otworzył plastikową torbę, w jakich sprzedaje się kanapki na wynos. Wsunął tam organ, okręcił pakunek metalowym paskiem i włożył do klatki piersiowej nieboszczyka. Meadows patrzył na to z osłupieniem.

- Muszę tak robić - wyjaśnił patolog. - Kiedyś wyrzucało się narządy po pobraniu próbek. Ale ostatnio coraz więcej rodzin nalega, żeby ich bliskich chować w całości. Nie może brakować ani kawałeczka.

Meadows tylko skinął głową.

- Więc przyszedł pan zobaczyć Juana NN?

- Słucham?

Appel podstawił dłonie pod kran i splukał krew z rękawiczek chirurgicznych. Wytarł je w wygnieciony zielony fartuch laboratoryjny i podszedł do Meadowsa.

35

- Pański przyjaciel jest chyba tutaj...

Poprowadził Meadowsa do stołu, na którym leżał chudy mężczyzna. Połowa czaszki była równo odcięta. Wisiała jakby na zawiasach i odsłaniała górną półkulę mózgową. Twarz ze ściągniętą skórą wyglądała jak pomarszczona, gumowa maska. Nos tkwił w złym miejscu. Usta zastygły w szyderczym uśmiechu.

Meadows znieruchomiał dwa metry od stołu.

- O, Chryste - szepnął.

- Bez obaw - powiedział wesoło Appel. - Przywrócę mu normalny wygląd, żeby mógł go pan rozpoznać. - Przykrył mózg połową czaszki i naciągnął włosy. Potem naprężył skórę na twarzy. Nieboszczyk odzyskał ludzkie rysy. Młody Latynos, pomyślał Meadows.

- Nie znam go - oświadczył. - Nie przypomina żadnego z tamtych, których widziałem.

Appel wzruszył ramionami.

- Nie jestem zaskoczony. - Zapytał o strzelaninę w Grove.

- Niewiele wiem - odrzekł architekt. - Więcej dowie się pan od Nelsona. Miał tu być.

- Dzwonił, że nie uda mu się przyjechać. Wspominał, że zginęła pańska przyjaciółka.

- Była przyjaciółka. Sposób, w jaki to się stało... Wciąż jestem wstrząśnięty. Wolałbym o tym nie rozmawiać. Przyszedłem tu tylko dlatego, że Nelson mnie prosił. Mówił, że może ten nieboszczyk to jeden z tamtych. Ale to żaden z nich.

Appel ściągnął rękawiczki.

- Przykro mi z powodu pańskiej przyjaciółki. Nelson wspominał, że pana też postrzelili.

- W nogę. Ale już jest dobrze.

- Całe szczęście.

Appel starał się być życzliwy. Meadows polubił go. Zastanawiał się, dlaczego ktoś zostaje koronerem. Intrygowała go nonszalancja patologa.

- Jak on zmarł?

- Ciągle to samo - odparł Appel.

Ku zdumieniu Meadowsa chwycił trupa za włosy gołą ręką i uniósł głowę z drewnianego klocka pod karkiem. Odwrócił ją ku sobie i pokazał otwór wielkości dziesięciocentówki w tyle czaszki.

- Tutaj. Bingo. Meadows skrzywił się.

- Dlaczego?

- Niech pan zgadnie. - Appel westchnął. - Jasna cholera. Mam tutaj takich co

tydzień. Młodzi Latynosi około trzydziestki z dziurą po kuli w tyle głowy. Żadnych dokumentów, rodziny, przyjaciół. Ustalenie tożsamości zajmuje nam całe tygodnie. Ten to Kolumbijczyk. Nazwisko nieznane. I pewnie

36

tak już zostanie. To nielegalny imigrant. Wie pan, co przy nim znalezione? Trzy tysiące dolców.

- Nosił przy sobie kupę forsy.

- Oraz gram koki i zegarek carrier. Facet miał dobry gust, jeśli chodzi o błyskotki. Dużo gorszy, jeśli chodzi o towarzystwo, w którym się obracał. Meadows wziął głęboki oddech i podszedł bliżej. Jeszcze raz przyjrzał się twarzy.

- Nie, na pewno go nie widziałem.

- Czy tamci w samochodach byli Kubańczykami, czy Kolumbijczykami?

- Nie wiem. Wyglądali na Latynosów. Wrzeszczeli do siebie po hiszpańsku, ale tyle się działo... - Meadows znów przypomniał sobie całą scenę, jak we śnie. Huk, dym, krzyki, a potem zawrót głowy. Gliniarze twierdzili, że wszystko trwało dziesięć, może jedenaście sekund.

- Chce pan zerknąć na Kubańczyka? - zapytał Appel.

- Jeszcze jedno narkotykowe zabójstwo?

- Tak. Przywieźli go rano - patolog podszedł do następnego stołu. Zwłoki wciąż leżały w czarnym worku do transportu ciał z czerwonym nadrukiem „Metropolitalna Straż Pożarna”.

- Śmierdzi - ostrzegł Appel, zanim pociągnął za suwak. - Lepiej niech pan zatka nos.

Meadows zasłonił chusteczką pół twarzy. Trup wyglądał ohydnie: był wzdęty, zzieleniały i cuchnący. Z ubrania pozostały strzępy. Na zbielełym podbrzuszu widniały szarpane rany.

- Rekiny - wyjaśnił Appel. - Wyłowili go niedaleko Przylądka Floryda. Trzej pajace z New Jersey wynajęli łódź i wybrali się na delfiny. Złapali ciało na błyskę. Kołowrotek się odwinął i pociągnęli je za sobą. Dopiero po piętnastu minutach zorientowali się, że zdobycz nie walczy.

Meadowsowi zbierało się na wymioty.

- Nie potrafię powiedzieć, czy go widziałem.

- Pływał tam trzy tygodnie. Zginął tak samo, jak nasz Kolumbijczyk: strzał w tył głowy z półautomatycznej trzydziestki dwójki. - Patolog zapiął worek. - Co ciekawe, najpierw go pobili.

- Napad rabunkowy?

- Wątpię. Torturowali go. Połamane żebra, uszkodzone nerki. Strasznie mu dołożyli.

- Niestety, nie rozpoznaję go - powiedział Meadows.

- Nie szkodzi. Tego już zidentyfikowaliśmy. - Appel wręczył architektowi raport policyjny. Meadows czytał z zainteresowaniem. Czuł się jak wścibski łowca sensacji.

Martwy mężczyzna nazywał się Ruis Juan Gonzalez. Miał dwadzieścia sześć

lat. Mieszkał na Brickell Avenue 1721. Meadows znał to brzydkie kon-
dominium dwie przecznice od zatoki Biscayne.

37

Appel wskazał palcem niższą linijkę.

- To jest najlepsze.

W rubryce „Zawód” wpisano: „Właściciel firmy importowo-eksportowej”.

- Tak podała jego siostra - wyjaśnił patolog. - Powiedziała, że jej brat robił
świetny interes na kolumbijskich stolikach do kawy. Sprzedawał je w sklepie
na Flagler Street.

- Ale naprawdę był przemytnikiem? Appel roześmiał się.

- No jasne. - Przyjrzał się uważnie Meadowsowi. Architekt studiował raport
jak rękopis znad Morza Martwego.

Patolog usiadł za biurkiem. Meadows zobaczył ze zdumieniem, że jego kubek
ma kształt ludzkiej czaszki. Appel zauważył minę Meadowsa i zachichotał.

- Może kawy?

Meadows pokręcił przecząco głową.

- Dużo pan wie o handlu narkotykami? - spytał Appel.

- Tyle, co piszą w gazetach. O tamtej strzelaninie rozmawiałem z Nelsonem.

Powiedział, że to prawdopodobnie porachunki.

Appel przyglądał siwiejące baczki. Wcześniej się starzeje, pomyślał
Meadows. Wyglądał na trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat. Patolog
westchnął.

- W mieście toczy się mała wojna. Strzelają na prawo i lewo. Jak panu
mówiłem, co tydzień mamy tu przynajmniej jedną ofiarę. Kolumbijczycy,
Kubańczycy, trochę głupich Angloamerykanów. Zaczęło się jakiś rok temu.
Najpierw prowadzili bratobójczą walkę. Zabijali się tylko między sobą i nikogo
to zbyt nie obchodziło. Ale teraz giną również niewinni ludzie.

-Jak...

- Jak pańska przyjaciółka i jej córeczka. - Patolog zapalił fajkę i milczał przez
chwilę. Meadows rozejrzał się po sali. Naliczył dziewięć ciał.

- Och, większość zmarła śmiercią naturalną - odezwał się Appel, wskazując
stoły. - Rutynowe sprawy. Pewna staruszka upiera się, żebym zrobił sekcję
zwłok jej męża. Miał siedemdziesiąt cztery lata. Wiem, że zgon spowodowała
zastoinowa niewydolność serca. Jestem tego pewien, do cholery. Ale ona
twierdzi, że zatrzał się naleśnikami jeżynowymi w jakimś śródmijskim barze
samoobsługowym. Wynajęła już adwokata. Otrułi go naleśnikami! Na litość
boską!

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Nie mógłbym wykonywać takiej pracy - mruknął Meadows.

- Pewnie nie - zgodził się Appel. Pomyślał o Sandrze Fay Tilden. Nie zdradził
architektowi, że osobiście robił sekcję. - Jestem tu od pięciu lat i jeszcze
nigdy nie było tak źle, jak teraz - powiedział. - Któregoś dnia dostarczyli

38

mi jednego z tych typów z jedenastoma dziurami od kul z karabinu maszynowego. Wyobraża pan sobie? Mają karabiny maszynowe!

- Dlaczego walczą?

- Z chciwości. W grę wchodzi niewyobrażalne pieniądze. Pan i ja nie zarobimy tyle przez całe życie. - Koroner uśmiechnął się. - Koka.

- Kokaina?

- Tak. Dlatego te dupki wykańczają się nawzajem. Dlatego zginęła pańska przyjaciółka. Nawet nie wiedziała, że znalazła się między sprzedawcą a towarem.

Meadows wstał.

- Przykro mi, że nie mogłem nikogo rozpoznać.

- Niech pan sobie nie robi nadziei - odrzekł sardonicznie Appel. - Większości zabójstw nie udaje się wyjaśnić. Nikt nie puszcza pary z ust. - Wskazał martwego Kolumbijczyka. - Jeśli ktoś za dużo gada, płaci taką cenę.

- Czy policja ma jeszcze jakieś ślady? Nelson nic nie mówił?

- Nie. - Appel ucisnął dłoń Meadowsa. - Miło było pana poznać. Mam nadzieję, że nie zepsułem panu apetytu do końca dnia.

- Wszystko będzie dobrze.

Meadows wyszedł na parking. Oślepiło go popołudniowe słońce. Odetchnął głęboko. Po godzinie pobytu w prosektorium gorące, wilgotne powietrze wydało mu się wyjątkowo świeże.

5

Kiedy Meadows wrócił z kostnicy, zadzwonił telefon. - Nareszcie! Jeśli natychmiast nie przyjedziesz i nie uwolnisz mnie od tych cholernych kundli, więcej się do ciebie nie odezwę. - Terry!

-Perro de mierda. Callate, carajo!

- Gdzie jesteś? - Ze słuchawki dobiegało warczenie, szczekanie i wycie.

- W Miami. W Klubie Kynologicznym. Właśnie przywiozłam z Panamy dwa tuziny psów. Powinnam była wywalić te parszywe bestie do Morza Karaibskiego.

- Zaraz tam będę. Czekać w holu.

-W żadnym holu. Idę do baru. Jeżeli nie zjawisz się za dwadzieścia minut, wyjdę z pierwszym facetem, który powie mi, że nie cierpi chartów.

- Już lecę.

Meadows pokuśtykał z powrotem do samochodu. Kierownica tak się rozgrzała, że parzyła go w ręce, ale nie zwracał na to uwagi. Terry wróciła.

39

Dzika kocica. Nie znał drugiej takiej kobiety. Różniła się od Sandy jak huragan od zefirka.

Poznali się na nudnym nowojorskim przyjęciu. Meadows obrzucił w drzwiach wzrokiem nieciekawe towarzystwo i już chciał wyjść, gdy dostrzegł ją w rogu...

- Maria Cristina Betancourt Issuralde - przedstawiła się po chwili wahania. Widocznie oceniła, że nie jest nudziarzem. - Mówią na mnie Terry.

Niezgrabnie wyciągnął rękę.

- Chris Meadows. Skąd Terry od Marii i tej całej reszty?

- To przezwisko. Skrót od Terremoto.

- Robi wrażenie.

Uśmiechnęła się szeroko. Po kilku minutach zapytała nagle:

- Możesz mnie stąd zabrać? Chciałabym gdzieś pójść i coś zjeść. Umieram z głodu.

- Jasne. - Meadows był zachwycony, choć trochę zakłopotany. - Co powiesz na chińską restaurację?

- Może być.

Podczas kolacji mówiła głównie ona; Meadows słuchał. Między kęsami kaczki po pekińsku wyznała, że pochodzi z bogatej rodziny i szybko się nudzi. Jest najstarszym dzieckiem południowoamerykańskiego właściciela ziemskiego, który ma wielkie majątki w Argentynie, Paragwaju i Brazylii. Terry jeździ na nartach w Portillo i pływa w Monako. Biegle włada angielskim, portugalskim, hiszpańskim i francuskim. Kończyła szkołę w Anglii i studiowała we Francji. Podrywali ją playboye i potentaci finansowi. W końcu zbuntowała się.

- Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Znam mężczyzn od szesnastego roku życia, a świat od urodzenia. Więc zadałam sobie pytanie: „Mario Cristino, co ty właściwie chcesz dalej robić?” Paskudna sprawa. Wyjść za milionera i pieprzyć się z ogrodnikiem, kiedy stary liczy forszę? Uciec z kierowcą wyścigowym i czekać, aż pewnego dnia rozwalą się na miazgę o betonową bandę? Nie, se?or, to nie dla mnie.

- Dziwię się, że nie zostałam rewolucjonistką - zażartował Meadows.

- Myślałam o tym. Poważnie. I możesz mi wierzyć, że doskonale wyglądam w panterce i berecie. Ale coś ci powiem o części świata, z której pochodzę.

Wszyscy rewolucjoniści obiecują wolność i sprawiedliwość. Ameryka Południowa to kontynent wspaniałych obietnic. Tylko jakoś nikt ich nie dotrzymuje. Powiem ci jeszcze coś. Zabierz tym twardym hombres karabiny, a są niczym. Kobieta równie dobrze może iść do łóżka z pluszowym misiem, bo oni bardziej jej nie dogodzą.

- Nie wiedziałem - mruknął Meadows.

- Rewolucjoniści niszczą a ja lubię tworzyć. Więc rozejrzałam się, co by tu zdziałać. Marzyło mi się jakieś romantyczne wyzwanie. Długo szukałam,

40

wreszcie znalazłam. Powiedziałam rodzicom, co zamierzam. Matka chciała wzywać spowiednika. Ojciec groził, że mnie wychłoscze. Ale podejrzewam, że w głębi duszy był bardzo zadowolony. I on, i ja dobrze wiemy, że bardziej go przypominam niż moi bracia. Poszłam do szkoły pilotów - ciągnęła Terry.

- Chyba nikt nigdy nie uczył się tak pilnie. Potem pożyczyłam pieniądze i kupiłam samolot. Starego convaira. Dobrałam sobie drugiego pilota i zaczęliśmy przewozić ładunki, gdzie się da. Rio Gallegos, Puerto Montt, Cuia-ba w Mato Grosso, Potosi w Boliwii. Góry są tam niebezpieczne, a pasy startowe krótkie. Moja linia lotnicza nazywa się Cargas Aereas Nacionales,

czyli CAN. Jeśli podejmę się gdzieś dolecieć, to dolecę. Jeśli powiem, że wezmę tyle, to nie zażądam więcej. Teraz mam cztery samoloty i wydaję własne pieniądze. Ojciec jest ze mnie dumny, a matka nie śmie mnie krytykować. Dziś wieczorem przywiozłam do Nowego Jorku konie wyścigowe z Wenezueli. Poprzedni kurs był do Tegucigalpy z brazylijskimi oponami do traktorów. A następny? Kto wie?

Oszalała go. Czuł się przy niej jak mały, szary człowieczek.

- Do czego ja ci właściwie jestem potrzebny? - zapytał któregoś dnia po „spacerowym” locie wynajętą, jednosilnikową awionetkę. Wysiadł z samolotu zielony.

Roześmiała się i ugryzła go w ucho.

- Pobrecito. Powinam była cię uprzedzić, że będą akrobacje. Przepraszam. Wycięłam brzydki numer mojemu obrońcy.

„Mój obrońca”... używała tego żartobliwego zwrotu od tamtej pierwszej wspólnej nocy w Nowym Jorku. Siedzieli w restauracji trzy godziny. Potem spacerowali bez celu po Chinatown i rozmawiali.

W pobliżu rzeki zastąpił im drogę jakiś typ. Meadows wzruszył ramionami i oddał mu wszystkie pieniądze. Uznał to za niemal normalne. Kto włóczy się nocą po mieście, musi płacić.

-A teraz spadaj, facet - powiedział osobnik. - Ta laska zostaje ze mną.

Meadows nie wytrzymał. Kiedy tamten zamachnął się łańcuchem, skoczył na niego. Zwarli się i mocowali przez kilka minut. W końcu wpadli na metalowy śmietnik. Napastnik uderzył głową w róg pojemnika. Łańcuch z grzechotem upadł na chodnik.

Terry chwyciła Meadowsa za łokieć i próbowała odciągnąć. Ale jeszcze nie skończył. Zdarł z tamtego ubranie i zostawił go jęczącego i półprzytomnego w bieliźnie i skarpetkach. Wrzucił jego rzeczy do ścieku i uspokoił się dopiero po dwóch kawach po irlandzku. Wtedy kochali się z Terry po raz pierwszy.

41

Meadows ocknął się z zadumy na długim dojeździe do autostrady międzystanowej. Wysoki betonowy łuk omijał śródmieście Miami. Drga biegła obok poczerniałych strażnic, stojących w getcie Liberty City od czasu rozruchów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Tor psich wyścigów znajdował się tylko dwie przecznice od zjazdu na Sto Dwudziestą Piątą ulicę. Kiedy Meadows dotarł na miejsce, impreza już trwała. W budynku klubu panował hałas niczym w hangarze lotniczym. Publiczność głośno dopingowała kolejnego finiszującego charta. Meadows powtórzył sobie w pamięci, co ma opowiedzieć Terry o strzelaniu.

W barze trudno było przeoczyć wysoką opaloną, ciemnowłosą dziewczynę o czarnych oczach. Ku zaskoczeniu Meadowsa studiowała program wyścigów. Gdy szedł w jej kierunku, drogę zagroziła mu dziwna para. Co oni robią? Tańczą? Nie, kłócą się.

- Oddawaj dychę! - warknął wysoki Murzyn w panamie. - Ty mi kazałaś postawić na tego kundla. Przez ciebie umoczyłem.

Złapał kobietę za łokcie. W jednej ręce ścisnęła plastikowy kubek z piwem, w drugiej banknot dziesięciodolarowy.

- Zabieraj te cholerne łapy! - wrzasnęła. - Dotknij mnie, to polecę na skargę do twojej starej.

Awanturowali się, dopóki nie rozdzielił ich gruby ochroniarz. Meadows wsunął się na wysoki stołek obok Terry i objął ją w talii.

- Wybrałaś przyjemne miejsce - mruknął. - Ale mimo to, witaj w domu. -Porfin!

- Jej uścisk zaparł Meadowsowi dech.

- Chodźmy stąd - szepnęła do grzywy czarnych włosów. - Mam ci mnóstwo do powiedzenia.

Terry obrzuciła go wygłodniałym wzrokiem.

- Dziesięć minut. Jeden wyścig. Już postawiłam.

- Myślałam, że nie cierpisz psów.

- Jak srają mi po całym samolocie. Ale ten jest fajny. Zobacz... - wskazała program. - Numer trzy. „Leć Kochanie”. To musi być mój szczęśliwy typ.

Usiedli w dwudziestym rzędzie, daleko od toru. Meadows rozejrzał się ponuro. Otaczali ich rozgadani emeryci z pobliskiego osiedla. Spędzili życie w Queens i Charlestown, odłożyli pieniądze i uciekli na Florydę. Najpierw na zimę, potem na zawsze. Wspaniały klimat, tylko cholerna nuda. Co mają do roboty? Czekają na śmierć przy stołach do bingo albo tutaj.

Dwie minuty przed gonitwą z psiej zagrody wyszli przewodnicy. Prowadzili na smyczach smukłe charty w kagańcach. Były bardzo zajadłe. Zdarzało się, że w połowie wyścigu zaczynały walczyć ze sobą. Krzyżowanie osobników blisko ze sobą spokrewnionych czyniło z nich niewiarygodnie szybkie, ale wyjątkowo głupie zwierzęta. Każdy pies miał kamizelkę z numerem i dreptał niezgrabnie dwa, trzy kroki za przewodnikiem.

42

- Tobie spodobało się imię, ale skąd inni wiedzą, na którego postawić?

-zapytał Meadows.

-A stąd... - Terry wyciągnęła rękę. Chart z numerem siedem rozkraczył się w przysiadzie i „użyłniał” klomb orchidei w pobliżu ostatniej prostej. Grupka pijanych widzów na dole głośno wiwatowała.

Meadows wybuchnął śmiechem.

-Jezu! Wspaniały sport.

Terry westchnęła.

- Ay Dios, teraz wszyscy postawią na tego psa. - Istotnie. Wyplaty obniżyły się na pięć do trzech.

Charty wystartowały i pomknęły za sztucznym zającem. Meadows śledził „Leć Kochanie”. Faworyt Terry najpierw wysunął się na czoło, potem potknął się i spadł na dalszą pozycję. Dogonił czołówkę, ale został wypchnięty na zewnętrzną i w końcu dobiegł czwarty. Wyścig trwał czterdzieści dziewięć sekund.

- Mierda - mruknęła Terry. Pies numer siedem wygrał o trzy długości.

-Wpadnę tylko do toalety i możemy iść. Zaczekaj na mnie przy mecie.

Meadows samotnie przyglądał się tłumowi. Sześć rzędów niżej siedziała młoda, ładna kobieta. Z tyłu przypominała Sandy Tilden. Meadows przyłapał się na tym, że wypatruje obok małej dziewczynki. Oczywiście, nie znalazł jej. Kiedy kobieta odwróciła się profilem, przestała być podobna do Sandy. Meadows popatrzył gdzie indziej.

Pokuśtykał na dół, żeby obejrzeć charty. Z daleka wszystkie wyglądały tak samo. Z bliska dostrzegł różnice w wielkości i muskulaturze. Przewodnicy sprawiali wrażenie śmiertelnie znudzonych. Psy też.

- Odsuń się. Byłem tu pierwszy.

Meadows spojrział w lewo. Niski, siwy mężczyzna z brzuchem stał piersią w pierś z młodym, wysokim Latynosem.

- To moje miejsce, synu. Przesuń się trochę. Latynos przypominał budową ladę chłodniczą.

-A kto ty, do cholery, jesteś? - warknął. Miał twarz fretki. Kolega za nim wybuchnął śmiechem. Trzeci kompan był odwrócony tyłem, oglądał charty. Nosił kremowy garnitur.

- Nie chcę się kłócić - powiedział starszy człowiek.

Meadows poszukał wzrokiem Terry. Nagle zauważył, że starzec wisi w powietrzu. Latynos trzymał go za ramiona.

Meadows nie poruszył się. Serce zaczęło mu walić, nogi się pod nim ugięły. Zza paska młodego mężczyzny wystawała kolba pistoletu. Trzeci mężczyzna odwrócił się. Na widok jego twarzy Meadowsowi zaparło dech.

Poznał go.

Latynos w jasnym garniturze nie zwrócił na niego uwagi. Wykonał gwałtowny gest i odezwał się ostro do kolegów. Wysoki postawił staruszka na

43

ziemi i wszyscy trzej poszli do sali kasowej. Siwy mężczyzna wygładził pogniecione ubranie.

- Cholerne gnoje - mruknął. - Myślą, że ten kraj należy do nich. Meadows stał jak posąg.

Zjawiła się Terry.

- Boże! Jesteś błądy! Coś się stało? Chwycił ją za ramię.

- Chodźmy stąd. Potem ci powiem.

Przeciskali się przez tłum, który znów zapełniał pomieszczenie. Meadows przyglądał się widowni. Są.

Siedzieli na samej górze. Teraz naliczył czterech. Trzej śmiali się między sobą. Ten w jasnym garniturze patrzył przez małą lornetkę. Prosto na Meadowsa.

- Co jest? - zirytowała się Terry. - Nie popychaj mnie.

- Szybciej. Proszę cię.

Wieczorem Meadows narysował twarz mężczyzny. Portret pamięciowy wyszedł całkiem dobrze. Nie był tylko w pełni zadowolony z brwi i neandertalskiego czoła.

Największy kłopot sprawiały mu oczy. Męczył się nad nimi pół godziny. W

końcu udało się.

Przyjrzał się im. Coś mu przypominały. Były ciemne, beznamiętne i groźne. Nie miały w sobie nic ludzkiego. Wyglądały jak ślepie rekina.

6

Lincoln stał przed „El Hogar” - małą restauracją na Ósmej Południowo-Zachodniej ulicy w Małej Hawanie. Na drzwiach lokalu wisiała tabliczka „Przepraszamy. Nieczynne”, ale na stolikach wciąż paliły się świece w czerwonych latarenkach. Zostali jeszcze czterej klienci.

Niebieski dodge czekał przecznicę dalej. Detektyw Octavio Nelson zamknął oczy. Właściciel lincolna nie pokazał się od godziny. Nelson był pewien, że siedzi w „El Hogar”, tylko nie wiedział, czy warto tu sterczeć. Znow zaczynała go boleć głowa.

- Podobno Shafer dziś wyszedł - odezwał się Wilbur Pincus. Nelson przytaknął i posadził koniec cygara.

- Mówiłem ci, że to było nielegalne przeszukanie - ciągnął Pincus. Nelson zerknął na niego.

- Wiedziałem, że ma w bagażniku przynajmniej kilo. Musiałem zaryzykować.

44

- Co powiedziałeś w sądzie?

- Rutynowa kontrola drogowa. Pincus pokręcił głową.

- Założę się, że wyśmiali argument o domniemanym przestępstwie. Zgadza się?

Niestety, pomyślał Nelson. Nie cierpiał wypuszczać z rąk takich zasrań-ców, jak Shafer. Ten Anglo zacząłby sypać; robił w gacie ze strachu. Nelson wyczuł to, kiedy zakładał mu kajdanki. Ale sędzia nazwał przeszukanie „całkowicie bezprawnym”. I Shafer wyszedł.

- Przynajmniej jest lżejszy o kilo koki - mruknął Nelson. Pincus parsknął.

- W Tallahassee mieliśmy szkolenie, jak postępować w wypadkach domniemyanych przestępstw. Trwało całe dwa tygodnie. Powinieneś się zapisać na najbliższy kurs.

- Żebyś wiedział, że to zrobię - odparł Nelson.

Wnętrze samochodu przypominało saunę. Włączył radio i złapał miejscową stację, nadającą salsę.

- Nie powinniśmy zostać na nasłuchu? - zapytał Pincus. - Mogą nas wywoływać.

-Nie. Jesteśmy na obserwacji.

Drzwi „El Hogar” otworzyły się. Nelson podciągnął się na siedzeniu. Ale to tylko jedna z kelnerek wyszła do domu. Światła w restauracji pozostały zapalone.

- Co znalazłeś w tamtym samochodzie? - spytał nagle Pincus.

- W którym?

- W mercedesie przyholowanym do nas parę tygodni temu na twoje polecenie.

Nelson zeszywniał.

- Skąd o nim wiesz?
- Widziałem na twoim biurku protokół holowania.
Cholerny Mathers z garażu. Powinien trochę pomyśleć, zanim coś zrobi.
- Nic nie znalazłem - odparł Nelson. - Wóz był czysty.
- A do kogo należał?
- Nawet nie pamiętam. Chyba do jakiegoś doktora. Zabalował któreś nocy i zapomniał, gdzie go zostawił. Żadna sprawa.
Wydawało się, że Pincus to kupił. Samochód wcale nie był czysty.
W mercedesie Roberto Nelsona znajdowało się prawie sześć gramów kokainy. Ukrył ją w obudowie włącznika pod kolumną kierownicy. Octavio Nelson natrafił na nią po dziesięciu minutach poszukiwań. Zważył i zbadał narkotyk przy pomocy zestawu laboratoryjnego, który kupił pewnego dnia w Coconut Grove. Potem wsypał proszek do ubikacji i spuścił wodę.

45

Nie napisał raportu o koce ani nawet o holowaniu. Chłopcy w policyjnym garażu długo nie wybaczą mu tego „przeoczenia”. Mathersowi również wcisnął kit o doktoru.

Potem ten idiota Roberto wmaszerował na czwarte piętro komendy policji jak do siebie. Bez słowa zabrał kluczki z biurka Octavio i odjechał. Jeszcze sobie o tym pogadają.

Na razie miał dość Wilbura Pincusa. Podręcznikowy glina rodem z Iowa i największy naiwniak w Miami. Ubierał się, wyrażał i pracował według książki. Kiedy Nelson po raz pierwszy zobaczył, jak Pincus poleruje sobie buty, natychmiast poprosił o innego partnera. Ale jego narzekania ignorowano. Na nieszczęście Pincus był całkiem dobrym policjantem.

Nelson wpadł na pomysł, jak się go pozbyć. Zaczął stopniowo przekonywać młodszego kolegę, żeby przeniósł się do federalnego biura narkotyków - Drug Enforcement Administration. Nelson posunął się nawet do tego, że zdobył dla Pincusa trzy listy polecające od kapitanów policji. Dwaj z nich od dawna nie żyli.

DEA wyraziła zainteresowanie nowym kandydatem. Pincus doskonale wypadł podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Ale dwa dni później w Hialeah zginął agent DEA. Zastrzelił go kolega w czasie obławy na sprzedawców tran- kwilizatorów. Tego samego popołudnia Pincus wycofał podanie. Powiedział federalnym, że woli pozostać partnerem Octavio Nelsona.

Nic dziwnego. Wszyscy inni kapitanowie tyli za biurkami, wyżywali się na sierżantach, uwodzili sekretarki i organizowali biurowego lotka przed meczami Dolphinsów. Ale nie Nelson. Oto stary wyga, który naprawdę kocha pracę na ulicy. Na Pincusie robiło to wrażenie. Wprawdzie uważał, że Nelson jest niechlujny i trochę nieokrzesany, ale można się od niego wiele nauczyć. Wierzył w to, dopóki nie odkrył, że Nelson chciał go spławić. Wyszedł na kompletnego idiotę. Przez dwa dni biegał z piętra na piętro i szukał kapitanów Donnelly'ego i Lopeza, żeby im podziękować za rekomendację. W końcu młody gliniarz z drogówki wyjaśnił mu, że obaj nie żyją. Pincus przeżył szok.

Żeby sfalszować listy polecające do DEA? Nic nie powiedział Nelsonowi, ale stali się cichymi wrogami. Pozostali detektywi z wydziału narkotyków robili zakłady, kto komu narzuci swój styl. Na Pincusa stawiano ciężkie pieniądze. Potem pobito Aristidio Cruza. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na ostateczną rozgrywkę. Ale Nelson i Pincus zachowali się tak, jakby nic się nie stało. Nelson uważał sprawę za zamkniętą. Pincus wciąż miał uraz na jej punkcie. Nie dawała mu spokoju.

- A jeśli wyjdą tylnymi drzwiami? - zapytał teraz, wskazując restaurację.

- Nie wyjdą - odparł Nelson i podkręcił radio.

W „El Hogar” przy narożnym stoliku siedział Domingo Sosa znany jako Mono. Nie zwracał uwagi na rozmowę swoich trzech towarzyszy. Myślał.

- Ile dziś umoczyliście? - zapytał jeden.

46

- Ja cztery setki.

- Ja trzysta osiemdziesiąt.

-Perros de mierda. Mówiłem wam, że to jest ustawione. Faszerają te kundle prochami. Niektóre ledwo mogły iść po torze, a co dopiero biegać.

- Następnym razem pojedziemy na jai alai.

- To jeszcze gorzej. Mam kumpla, który w to gra. Nigdy nie wygrywał, dopóki noce przed meczem spędzał z kobietą. Więc kiedyś spróbował inaczej. Przez trzy tygodnie kładł się spać sam. Wygrywał prawie za każdym razem.

Wszyscy zaczęli na niego stawiać. Był gwiazdą. Tak mocno serwował, że inni gracze widzieli piłkę dopiero, jak ich minęła.

- Stawiałeś na niego?

- Nie, chico. Nie ufam facetom, którzy się nie kochają przez trzy tygodnie. -1 co było dalej?

- O mało nie dostał świra. Teraz ma kobietę każdej nocy przed meczem. Jest głównianym graczem, ale zawsze na niego stawiam.

Mono zignorował śmiech i przywołał kelnerkę.

- Jeszcze jeden dzbanek piwa, se?orita. - Potem spojrzał groźnie na kolegów.

- Dostyc tych wygłupów. Wracamy do sprawy.

- Tego gringo z psich wyścigów? -Tak.

- Jesteś pewien, że to on? Mono skinął głową.

- Widziałeś, jak się gapił.

- No to co? - wzruszył ramionami mężczyzna o wyglądzie wieśniaka. -Kupa ludzi gapiła się na nas.

- Poznałem go - powiedział ponuro Mono. - Był w Grove, kiedy tamtą kobietę walnął samochód.

-Ale strzeliłeś do niego. Mono rozzłościł się.

- Dostał w nogę.

- Na pewno?

- Na sto procent.

Uczył się posługiwania bronią od najlepszych w CIA. Na plażach Florida Keys

ćwiczyli natarcie podczas sztormu i nocne strzelanie do celu pociskami smugowymi. W przerwach na lunch strącał orzechy kokosowe z pistoletu kaliber czterdzieści pięć. Szkolenie trwało sześć miesięcy.

Mono zaprzyjaźnił się z wieloma żołnierzami. Dwaj zginęli z Zatoce Świń. Inny trafił na siedemnaście lat do więzienia na Isla de Pinos i żałował, że też nie poległ. Kiedy go wypuścili, był niewidomym kaleką. Mono wyszedł na lotnisko, gdy wynajęty samolot linii Eastern przywiózł go z Hawany do Miami. Szlochali jak dzieci. Ludzie Mono nigdy nie widzieli go płaczącego, ale rozumieli.

47

Przez lata Mono nie zapomniał niczego ze szkolenia CIA, a najmniej strzelania. Teraz przeklinał samego siebie, że nie zabił tamtego gringo. Mógł wycelować w pierś. Tymczasem wymierzył niżej. Nie z litości, tylko z rozsądku. Postrzelenie kogoś w afekcie, a morderstwo pierwszego stopnia to duża różnica.

Nie przyszłoby mu do głowy, że jeszcze się spotkają.

- Załóżmy, że masz rację - powiedział wieśniak. -1 co? Myślisz, że cię rozpoznał? A jeśli nawet, to że będzie cię szukał? - Mężczyzna zachichotał i pociągnął łyk piwa.

- Chrzanisz, Mono... - poparł go kolega ze zdeformowanym uchem. -Nie zauważyłem, żeby ktoś ci się przyglądał. Zapomnij o całej sprawie.

- Nie - odparł Mono. - Dowiedzcie się, kto to jest. Ramon, masz dziewczynę w rejestracji szpitala Flagler Memorial. Zadzwoń do niej. Niech sprawdzi wszystkich postrzelonych tamtego dnia. Powiedz jej, że szukasz chudego Anglo po trzydziestce z jasnymi włosami. Dostał w kolano albo w udo.

- Dobra - zgodził się Ramon.

- Wyciągnij o nim wszystko, co się da - dodał Mono.

- A potem? - zapytał wieśniak.

- To prywatna sprawa - ciągnął Mono. - Po prostu wyświadcysz mi przysługę.

Jeden z mężczyzn parsknął śmiechem. Był już pijany. Twarz Mono pociemniała, nabrzmiały mu żyły na szyi. W innych okolicznościach przyłożyłby tamtemu tak, że zalałby się krwią. Może by zmądrzał. Ale na razie go potrzebował. Nie odezwał się, więc.

- El Jefe kazał skończyć ze strzelaniem - przypomniał Ramon. - Wkurzył się na nas za tamtą rozróbę w Grove.

- O niczym się nie dowie - odrzekł ponuro Mono. - Znajdź tego gringo. -Ale co potem? - spytał mężczyzna z uchem jak kalafior.

- Nic - odparł spokojnie Mono. - Nada. Chodzi mi tylko o informacje.

Wyjął plastikową fiolkę i wysypał trochę białego proszku na kartę American Express. Podzielił kupkę nożem na cztery równe linijki. Koledzy patrzyli w milczeniu, jak zwija w rulonik nowiutką studolarówkę. Szybko wciągnął nosem trzy linijki. Czwartą poczęstował Ramona.

W drodze do drzwi Mono uściskał mocno właściciela restauracji, Oscara.

- Dzięki za gościnność. Jesteś dobrym przyjacielem.

- Dla pana wszystko, se?or Sosa.

Zawsze se?or Sosa. Oscar nie odważyłby się użyć przezwiska Mono. Małpa. Se?or Sosa wyświadczył mu kiedyś wielką przysługę. Mały dług, a jaki głupi. Pewnej nocy pijany Oscar wybrał się z przyjaciółmi na walki kogutów w Key Largo. Pieniądze fruwały jak pierze. W końcu restaurator stwierdził z przerażeniem, że jest „do tyłu” na trzy tysiące. Oczywiście nie mógł się wypłacić.

48

Se?or Sosa załatwił to od ręki. Wyciągnął taki zwitek banknotów, że ledwo mieścił mu się w dłoni. Nigdy nie zażądał zwrotu pożyczki. Prosił tylko, żeby czasem lokal był dłużej otwarty, gdy będzie chciał omówić z przyjaciółmi interesy. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

- Mam nadzieję, że nadal nie uprawiasz hazardu, Oscar?

- O, nie. Dałem sobie spokój. Nie gram już nawet w la bolitę. Nie tracę na to ani peso.

- Bardzo dobrze - pochwalił dobrodusznie Mono. - Żebyś jeszcze przemówił do rozsądku tym kretynom. Stracili dziś fortunę na wyścigach psów.

Sodowe lampy rzucały na ulicę mglisty pomarańczowy blask. Ruch zamarł. Czasem tylko przemknęła taksówka, wracająca na bulwar. Mono stał przez chwilę przed „El Hogar”. Czuł przyspieszone bicie serca. Nie miał ochoty wracać do domu.

Jego trzech towarzysze wpakowali się do złocistego continentala. Domingo Sosa szybko przeciął jezdnię i wsiadł do granatowego bmw zaparkowanego na miejscu dla niepełnosprawnych.

-Adios, Mono - krzyknął jeden z mężczyzn, gdy lincoln wystrzelił do przodu: Pijani idioci, pomyślał Sosa. Potem trzykrotnie wcisnął gaz, żeby podgrzać silnik. Wrzucił jedynkę i odjechał w przeciwnym kierunku.

Octavio Nelson i Wilbur Pincus schowali się poniżej linii okien w starym niebieskim dodge'u. Czekali, aż minie ich continental. Skulony pod deską rozdzielczą Nelson czuł miętowy oddech partnera.

- Ruszaj! - szepnął z podnieceniem Pincus.

- Siedź.

Nelson wynurzył się z ukrycia dopiero wtedy, gdy odgłos silnika lincol-na milknął w oddali. Bmw zdążyło zniknąć.

- Jasna cholera - zaklął i przekręcił kluczyk. Dodge nie zapalił. - Niech to szlag. - Spróbował jeszcze raz. Udało się. Wystartował z piskiem opon. Miał nadzieję, że jeszcze gdzieś dojrzy tylne światła Mono. Wolał nie patrzeć na partnera.

Mieli polecieć do Rio. Meadows żałował później z całego serca, że nic z tego nie wyszło. Wszystko byłoby inaczej. Z toru psich wyścigów pojechali do małego osiedla Terry na Key Bi-sayne - wyspie oddalanej od miasta o dwadzieścia minut drogi. W samochodzie Meadows opowiedział o tragedii w Coconut Grove i o tym, co widział na wyścigach.

- Powinienem być wezwać gliny. Złapałoby go.
- Nie wiadomo, querido - pocieszyła go Terry. - Jeśli cię rozpoznał, cała banda na pewno wyniosła się stamtąd tak szybko, jak my. Poza tym, z takimi typami lepiej nie ryzykować.
- Chyba tak - przyznał bez przekonania.
- Dios, szkoda, że mnie tu nie było. Przeżyłeś piekło, mi amor. Słuchaj, a może wybierzemy się gdzieś na kilka tygodni? Zrobię wszystko, żeby ranna noga przestała cię boleć, a środkowa zaczęła. Obiecuję.
- A firma CAN poradzi sobie bez ciebie, capitán!
- Jakoś to będzie. Zatrudniłam nowego pilota, ale Pancho potrafi go wyszkolić nie gorzej ode mnie.

- Więc załatwione - zgodził się Meadows. - Co powiesz na Brazylię? Zawsze chciałem zobaczyć Bahię.

- Vamos. Znam ją dobrze. Przyrzekam, że nie przedstawię ci żadnego z moich tamtejszych chłopaków.

Ale nie dotarli dalej niż na Key Biscayne. Następnego wieczoru Terry wezwano do firmy. Jeden z jej convairów utknął z ładunkiem w Kostaryce. Wysiadł cały system hydrauliczny. Terry musiała tam polecieć innym samolotem i dostarczyć towary do odbiorców: prezerwatywy do Peru, dłużyce do Salwadoru i kolorowe telewizory do Sao Paulo.

- Załatwię to w dziesięć dni - obiecała w drodze na lotnisko.

- Tak? - zdziwił się Meadows. - A jak zamierzasz tego dokonać? Wynająć concorde'a?

Terry przechyliła się na siedzeniu i pocałowała go.

- Musimy być częściej razem. W najbliższej przyszłości żadnych długich podróży. Przyrzekam.

Meadows postanowił wrócić do siebie i zająć się projektem dla Ekwadoru.

Ochota szybko mu odeszła. Nie mógłby się skoncentrować. Szkoda papieru na nieudane rysunki.

Najpierw głowę zaprzętała mu Terry, teraz portret pamięciowy zabójcy. Parzył go przez kieszeń. Z lotniska pojechał trasa szybkiego ruchu na wschód, ku widocznym na tle nieba zarysom śródmieścia Miami. Znalezienie komendy policji zajęło mu tylko dziesięć minut.

Stojąc na parkingu, przyjrzał się z przyzwyczajenia nowemu budynkowi.

Owszem, odcień gliny dodawał mu ciepła, ale małe okna przypominały więzienie Leavenworth. Może architekt starał się ochronić pracowników przed bezlitosnymi promieniami słońca. Meadows stwierdził w końcu, że to typowa siedziba urzędu. Policjanci czuli się tu zapewne jak w domu.

Wszedł do holu wyłożonego śliską posadzką. W pamięci powtórzył sobie, co powie Nelsonowi, gdy pokaże mu portret zabójcy. Czy detektyw wyśmieje go? Nazwie to halucynacjami? Oświadczy, że zabójcy dawno zniknęli z kraju?

Meadows usiadł i jeszcze raz przyjrzał się rysunkowi.

50

Dwaj mundurowi gliniarze wlekli przez hol pijanego.

- Zostawcie mnie - jęczał. - Chcę iść do domu. - Na nadgarstkach zatrzymanego widniały otarcia po kajdankach. Meadows zastanawiał się, co będzie później, kiedy policjanci zostaną z pijakiem sam na sam.

Na czwartym piętrze w wydziale narkotyków detektyw Wilbur Pincus pochylał się nad maleńkim biurkiem i zapisywał coś w brązowym notesie. Prawym łokciem starannie zasłaniał niewyraźną fotokopię protokołu holowania pojazdu.

Zdobył dokument od zaprzyjaźnionego policjanta z garażu. Na formularzu brakowało podpisu przełożonego, więc nigdy nie trafiłby do akt. Ale zawierał ciekawe informacje o pewnym mercedesie 450 SEL.

Pincus zanotował równym, okrągłym pismem: „PRW 378 fi”. Potem złożył fotokopię, podał na paski i wrzucił do kosza na śmieci.

Sięgnął do telefonu.

- Wydział ruchu drogowego.

- Czy Dermis ma dzisiaj służbę?

- A kto mówi?

- Pincus z narkotyków.

Po kilku minutach w słuchawce zabrzmiał wesoly głos.

- Sie masz, detektywie. O co chodzi?

- Cześć, Dennis. Możesz mi sprawdzić jeden numer rejestracyjny?

- Nie ma sprawy. Dawaj. Pincus podał numer mercedesa.

- Oddzwonię za pięć minut - obiecał Dennis.

Pincus wyłączył się i nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Zaschło mu w ustach. Odwrócił się na krześle.

- Przepraszam... Nie chciałem pana przestraszyć.

- Nic nie szkodzi - odparł Pincus.

- Szukam Octavio Nelsona - wyjaśnił wysoki, jasnowłosy mężczyzna.

Wyglądał znajomo. Chociaż był dobrze zbudowany, Pincus od razu zaszufładował go jako naukowca. Na pewno Ivy League, pomyślał.

- Teraz go nie ma.

- Jestem Chris Meadows. Już się spotkaliśmy.

- Jasne! - przypomniał sobie Pincus. - W szpitalu, prawda?

- Właśnie.

- Widzę, że wraca pan do formy. Nie poznałem pana. Meadows uśmiechnął się lekko.

- Wtedy miałem rurki na twarzy, pewnie dlatego.

- Czym mogę służyć?

- Czy Nelson jeszcze będzie? Pincus spojrzał na ścienny zegar.

51

- Wątpię. Pojechał do zabójstwa w Homestead, a stamtąd pewnie prosto do

domu.

-A jutro?

- Od bladego świtu - zapewnił Pincus. - Powiem mu, że pan był. Na pewno nie mogę w niczym pomóc?

- Hm... - Meadows zawahał się. - Nie, wpadnę do niego jutro. Zabawny gość, pomyślał detektyw, gdy Meadows wychodził. Ciekawe, czy przypomniał sobie coś nowego o tamtej strzelaninie. Często tak się zdarza, gdy szok mija. Może powinienem być go trochę przycisnąć? Na dźwięk telefonu aż podskoczył.

- Znalazłem twojego faceta - oznajmił Dennis z drogówki. - Nazywa się Nelson, Roberto Justo. Chcesz jego datę urodzenia, adres i tak dalej? Pincus natychmiast zapomniał o Meadowsie.

- Dawaj wszystko.

Ze śródmieścia Miami do domu Meadows miał zaledwie dziesięć minut drogi. Ale jechał wolno, zamyślił się i o mało nie przegapił skrętu z Main Highway. Zastanawiał się, czy powinien był pokazać rysunek Pincusowi. Facet wygląda na równie bystrego, jak Nelson. Może nawet bardziej profesjonalnego. Gładko ogolony, krótko ostrzyżony, granatowy garnitur - prawdziwy agent FBI z telewizji.

Ale Nelson to Kubańczyk. Jak zabójcy. Dlatego Meadowsowi zależało, żeby to on zobaczył rysunek. Nelson z pewnością zna środowisko Małej Hawany, podczas gdy Pincus... No cóż, to raczej nie jego specjalność. Zaczekamy do jutra.

Meadows zaparkował samochód przed domem pod rozłożystymi drzewami. Lampa nad wejściem włączała się automatycznie o zmroku i teraz oświetlała ścieżkę. W jasnym blasku wirowały ćmy i komary. Wszedł szybko do środka. W drodze do domu zobaczył nagle oczami wyobraźni wyrazistą wizję gmachu ekwadorskiego Ministerstwa Ropy. Nie mógł się doczekać, kiedy zasiądzie do rysowania. Po raz pierwszy od czasu strzelaniny ogarnął go zapał do pracy. Nacisnął włącznik na ścianie i pod sufitem zamruczał wentylator.

- Do roboty - powiedział głośno. - Ale najpierw pływanie. Ściągnął koszulę, zrzucił spodnie i wyszedł na ganek. Wiatr ustał. Gładka zatoka lśniła jak szyba.

Zauważył, że w basenie palą się światła. Nie pamiętał, żeby je tak zostawił. Ale ostatnio był roztargniony. A może to ekipa czyszcząca? W jakie dni przychodzą? Tak, to na pewno ci faceci.

52

Gęsta roślinność w ogrodzie mieniła się w poświacie podwodnych reflektorów. Chris zdjął spodenki; mógł napawać się samotnością. Tylko ja i śpiące wróble, pomyślał.

Podszedł do głębszej części basenu i zrobił dwa przysiady, żeby sprawdzić prawą nogę. Nie bolała. Stał wyprostowany na początku trampoliny i odmierzył wzrokiem cztery długie kroki.

Na końcu deski leżała gałązka. Spadła ze starego dębu. Meadows przeszedł

po sprężystej platformie, podniósł patyk i rzucił w zarośla. Szelest spłoszył drobnego, cętkowanego kameleona. Zadarł ogon i czmychnął w kierunku basenu.

- Uważaj, mały - roześmiał się Meadows.

Niewielki gad dał nura do wody. Światła nagle przygasły i rozległ się trzask. Z basenu uniosła się fala gorąca i czarny dym.

Przerażony Meadows cofnął się z trampoliny. Czekał na hałas, kroki na podejździe, chłodny głos...

Ale wokół panowała cisza.

Powlókł się wolno w stronę domu. Wtem obejrzał się i zaczął biec. W czystej, gorącej wodzie unosił się skręcony, poczerniały kameleon. Wyglądał jak zeschnięty liść w stawie.

8

Octavio Nelson popatrzył na basen, potem na zatokę. Na południe płynął zardzewiały krewetkowiec. Wyciągał sieci. Detektyw odetchnął głęboko wilgotnym, słonym powietrzem gorącej nocy.

- Piękne miejsce - powiedział. - Musiało kosztować kupę forsy. - Pochylił się nad kablem biegnącym między palmami do płytkiej części basenu.

- Sprytne - mruknął jakby do siebie. - Ci faceci zazwyczaj nie stosują takich sztuczek. Jeden skok do wody i ciao.

Uznał, że nie warto wzywać chłopców z laboratorium. Nie znajdą odcisków palców, porzuconego narzędzia ani żadnych śladów. Ktoś umiejętnie i starannie przygotował tę wodną pułapkę. Podszedł do ganku. Meadows siedział na drewnianych stopniach z łokciami opartymi na kolanach. Zaciskał rękę na szklance bursztynowego płynu, aż zbieleły mu kostki. Podczas rozmowy przez telefon ledwo nad sobą panował. Nic dziwnego. Cud, że nie zginął.

- Znów miał pan szczęście, amigo - odezwał się cicho Nelson. Meadows zamieszał lód w szklance. Pił już trzeciego drinka. Milczał.

Był błydy niczym wapienna obudowa basenu i zlany potem. Rozpięta, biała koszula nadawała się do wyżęcia.

53

- To na pewno nie wypadek? - zapytał w końcu.

- Jasne, że nie. To robota zawodowca. Ktoś chciał pana zabić. Meadows gwałtownie wstał. Whisky chlapnęła ze szklanki i pojedyncza kostka lodu wypadła na ziemię.

-1 pan uważa, że miałem szczęście? - zadrwił. - Drugi raz w ciągu kilku tygodni ktoś chciał mnie zamordować, a pan nazywa to szczęściem?

Detektyw wszedł do domu i nalał sobie setkę rumu. Dobrze, że splawił Pincusa i przyjechał tu sam. Picie na służbie? To nie do pomyślenia! Wilbur zaraz poleciałby z tym do szefa. Nelson zapalił cygaro i oparł się o sekwojowy filar ganku.

- Obawiam się, że przeszkadza pan tym typom. A oni tego nie lubią. Proste.

- Jezu Chryste, przecież nic im nie zrobiłem!

- Nie musiał pan. Wystarczy, że pan za dużo wie. - Nelson wolno cedził słowa, niemal sylabizował. - Powie mi pan, co to takiego?

Meadows potrząsnął głową, jakby chciał dojść do siebie po ciosie. Co za przerażająca nonszalancja! Ktoś próbował go zabić, a ten cyniczny gliniarz popija jego rum i spokojnie usprawiedliwia działanie bandytów.

- Kim oni właściwie są? - zirytował się Meadows. - Przecież musi się pan orientować! Dlaczego ich nie aresztujecie, na litość boską? He jeszcze zamachów uda mi się przeżyć? Gdyby nie ta mała jaszczurka, już bym nie żył! Używając pańskiej terminologii, kameleon nie miał szczęścia. - Po tym wybuchu, o dziwo, poczuł się lepiej. Uspokoił się trochę. - Skąd wiedzą, kim jestem i gdzie mieszkam?

- Sam się nad tym zastanawiam - przyznał Nelson. - Po strzelaninie pańskie nazwisko nie pojawiło się w gazetach. Ale znalazło się w raporcie policyjnym i w kartotece szpitalnej. Stawiałbym na raport policyjny; każdy może do niego zajrzeć. Niech pan opowie jeszcze raz, co wczoraj zaszło. Tylko powoli. Przez telefon niewiele mogłem zrozumieć.

Meadows z trudem zrelacjonował wydarzenie na torze psich wyścigów. Zaczynał się, przerywał i zaczynał od początku. Zanim skończył, coś sobie uświadomił.

- Jeśli ja go rozpoznałem, to on mnie też, zgadza się?

- Jak najbardziej - przyznał Nelson. - A potem zdobył informacje o panu. Meadows wciąż nie dowierzał.

-1 stałem się dla zabójcy takim zagrożeniem, że zamienił mój basen w krzesło elektryczne?

- Zgadł pan.

- A skąd wiedział, że akurat ja wejdę do wody? Czasem pływają tu moi znajomi i dzieci z sąsiedztwa.

- Nie wiedział. Ale spróbował, bo niczym nie ryzykował. W chwili wypadku, byłby daleko stąd. Dlatego powiedziałem, że miał pan szczęście.

54

- Ostatniej nocy była u mnie dziewczyna. To ona mogła zginąć. - Meadows dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

Nelson wzruszył ramionami.

- Nie ja ustalam zasady, amigo. Ja tylko wyjaśniam panu, o co chodzi w tej grze.

Meadows zamachnął się gwałtownie i cisnął szklanką w drzewo za domem. Trafiła w pień i rozprysła się. Spojrzał gniewnie na Nelsona.

- Takie rzeczy nie mogą się zdarzać w państwie prawa. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. To nie dżungla.

Nelson omal nie jęknął. Powinien był tu jednak przysłać Pincusa; on jeszcze ma złudzenia. Ci dwaj pasują do siebie. Wspaniała para. Oczami wyobraźni zobaczył, jak obaj salutują przed flagą narodową. Albo stoją przy ognisku na zlocie skautów. Ślubują lojalność i posłuszeństwo. Przysięgają nie jeździć po pijaku i nie brać prochów. Oszczędź ich, Panie, bo są niewinni. Octavio

Nelson jednym haustem dopił rum i rozejrzył się za butelką.

- Zrobię panu drinka - zaproponował Meadowsowi. - To pana uspokoi.

Przeżył pan cholernie niemłą przygodę.

Stanął plecami do niego i zaczął z namaszczeniem dodawać lód do szklanki; wrzucał po jednej kostce. Czekał, żeby architekt ochłonął.

- Kto to jest? - zapytał chłodno Meadows. Nelson nie odwrócił się.

- Nie wiem.

- Więc pokażę panu. - W Meadowsa wstąpiła nerwowa energia. Wbiegł po schodkach do domu i szybko podszedł do stołu obok baru. Szarpnął szufladę, aż zaskrzypiała. Po chwili zamachał Nelsonowi przed nosem kartką papieru.

- Oto on. Człowiek odpowiedzialny za śmierć Sandy i jej córeczki. Facet, który mnie postrzelił. Narysowałem go zeszłej nocy. Teraz chyba może go pan aresztować?

Nelson odstawił rum i ostrożnie wziął kartkę. Kątem oka obserwował Meadowsa. Architekt nalał sobie pełną szklankę bourbona.

- Doskonały portret. Ma pan talent.

- Zna go pan?

-Aż za dobrze. Nazywają go Mono. Przewisko pasuje do jego inteligencji i temperamentu. To rewolwerowiec, egzekutor.

- Innymi słowy, pańska znajoma „małpa” to zawodowy zabójca? Nelson przytaknął.

- Więc dlaczego nie siedzi?

- Już był za kratkami i pewnie kiedyś znów tam trafi.

- Czemu nie zaraz?

- Mamy mnóstwo podejrzeń, ale do dziś nie wiedzieliśmy nic na pewno. Mono zazwyczaj pracuje na zlecenie. Nie zostawia śladów. Mono es muy macho. Pierwszego morderstwa dokonał w Hawanie jeszcze jako nastolatek. Boją się go wszyscy w barrio. Żaden Latynos nie będzie zeznawał przeciwko niemu.

55

- To nie w porządku - nie ustępował Meadows.

- Nie w porządku?! - wybuchnął Nelson. - Jasne, że nie! Ale coś panu powiem. Większość ludzi w barrio nie ma takiego wykształcenia, jak pan. Mimo to, nie brakuje im rozumu. Znają dwa podstawowe prawa obowiązujące w narkotykowym interesie jak pacierz. Tego nie uczą w żadnym college'u. Nelson opróżnił szklankę i nalał sobie następną. W butelce pokazało się dno. Wypił już chyba ćwiartkę.

- Dwie proste zasady, amigo. Nowe przykazania. Pierwsze brzmi: zawsze wyrównuj rachunki. Drugie: nigdy nie gadaj z glinami. Mono i jemu podobni bardziej hołdują tym regułom niż sędziowie zważają na sprawiedliwość. I co pan na to?

Nelson pociągnął mały łyk i skrzywił się. Ostry, gorzkosłodki rum palił go w gardle.

- Nie ma pan cygar? - Meadows wskazał skrzyneczkę. - Upmanny! A niech mnie! Nie handluje pan przypadkiem prochami, amigo? Chyba tylko facetów z

tej branży stać na upmanny.

Meadows wolał się nie przyznawać, że kupił je na Kubie. W Miami lepiej nie mówić, że było się w Hawanie. Wielu ludzi uważa to za zdradę. Nie zamierzał wyjawiać kubańskiemu emigrantowi, że wykładał architekturę w kraju rządzonego przez Fidela Castro. Zwłaszcza gliniarzowi upijającemu się w jego salonie. W dodatku teraz, gdy miał zamęt w głowie po drugim kontakcie z barbarzyńską subkulturą, której istnienia nawet nie podejrzewał. Nie potrafiłby przekonać Nelsona, że ideologia nie powinna krępować architektów, podobnie jak artystów. To temat do spokojnej dyskusji przy kominku w gronie przyjaciół. A co powiedzieliby jego wykształceni znajomi o nowych przykazaniach? Zawsze wyrównuj rachunki. „Doprawdy Chris, jakie to atawistyczne”. Meadows niemal słyszał profesorski ton Geoffrey'a Browna. „Bezsensowny powrót do moralności według Starego Testamentu: oko za oko”. A Scott Hansen, chorobliwie konsekwentny, ukrywający się za krzykliwymi płótnami? Czy wie, że drugie przykazanie brzmi: nigdy nie gadaj z glinami? „Jeszcze jeden dowód upadku społeczeństwa, zaniku wszelkich wartości. Zwiastun całkowitego rozkładu. W tym kraju wkrótce zapanuje dyktatura wojskowa. Przekonacie się”. Oto, jaki komentarz wygłosiłby Scott Hansen.

Meadows nie odezwał się, kiedy chudy zawzięty policjant skończył zapalać kubańskie cygaro. Słuchał w milczeniu zatrważającej homilii na temat przykazań obowiązujących w narkotykowym świecie. Nelson przypominał nawiedzonego nauczyciela, który wie, że uczniowie go przeklinają, ale nie zważa na to. Z oparów bourbona, rumu i cygar, wyłaniał się ponury obraz. Meadows był przerażony.

- Dobry przykład wyrównywania rachunków... - opowiadał Nelson -to historia niejakiego Luisa Garcesa. Groźny twardziel. Biedaczysko, prosty chłopak z kolumbijskiej wioski. Szybko myślał i działał. Zanim wszedł

56

do kokainowego interesu, był kieszonkowcem. Jednym z najlepszych. W Bogocie od blisko trzystu lat istnieje słynna szkoła złodziei. Pewnie o tym nie wiedziałeś, Meadows? Sprytny Luis zdał sobie sprawę, że w kilogramie koki jest więcej pesos niż w tysiącu kieszoni. Nakradł tyle, że stać go było na kupienie dokumentów podróży i przeprowadzką do Miami. Kto inny wycofałby się. Osiedlby spokojnie na cichych przedmieściach w Miami Beach i czasami skubnął jakąś nadzianą facetką. Ale nie młody i ambitny Luis. Wkrótce po przyjeździe na Florydę dobrał sobie wspólnika. Zaczęli szukać koki i znaleźli. Luis odstawił się elegancko i podał za kupca z Nowego Jorku. Kiedy doszło do spotkania ze sprzedawcami, nie zapłacili. Po prostu gwizdnęli towar. Luis to potrafił. Zdobyli chyba pół kilo koki, amigo, ale popełnili wielki błąd: nie zabili facetów, których okradli. Trafili do pierwszej ligi, a nadal grali jak w trzeciej. Kiedy kradnie się kokę, Meadows, likwiduje się każdego, kto może cię ścigać. Bo nikt nie daruje takiego numeru. Luisa i jego kumpla dorwali pewnej nocy na ulicy w śródmieściu. Przed tym bankiem, co ciągle zmienia

nazwę. Nie mieli szans. Nawet nie zdążyli wyciągnąć broni. Bang, bang i leżą. Ciężko ranni. Zabieramy ich do Flagler Memoriał. Nas kosztowałoby to kilkaset dolarów dziennie, ale handlarzy leczy się za frajer. Luis z koleżką udają głupich: „Postrzelili mnie, panie władzo? Jest pan pewien, że nie wpadłem pod ciężarówkę?” Po paru dniach wygląda na to, że wyjdą z tego. Odpoczywają w wygodnych łóżkach za forszę podatników. I co się dzieje? Faceci, którzy do nich strzelali przychodzą dokończyć robotę. Co ty na to, Meadows? To się nazywa wytrwałość. Wpadają do sali z bronią automatyczną i walą. Luisa trafiają kilka razy. Z jego kumpla robią ser szwajcarski. Lekarki mdleją, pielęgniarki wrzeszczą, pacjenci dostają ataku serca. Szpital otaczają gliniarze z całego miasta. Broni tyle, że można by zająć Hawanę. Jeden z tamtych zasrańców daje nogę. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, którą przysnął. Drugi wyłazi na dach. Zaczyna się wielka bitwa. Antyterrorysty ze SWAT, helikoptery, cała cholerna kawaleria. W końcu załatwiają gnoja, ale przy okazji obrywa gliniarz. Koledzy znoszą go po schodach na dół. Jeśli już masz być postrzelony, to już lepiej w szpitalu, niż gdzie indziej, no nie? Guzik prawda. Wnoszą tego gliniarza, a nikt nie może się nim zająć! Wiesz dlaczego? Bo wszyscy ratują kieszonkowca Luisa. Ciężko ranny, biedaczysko. Porucznikowi z wściekłości odbiło. Wyszarpnął pistolet i przystawił do szyi naczelnego lekarza: „Albo zaraz weźmiesz się za mojego człowieka, sukinsynu, albo rozwalę cię i tego cholernego Kolumbijczyka na stole operacyjnym”. Piekło, chłopie. Ale gliniarz i Luis przeżyli. Tylko porucznika przenieśli, bez prawa dowodzenia oddziałem. U przełożonych miał przechlapanie, za to każdy gliniarz w okręgu dałby się za niego zabić. I po sprawie. -Nelson zrobił chwilą przerwy. - Ale to nie koniec tej historii; to dopiero początek. Wiesz, gdzie jest teraz Luis, amigo? W celi śmierci więzienia

57

stanowego w Raiford. Pewnego dnia usmażą go. A wiesz dlaczego? Wyszedł ze szpitala i wyjechał do Kolumbii, bo frajer Wuj Sam zrobił mu grzeczność. Ale Luis wrócił do Miami. Pewnej nocy wlał do salonu palanta, który go postrzelił i wysłał go do nieba. Morderstwo pierwszego stopnia i kieszonkowiec Luis jest ugotowany. Ale trzeba podziwiać tego biednego sukinsyna. Wyrównał rachunki. Wszyscy rozumieją, że to najważniejsze. Jasne, że każdy siedzi w tym dla forsy, ale na sutenerstwie też można zarobić. Machismo, to się najbardziej liczy. Durni Anglo, co kręcą się na uboczu nie kapują tego. Dlatego czasem giną. Żeby przemycać prochy, trzeba być macho. Są dwie strony medalu. Modne łańcuchy, duże bryki, seksowne chicas; to na pokaz. Jeśli nie jesteś twardym hombre, tamto nic nie znaczy. Kiedy jakieś palanty zastrzelą twojego compadre, idziesz i rozwalasz ich. Bo jak tego nie zrobisz, możesz wracać do obrabiania cudzych kieszeni. Nikt nie będzie robił z tobą interesów. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego małe dziewczynki i ich matki giną w Grove? Dlaczego eleganckie babki z przedmieść padają od kul w centrach handlowych? Dlaczego zabijają je

bestie o zepsutych zębach, nie znające angielskiego? Machismo, oto odpowiedź. Po co myśleć, kiedy można strzelać? Nelson odwrócił się plecami do kominka.

- Co?! Rum się skończył? - Cygaro znów mu zgasło. Zapalił je starannie.

- Jest jeszcze butelka. Ja też się napiję - odrzekł szybko Meadows. Czuł się jak mały chłopiec, który po raz pierwszy słucha historii o duchach. Nie chciał, żeby Nelson wyszedł. Nie chciał zostać sam.

Nelson zaczął opowiadać, co się dzieje, gdy ktoś gada z glinami.

- Był pewien Kubańczyk. Miły facet. Nazywał się Angel Arellano. Kończyliśmy tę samą szkołę w Hawanie. Nie porywał się na duże interesy. Pewnie dlatego, że nie miał jaj. Ale zawsze chętnie poprowadził ciężarówkę albo łódź. Przydawał się, więc często coś mu kapnęło. Urządził się. Ożenił z seksowną babką, urodziła im się ładna córka. Kupili dom na przedmieściu. Angel był z niego dumny jak cholera. Drewniane belki pod sufitem i tak dalej. Jakby zbudował to jakiś znany projektant. Angel uwielbiał te belki.

Wypiaskował je i wypokostował, jak to Kubańczyk na dorobku albo bogaty architekt, no nie? Wszystko szło dobrze, dopóki pewnej nocy nie złapaliśmy go z kilogramem koki. Oryginalny towar, osiemdziesiąt siedem i dziewięć dziesiątych procenta. Nie mógł należeć do Angelito. Wiedzieliśmy, że wzięt to od kogoś na przechowanie, ale nie zdradziliśmy się z tym. Zanim skończyliśmy przesłuchanie, Angel już się pożegnał w duchu z ro-dziną ukochanymi belkami. Więc delikatnie podsunęliśmy mu wyjście z sytuacji: jeśli pójdzie na współpracę, zapomnimy o sprawie i będzie wolny. Zgodził się. Wypuszczenie handlarza złapanego z towarem bez postawienia mu zarzutów to dla niego pocałunek śmierci, amigo. Każdy wie, że to wtyka. Własna matka mu nie zaufa. Więc bardzo uważaliśmy z Angelem.

58

Zrobiliśmy kilka udanych nalotów, ale tak sprytnie, że nikt ich z nim nie wiązał. Niestety potem coś nie wyszło. Nie mieliśmy pojęcia co i dlaczego. Gdy pewnego wieczoru Angel wrócił do domu, żona i córka wisiały na jego ukochanych belkach. Biedny skurwiel. Meadows był wstrząśnięty.

- Jesteście zupełnie bezsilni w takich wypadkach? Nelson roześmiał się krótko, jakby usłyszał coś zabawnego.

- Patrzysz na człowieka z pierwszej linii obrony, amigo. Bezsilni? Nie. Podłamani, owszem. Totalnie sfrustrowani. Za dużo tego. To, co tobie wydaje się sprawą życia i śmierci, w rzeczywistości jest tylko marginesem wielkiej gry. - Wskazał mahoniowy komplet szachów. - Występujesz w niej jako zwykły pionek, a ściga cię koń. Ja poluję na króla i sprzedałbym duszę diabłu, żeby go dostać. - Nelson wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Miał wyraźnie dosyć rumu. - Widzisz, amigo... jestem pionierem nowej policyjnej specjalności. Nie narkotyki, nie zabójstwa, tylko narkozabójstwa. Może pionier to niezbyt trafne określenie. Lepiej pasuje Cygan. Rozstawiam namiot przy jednym narkotykowym zabójstwie, potem wędruję do następnego. Prędzej czy później któreś doprowadzi mnie do króla.

- Kto to jest? - zapytał Meadows.
- Na pewno Latynos. Prawdopodobnie Kubańczyk. Działa w Miami. Podejrzewam, że ma kłopoty. Chyba on i jego ludzie zostali odcięci od dostaw koki. Siedemdziesiąt procent tego kolumbijskiego gówna dociera tutaj, tak? O ile nam wiadomo, przed kilkoma miesiącami król przestał panować nad sytuacją. Kubańczyków wzięto w dwa ognie. Z jednej strony sika im do zupy zbyt dużo amatorów Anglo. Dorwali się do interesu i przemycają, co się da. Z drugiej są Kolumbijczycy. Przejęli dystrybucję. W tej chwili na rynku jest tyle niepewnego towaru, że lepiej nie kupować od własnego brata. A zatem, król jest ranny i chce go dobić. Na ulicy nazywają go el Jefe. Każdy kapuś w mieście wie, że na niego polują. Wygląda na to, że el Jefe zamierza tu posprzątać, a jego miotłą jest Mono. Więc siedzę mu na karku. W końcu wskaże mi drogę do swojego szefa.

Nelson zaciągnął się cygarem.

- Kiedy dowiem się, kim jest el Jefe, wytropię go. A jak go znajdę, zastrzelę.

- Chyba „zaaresztuję” - poprawił Meadows.

- Powiedziałem wyraźnie: zastrzelę.

- Glina nie może tak zrobić. Nelson zniżył głos.

- Prawo i sprawiedliwość to nie to samo, amigo. Ani w tym kraju, ani w moim, ani w żadnym innym. Nigdy tak nie było i nigdy nie będzie.

- To jakiś absurd - obruszył się Meadows. - Jedno nie może istnieć bez drugiego.

59

Spierali się przez kilka minut. Naiwność przeciw cynizmowi. Pod względem intelektualnym starcie skończyło się remisem. Biorąc pod uwagę realia, wygrał Nelson.

- Będziesz zeznawał przeciwko niemu, amigo? - zapytał nagle detektyw.

Meadows nie dostrzegł przynęty ani ukrytego za nią haczyka.

- Przeciwko komu?

- Mono. Strzelał do ciebie, a dziś próbował cię zabić w basenie. Choć tego drugiego zamachu nie uda nam się udowodnić. Ale potrafisz go zidentyfikować. Popelnił przestępstwo i sprawiedliwość wymaga, żeby trafił do więzienia. Jednak do tego potrzebne są zeznania. Bez nich nie będzie wyroku.

- Oczywiście, że będę zeznawał - odparł Meadows.

- Bueno. W takim razie, zaaresztuję go. I zapewnię ci ochronę policyjną. Meadows skinął głową, więc Nelson zarzucił przynętę.

-A najdalej za pół roku będziesz martwy, jak ten kameleon w basenie. To pewne.

Meadows poczuł mdłości. Whisky podeszła mu go gardła. Nie mógł złapać oddechu. Po szyi spływał mu pot. Starał się uspokoić, ale w wyobraźni widział tylko maleńką jaszczurkę, która wesoło skacze do wody. Prosto do wieczności. Nagle uświadomił sobie, że przerażające opowieści Nelsona to nie pijacki bełkot. Kryło się w nich ostrzeżenie, a on go nie zrozumiał. Zdał

sobie sprawę, że Nelson wcale nie zamierza aresztować Mono. A zeznania przeciw zabójcy to wyrok śmierci na samego siebie.

- Zaraz... - wychrypiął. - A może... jest inny sposób? Chodzi mi o to...

Octavio Nelson popatrzył na Christophera Meadowsa z taką samą wyższością, jak na kameleona. Potem uśmiechnął się szyderczo zza kłębow dymu z cygara.

- Dobrze myślisz, amigo. Zeznania to samobójstwo.

Meadows poczuł się jak tchórz, któremu pozwolono wycofać się z pola bitwy.

- Co ja mam robić? - zapytał słabo. Zabrzmiało to żałością, nawet dla niego samego.

- Wyjechać z miasta. Vete.

- Uciec?

- To najlepsze wyjście. Jeśli zostaniesz, będziesz tarczą strzelniczą. Jeśli znikniesz, czas będzie działał na twoją korzyść. Nie grasz głównej roli w tym przedstawieniu, więc prędzej czy później zapomną o tobie. Zajmą się kimś innym. Dzieją się ważne rzeczy i nie będą sobie zawracać głowy polowaniem na ciebie.

Meadows nie chciał wyjeżdżać. Ale wiedział, że powinien. Sandy i Jessiki nic nie wskrzesi. A on już dość wycierpiał. Wprawdzie ucieczka to unikanie walki, ale co z tego? Nie znosił walczyć, uważał to za bezsensowne. Robił to tylko wtedy, gdy nie miał wyboru. Jak tamtej nocy w Nowym Jorku. Teraz ma wybór. Nic nie zyska, jeżeli zostanie. A jeśli wyjedzie, zapewne ocali życie.

- Na jak długo mam zniknąć?

60

- Na kilka tygodni. Trudno dokładnie powiedzieć. Będziemy w kontakcie. - Nelson zdusił cygaro w popielniczce i ruszył do drzwi.

Meadows czuł się strasznie.

- Mimo wszystko uważam, że mam rację, Nelson. Jeżeli zdecydujesz się aresztować Mono, wróć - rzucił odważnie.

Detektyw niedbale machnął ręką.

- Nie przejmuj się nim. Tacy jak on kończą na dnie zatoki. Nie stają przed sądem.

Zapadła krępująca cisza.

- Podrzucić cię na lotnisko? - zapytał Nelson.

- Nie, dzięki. Muszę zadzwonić do kilku przyjaciół w Nowym Jorku i zamknąć dom. Polecę ostatnim samolotem.

- Wybierz się na ryby. Ja bardzo lubię łowić. - Nelson popatrzył na uśpioną zatokę. Myślni znalazł się nagle bardzo daleko. - Na Kubie często wypływałem w morze z ojcem i bratem. Nigdy nie zapomnę, jak brat złowił dużego rekina. Tak się przestraszył, że nawet nie przeciął linki. Stał z wędką jak posąg, a rekin walił w burtę łodzi. Teraz już nie łowię; nigdy nie ma czasu. Zamiast tego, dla odprężenia marzę. A wiesz o czym, amigo! Że pewnego dnia wyłapię wszystkich kokainowych kowbojów w mieście. Zbiorę ich na Orange Bowl, bo to będzie spory tłum. Ustawię ich w szeregach i będę

spacerował przed nimi jak sierżant przed plutonem. Do pierwszego z brzegu powiem: „Oye, Jose, pamiętasz, jak twojego compadre Luisa tak posiekały kule, że nie mogli zliczyć dziur? Ten hijo de puta, który to zrobił nazywa się Carlos. Stoi tu dziś z nami i szczerzy zęby”. Potem podejść do Carlosa i powiem: „Jermano, nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego tak męczyli twojego kumpla Paco. Musieli go zabić, trudno; wszyscy to rozumiemy. Ale po co go krajali i słuchali, jak wrzeszczy? I nie mogli sobie odpuścić wpychania mu koki w tyłek? Rechotali, kiedy zaczął krzyczeć. To straszne. Czy wiesz, że cabron Jose, który zrobił to twojemu przyjacielowi jest teraz tutaj?”

Zatrzymam się tak przy sześciu czy siedmiu z nich. A potem, amigo, rzucę na odległość pięćdziesięciu metrów kilka pistoletów maszynowych z pełnymi magazynkami. Wyjdę i zamknę wszystkie wejścia. Po godzinie wrócę i dobiję rannych. Później pojedę na ryby. Lubisz łowić, Meadows? Więc zrób mi przyjemność: wybierz się na połów.

Wtedy międzynarodowy port lotniczy w Miami zajmował samotnie wilgotną równinę między miastem a Everglades. Teraz całkowicie otacza go tropikalna metropolia, której służy. To jedno z najbardziej zatłoczonych

61

lotnisk na świecie, ciasny tunel, łączący północ z południem. Godziny szczytu trwają tu cały czas. Loty do Santiago i do Seattle, lodówki na Bahamy i milionerzy do Aspen. Christopher Meadows nie znał tego portu w młodości, zanim tania klimatyzacja uczyniła z Miami magnes, przyciągający mieszkańców północnych stanów. Przekonali się, że długie lato jest warte ostatecznej ucieczki od zimy.

Meadowsa zawsze bawiła myśl, że lotnisko pozostało oficjalnym schronieniem dla sów, królików, szopów, wiewiórek i mnóstwa tropikalnych ptaków, które zamieszkują trawiaste obrzeża rozległych pasów startowych. Meadows bardzo sobie chwalił usytuowanie portu lotniczego. Z każdego punktu mógł tu dotrzeć w piętnaście minut; z Coconut Grove nawet w jedenaście, jeśli jechał na skróty.

Tego wieczoru wolno prowadził samochód. Zamyślił się głęboko i nie spieszyło mu się. Do odlotu miał jeszcze dużo czasu. Był wykończony. Ostatnio zbyt wiele się zdarzyło. W dodatku dziś przesadził z bourbonem. Trzeba się dobrze wyspać, a rano pójść na długi spacer. To mu przywróci równowagę psychiczną po mieszaninie strachu, zdumienia i whisky z Tennessee.

Strach? Jezu! Nad basenem omal się nie zsiąkał z przerażenia. Jeszcze nigdy tak się nie bał. Podczas wypadku Sandy i Jessiki nawet nie zdążył się przestraszyć. Może jest jakimś wybrykiem natury, skoro przeżył blisko czterdzieści lat, nie znając tego uczucia? Albo po prostu produktem społeczeństwa, w którym panuje taki porządek, że strach to już przeszłość, jak wietrzna ospa.

Oczywiście, że tak. Tego argumentu powiniem być użyć w czasie dyskusji z gliniarzem. Bez prawa i sprawiedliwości nikt nie jest wolny od strachu, a

strach nie ma racji bytu wśród cywilizowanych ludzi. Wsadź to sobie w swoje śmierdzące cygaro i wypal, amigo Nelson.

Meadows należał do innego świata niż detektyw - twardy, cyniczny, bezwzględny, i zapewne bardzo skuteczny. Meadows współczuł nieszczęsnym przestępcom, którzy wpadną w ręce Nelsona. To jak iść do łóżka z rysiem. Psychiatra miałby tu pole do popisu. Ale gdyby wziął detektywa w obroty, zapewne zniszczyłby dobrego policjanta. Żeby tacy jak ja mogli żyć bez strachu, społeczeństwo potrzebuje takich jak Nelson, pomyślał Meadows.

Ale przecież poradziłem sobie, prawda? Nie zsikałem się w spodnie. Nie zemdlałem i nie biegałem w kółko jak wariat. Wezwałem pomoc i racjonalnie rozmawiałem z obcym człowiekiem, a po jego makabrycznej przepowiedni podjąłem jedyną słuszną decyzję. Może nie jestem bohaterem, ale potrafię logicznie myśleć. Przeanalizowałem wszystko, jak przy projekcie architektonicznym. Uciekam? No to co? Mogę z tym żyć.

A Terry? To zupełnie co innego. Czy z nią również mogę żyć? Czy ona tego chce? Na lotnisku przemilczała mnóstwo rzeczy, a to wiele mówi...

Wyjątkowa kobieta. Rarytas. Nigdy nie palnie niczego bez namysłu. Muszę się zastanowić nad naszym związkiem. Chris i Terry... Dwa serca wryte na
62

drzewie. A tymczasem zobaczą się z Daną. Głupia sytuacja. Cholerna Terry. Wrobiła mnie w to tak samo, jak Nelson.

Dana zaproponowała, że wyjdzie po Meadowsa na La Guardię, ale odmówił. Lotniska denerwowały go. Zawsze ograniczał czas przebywania w terminalu do niezbędnego minimum. Nie cierpiał pożegnań przed odlotem i powitań po przylocie. Odpowiedział, że weźmie taksówkę i przyjedzie do jej mieszkania w Brooklyn Heights.

Zadzwoił do niej niemal odruchowo. Nowy Jork bez długonogiej Dany, to jak Nowy Jork bez Chinatown. Kiedyś wybrał się z Terry na weekend do Nowego Jorku i ciągle bał się, że za chwilę wpadnie na Danę. Spotkanie nie skończyłoby się dobrze. Terry to typ wojownika.

Meadows przejechał w zadumie Dwudziestą Siódmą Aleję. Prawie nie widział zamkniętych o tej porze sklepów. Nocą życie toczyło się jedynie w barrio.

Panował tu spory ruch. Wiele samochodów miało kubańskie flagi naklejone na zderzakach lub tylnych szybach. Grupki smagłych mężczyzn w koszulkach guayabera stały przed sklepikami z cygarami i cafecitos. Przed skrzyżowaniem z Flagler Street zajechał mu drogę czarno-złoty pontiak trans am. Architekt nie zareagował. El barrio miało własne, nieoficjalne przepisy drogowe. Każdy rozsądny kierowca wiedział, że może się spodziewać spontanicznych popisów brio. Czerwone światła, przed którymi zatrzymywano się posłusznie w spokojnym Coral Gables, tutaj stanowiły wyzwanie gringos rzucane machos. Meadows zredukował bieg i ominął pontiaka. Volkswagen za-krtusił się. Miał dwanaście lat i silnik od dawna nie pracował prawidłowo. Meadows nie cierpiał samochodów. Uważał, że są za drogie, niebezpieczne i

zawodne. Jeździł nim tylko dlatego, że komunikacja zbiorowa w mieście była równie kiepska, jak architektura. W płaskim jak stół Miami czterocylin-drowy karmann ghia wystarczał mu aż nadto. Choć obawiał się, że ten cholerny grat lada dzień odmówi posłuszeństwa. Kiedy dojechał do lotniska, po raz kolejny postanowił odstawić auto do warsztatu. Obiecywał to sobie co miesiąc. Ruchliwy port z konieczności rozrósł się. Kiedyś przed budynkiem terminalu rozciągał się rozległy plac parkingowy. Teraz stało tu pięć ogromnych garaży. Monstrualne budowle bez okien i stylu były obrazą architektury. Wygląd betonowych labiryntów podporządkowano jedynie funkcjonalności. Meadows nie znosił ich, ale nauczył się z nich korzystać.

Stało się to pewnego dnia po dwugodzinnym locie z Waszyngtonu. Następne dziewięćdziesiąt trzy minuty z zegarkiem w ręku spędził na poszukiwaniach swojego zdezelowanego samochodu. Nigdy więcej, poprzysiągł sobie wtedy. Wymyślił własny sposób parkowania: zawsze zostawiał auto na ostatnim stanowisku najwyższego piętra garażu, stojącego najbliżej linii lotniczych, którymi odlatywał. Czasami zdarzało się, że przylatywał samolot innego przewoźnika i musiał przejść dodatkowy kawałek. Ale nigdy nie miał problemów ze znalezieniem auta. Przystosował się do nowych czasów, jak sowy i króliki.

63

Do Nowego Jorku leciał liniami Eastern. Oznaczało to, że powinien zaparkować w garażu numer trzy. Tej nocy w porcie nie było dużego ruchu. Wjechał na pochylnię za policjantem z okręgu Dade na trójkołowcu cushman. Gliniarz pojechał prosto, on skręcił w lewo. Stary volkswagen rozpoczął mozolną wspinaczkę na ostatni poziom. Architekt nie zauważył, że za nim pojawił się smukły trans am.

Na najwyższym piętrze stało tylko kilka samochodów. Meadows wybrał odpowiednie miejsce i zaparkował na końcu, przy ścianie. Wziął z tylnego siedzenia torbę podróżną i ruszył do windy.

Rozmyślał o Terry i Danie. Omal nie przyplącił życiem zadumy.

Na górny poziom wjechał trans am i ruszył na niego jak rakietą. Ostrzegł go tylko pisk opon, kiedy kierowca sportowego wozu wcisnął gaz.

Meadows odruchowo rzucił się w bok. Skórzana torba wyleciała mu z ręki i wpadła pod tylny zderzak zakurzonego chevroleta. Wylądował na podłodze przed kamienną barierą, brudząc koszulę olejem. Ranna noga zaboląa go tak przeraźliwie, że zobaczył gwiazdy.

Trans am zahamował gwałtownie kilka stanowisk od volkswagena.

Meadows podniósł się wolno z rozgrzanego betonu. Czuł się jak starzec. Nic sobie nie złamał, ale noga bolała jak wszyscy diabli. Na lewym ramieniu miał piętnastocentymetrowe zadrapanie. Koszula nadawała się do wyrzucenia. Spodnie się rozdarły. Pulsowało mu w głowie. A przede wszystkim był wściekły.

- Ty głupi sukinsynu! - wrzasnął. Miarka się przebrała. Postrzelono go.

O mało nie zginął w basenie. Musi uciekać z miasta. A teraz jakiś kretyn omal

go nie przejechał. Energicznie pokuśtykał w kierunku pontiaka. Dam mu w mordę, pomyślał, i rzucę kluczyki na dół. Co za cholerny palant! Drzwi sportowego wozu otworzyły się wolno. Z samochodu wysiadł Domingo Sosa zwany Mono.

Przeciągnął się leniwie z wystudiowaną obojętnością i spojrzał na Me-adowsa. - Buenas noches, caballero - powiedział.

Miał białe buty, białe spodnie, biały pas oraz białą jedwabną koszulę rozpiętą niemal do brzucha. Na jego szyi wisiał gruby, złoty łańcuch. Czarne, gęste wąsy były artystycznie przycięte, a czarne, lśniące włosy starannie zaczesane do tyłu. Na przegubie lewej ręki błyszczał złoty zegarek. W prawej ręce Mono trzymał nóż. Długie ostrze mieniło się w świetle jarzeniówek. Meadows patrzył na to niewiązującym wzrokiem. Jeszcze nigdy nie doświadczył takiej mieszanki gniewu i szoku. Trzęsły mu się kolana, a prawa powieka nerwowo drgała. Zbierało mu się na wymioty. Był tak zły, że chętnie rzuciłby się na Mono, ale nie zrobił tego. Christopher Meadows odwrócił się

1 zaczął uciekać.

Po kilku krokach zdał sobie sprawę, że to na nic. Nie wytrzyma bólu w nodze. Musi stanąć. Nie, musi biec! Jeśli się zatrzyma, zginie.

64

Dopał windy. Ledwo dyszał. Oparł dłoń na włączniku. Zaświecił się za jego dotknięciem. Wskaźnik pięter nad drzwiami wyświetlił trzeci poziom. Rozległ się szum. Winda ruszyła. Obejrzał się. Mono był około trzydziestu metrów za nim. Sadził długimi, lekkimi krokami.

Meadows spróbował wcisnąć ręce w szparę drzwi i rozsunać je. Nagle usłyszał, że winda staje. Wskaźnik wyświetlił czwórkę.

Przeszył go zimny dreszcz. Oczami wyobraźni zobaczył swoje ciało w kostnicy. Spazmatycznie łapał powietrze. Oderwał się od windy i zatoczył w stronę szarych, metalowych drzwi z napisem „Schody”.

Wyjście okazało się zamknięte. Napał z całej siły. Udało się. Mroczna klatka schodowa cuchnęła moczem i wilgocią.

Mono złapał drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć. Meadows kuśtykał w dół. Przy każdym kroku zgrzytał zębami i kurczowo ścisnął brudną poręcz. Ból rozsadał mu nogę, palił jak ogień.

Zejście prowadziło aż na podjazd. Wszystkie poziomy garażu miały po dwa podesty, a każda kondygnacja schodów dziesięć stopni. Na szóstym Mono prawie dogonił swojazdobycz. Meadows potknął się na ósmym. Chora noga ugięła się pod nim. Stoczył się na półpiętro i silnie uderzył plecami o ścianę. Leżał bezbronny i łapał ustami powietrze niczym ryba wyciągnięta z wody.

Mono nie spieszył się. Patrzył na niego z góry niczym aztecki kapłan na ofiarę, którą za chwilę zgładzi na ołtarzu. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. Zabijał już w bardziej ruchliwych miejscach. Na pustej klatce schodowej

nikt nawet nie usłyszy krzyku. Wyciągnął białą chusteczkę i otarł czoło. Potem rozłożył ją na trzecim stopniu i usiadł.

-Ahora te cago, gringo - szepnął. - Już po tobie.

Meadows wiedział, że jest w potrzasku.

- Dlaczego? - krzyknął. - Nic ci nie zrobiłem!

- Przynosisz mi pecha. To wystarczy. Umrzesz jak mężczyzna, czy będziesz się darł jak baba?

Mono odrzucił papierosa i wstał. Nawet nie zapomniał, żeby zabrać chusteczkę. Kiedy składał ją starannie i spokojnie chował do kieszeni, Meadows zrozumiał, że ma ostatnią szansę. Zmobilizowała go arogancja egzekutora

1 własny brak godności.

Nie poruszał się szybko, lecz mimo to zaskoczył zabójcę. Opierając o mur, podciągnął się do przysiadu. Mono ruszył naprzód. Wtedy Meadows odepchnął się od ściany.

Prawym barkiem uderzył Latynosa w krocze. Poczł draśnięcie, gdy ostrze przecięło mu koszulę, ale zignorował to. Upadli na schody. Mono jęknął, kiedy przygnieciony ciężarem przeciwnika trafił kręgosłupem w krawędź stopnia. Nóż wypadł mu z ręki.

Meadows stoczył się z zabójcy. Latynos leżał bez ruchu.

5 - Kokainowe wydmy

65

Chris nie mógł uciekać na górę; drogę blokował Mono. Zaczął niezdarnie biec w dół. Noga potwornie bolała, ramię krwawiło, w głowie mu huczało. Prawą ręką trzymał się poręczy, w lewej ścisnął nóż.

Dotarł prawie do trzeciego piętra, gdy dopędził go Mono.

Rozwścieczony zabójca skoczył mu do gardła. Meadows odwrócił się i Mono nadział się na ostrze. Zachwiał się i cofnął. Biała koszula w mgnieniu oka zmieniła barwę na czerwoną.

Meadows nie wypuścił noża. Rzucił się do ucieczki. Szarpnął drzwi i wpadł do garażu. Pusto. Pokuśtykał szybko w stronę pochylni. Nie miał już sił i potrzebował pomocy.

Po kilku krokach dostał mdłości. Wtoczył się między dwa samochody i upadł.

Nie pamiętał, jak długo leżał. W końcu usiadł i oparł się plecami o barierę.

Wziął głęboki oddech, chcąc kogoś zawołać. Wychrypiał coś tylko.

Stopniowo dochodził do siebie. Mono nie żyje albo jest ciężko ranny. Z jego strony nic mu już nie grozi. Trzeba wziąć się w garść i spokojnie poszukać pomocy. Koszmar minął. Znajdzie policjanta i wszystko opowie. Mono nie będzie go więcej dręczył. Jeśli przeżył, trafi do więzienia.

Meadows postanowił usadowić się w widocznym miejscu i poczekać na gliniarza na trójkołowcu. Skończyło się. Roześmiał się histerycznie. Wstał z betonu i położył na bagażniku samochodu.

Minęło pięć minut, potem następne. Wreszcie usłyszał terkot przypominający maszynę do szycia. Patrol. Meadows wiedział, że gliniarz nie zjawi się od

razu. Dopiero wjechał do garażu i najpierw okrąży wszystkie poziomy. Mógłby się pospieszyć.

Trzeba zadzwonić do Dany, że nie przyleci. Szkoda. Ale nic jej nie będzie, jeśli tej nocy pójdzie sama do łóżka. A on może wrócić do domu. Gorący prysznic i kilka drinków, dopiero rano zdecyduje, czy warto iść do lekarza. Jest ranny, ale może się poruszać.

Kto by pomyślał, że wykończy tego kubańskiego sukinsyna. Kokainowa mafia będzie musiała poszukać nowego zabójcy.

Meadows coraz wyraźniej słyszał cushmana. Był na drugim poziomie i piął się w górę. Zbliżający się policjant przypomniał mu o Nelsonie. Ciekawe, czy detektyw będzie zadowolony, że Mono zginął tak, jak żył. Jednego sukinsyna zabraknie na Orange Bowl, co, amigo? Meadows poczuł lekki zawrót głowy. Potrząsnął nią, żeby jasno myśleć. Wtedy odezwał się jego wewnętrzny dzwonek alarmowy. Nelson... Kieszonkowiec Luis... Tyle broni, że można by zająć Hawanę... Wieszanie na belkach...

Nagle zrozumiał i jęknął głośno z rozpacz.

Nic się nie zmieniło.

Znalazł się na lotnisku, żeby uciec i ratować własne życie. I co się stało? Zabił zabójcę. W kokainowej dżungli, którą tak dokładnie opisał Nelson, to największa zniewaga, najcięższa zbrodnia, najważniejszy powód do zemsty.

66

Jeśli zgłosi policji, co zrobił, zostanie publicznie przedstawiony jako morderca Mono. Wyda na siebie wyrok śmierci.

Zawsze wyrównuj rachunki. Nigdy nie gadaj z glinami.

Musi milczeć. Musi zniknąć. Nikt nie może się dowiedzieć, że bojaźliwy, zrozpaczony architekt wykończył groźnego Mono. Swą satysfakcję będzie przeżywał w samotności.

Kiedy trójkołowiec w końcu nadszedł, Meadows ukrył się za maską samochodu. Cushman minął go i rozpoczął wspinaczkę na wyższy poziom garażu. Po kilku minutach zjechał z powrotem. Policjant nic nie zauważył, niczego nie podejrzewał. Kto sprawdzałby klatkę schodową w środku nocy? Meadows poczuł wielką ulgę. Teraz naprawdę jest wolny. W końcu, wymierzył tylko sprawiedliwość. Adios, senior Mono. Jeśli jeszcze żyjesz, obyś umierał w mękach. Obyś skończył w piekle. Nikt nie skojarzy mnie z tobą.

Oczywiście został nóż. Ale to nie problem. W garażu można się go pozbyć na kilkanaście sposobów. Nikt nie będzie zbyt gorliwie szukał. Gdzie go ukryć? Nie pod samochodem, bo one odjeżdżają. Na klatce schodowej też nie. Rzucić na dół? Lepiej nie. Może upaść w widocznym miejscu. Albo kogoś trafić. Wetknąć do popielniczki obok windy? Nawet jeśli się zmieści, kiedyś ktoś ją opróżni.

Cholera, przecież garaż to użytkowy budynek! Meadows zastanowił się, kto go projektował. Gdyby - nie daj Boże! - jemu przyszło to kiedykolwiek zrobić, przewidziałby wygodne schowki na noże dla porządnymi obywateli.

Może wpełznąć pod jakiś samochód i wepchnąć go w obejmę tłumika albo w sprężynę zawieszenia? Nie, dość już dzisiaj leżenia na ziemi. Poza tym, nóż pewnie by wypadł, kiedy wyjeżdżające auto stanęłoby przy kasie.

Meadows zdecydował się w końcu zakopać nóż w donicy z palmą obok windy. Raz musiał przerwać pracę, bo ktoś przejeżdżał, ale udało się.

Wydrążył ostrzem głęboką dziurę w ziemi i włożył nóż rękojeścią do dołu.

Zasypał otwór i zamaskował liśćmi palmy.

Czekała go jeszcze długa droga na ostatnie piętro garażu. Wspinał się z trudem po pochylni, ale stapał coraz bardziej sprężysto. Koszmarna przygoda skończyła się. Już po wszystkim. To straszne przeżycie wyjdzie mu na dobre. Przestał się bać, gdy nóż rozrywał materiał koszuli i wchodził w ciało zabójcy. Może nawet z czasem nabierze przekonania, że Mono nie nadział się na ostrze przypadkiem, lecz to on sam zadał cios. Czy któregoś dnia zaczną go dręczyć wyrzuty sumienia, że odebrał komuś życie?

Nie czuł ich, kiedy mijał wyjście na klatkę schodową na piątym poziomie.

Drzwi były zamknięte. Jego torba podróżna leżała tam, gdzie upadła.

Podniósł ją.

Za chwilę wyjedzie z garażu i nie pozostanie żaden ślad, łączący go z trupem na schodach.

Ruszył w stronę volkswagena. Nagle zamarł. Czarno-złoty trans am należący do Mono zniknął.

67

10

Stary człowiek z Bogoty spacerował wśród kwiatów, pokrywających dno górskiej doliny w Andach. Były piękne i stanowiły jego dumę. Rosły wokół w promieniu niemal kilometra. Głównie goździki: czerwone, różowe, i białe. Ale również delikatne róże o wielu odcieniach, dalie, chryzantemy i stokrotki. Rosły na rabatach ogrodzonych sznurkami, a ogromny, foliowy dach chronił je przed deszczem i gradem. Uwijały się tu śniade dziewczyny o płaskich twarzach, ubrane w niebieskie fartuchy. Odcinały zbędne odnogi łodyżek i zakładały gumki na pąki, żeby nie otworzyły się za wcześnie.

-Wysokość, klimat, temperatura, słońce... Idealne warunki do hodowli kwiatów - odezwał się stary mężczyzna. - Jest ich tutaj ponad sześć milionów. Ścinamy je i wysyłamy nocnym samolotem do Stanów Zjednoczonych. To duży interes. Każda dziewczyna ma swoją rabatę. Ta, której kwiaty są najwyższej jakości, dostaje nagrodę.

- Rzeczywiście są piękne - przyznał gość starego człowieka.

Na farmę oddaloną o godzinę drogi od Bogoty przyjechali tego ranka.

Poprzedniego dnia odbyło się wystawne, eleganckie wesele. Wdzięk wnuczki starego mężczyzny całkowicie rekompensował skrępowanie pana młodego.

Szczęściarz, mówili goście. To z pewnością nie najpiękniejsza dziewczyna w Bogocie, ale za to jakie pieniądze! Czarnooki brat panny młodej odprawił ceremonię przy głównym ołtarzu w katedrze. Na tę okazję przyciął nawet brodę. W końcu towarzyszył biskupowi metropolie. Trzystu kelnerów w

białych marynarkach podało sto skrzynek francuskiego szampana, ponad dwadzieścia kilo irańskiego kawioru i przeszło dwieście dwadzieścia kilogramów karaibskich homarów. Tysiąca dwustu gości strzegło trzystu policjantów, czterystu dwudziestu trzech ochroniarzy oraz kompania piechoty pod dowództwem jednego z uczestników uroczystości. Wojsko czuwało jednak nad była kolonialną fincą Bolívara z pewnej odległości, by nie rzucić się w oczy. Złośliwa reporterka kroniki towarzyskiej „New York Timesa” skrupulatnie podsumowała wydatki. Wychodzące w Bogocie „El Tiempo” nazwało wydarzenie „ślubem stulecia”, ale nie wspomniało o policjantach, ochroniarzach i żołnierzach. Matka panny młodej wystąpiła w beżowej sukni z chińskiego jedwabiu od Givenchy, ojciec w garniturze z Savile Row z białym goździkiem w klapie. Wszyscy kłaniali się z szacunkiem staremu mężczyźnie z Bogoty. Był patriarchą i to on wyłożył pieniądze na szampany, kawior, żołnierzy oraz biskupa.

- Siedemdziesiąt procent moich pracowników to panny przed dwudziestym piątym rokiem życia - ciągnął stary człowiek. - Gdyby nie kwiaty, wiele z nich byłoby służącymi albo prostytutkami. Kiedy tu przychodzą nic nie potrafią. Gospodarz i jego gość zatrzymali się obok rabaty dorodnych czerwonych goździków. Dziewczyna zajęta przy kwiatkach miała drobne kości, sterczące
68

piersi i zmysłowe usta. Na czerwono-białej plakietce przy jej fartuchu widniało imię Dorita. Mężczyźni patrzyli z przyjemnością, jak pochyla się tyłem do nich.

- W porównaniu z amerykańskimi płacami nie zarabiają dużo, ale więcej niż dostałyby gdziekolwiek indziej - wyjaśnił stary człowiek. - To daje im poczucie godności i trzyma je z dala od miasta. Dzięki temu nie są zepsute.

- Venga - przywołał dziewczynę.

Kiedy szła między rzędami kwiatów, wskazał ręką rabaty i zielone pastwiska za farmą.

- Dostrzegasz różnicę? - zwrócił się do gościa. - Tu, na kilku hektarach daję pracę blisko tysiącowi kobiet. Ja zarabiam i one zarabiają. Tamte łąki są dwukrotnie większe, ale nie wykorzystane. Mój sąsiad ma małe stado bydła i zatrudnia tylko sześciu kowbojów. Oto tragedia Ameryki Łacińskiej, przyjacielu.

Młodszy mężczyzna zgodził się z tym.

- Ile masz lat, Dorito? - zapytał po hiszpańsku stary człowiek.

- Szesnaście, patron - odrzekła dziewczyna. Z bliska była bardzo ładna.

- Podoba ci się tutaj? - Si, patron.

- Dobrze się starasz. Twoje kwiaty są wspaniałe.

- Gracias, patron.

Mężczyźni zostawili dziewczynę przy goździkach i wyszli na słońce. Stary człowiek wziął gościa pod rękę.

- Czas porozmawiać o interesach, Ignazio. - Pocztał, jak jego towarzysz sztywnieje.

- W Miami czy w Bogocie, w smokingu na weselu jesteś kim jesteś. Ale kiedy omawiamy interesy, jesteś Ignazio, prawda?

Człowiek z Miami ugryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć Si, patron. Stary dureń. Nie odezwał się.

- Słucham - zachęcił gospodarz.

- Musimy rozwiązać dwa problemy: ustalić nowe zasady dystrybucji i zorganizować lepszą kontrolę dostaw.

- Dlaczego sądzisz, że to dotyczy również mnie?

- Bo cały towar świata nie ma żadnej wartości, jeśli nie istnieje prawidłowa obsługa rynku. Obecny system jest przestarzały i nieefektywny niczym farma twojego sąsiada. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

- A mimo to, Ignazio, jego rodzina gospodaruje w ten sam sposób od prawie czterystu lat.

- To żadna odpowiedź. Za dużo jest przemocy i zamieszania. Wszędzie policja; nie każdego da się przekupić. Możemy wszystko stracić.

- Nie my, tylko ty - poprawił stary człowiek.

- Jeśli ja stracę, ty też. Nie rozumiesz tego? Nie możesz prowadzić efektywnej dystrybucji w Stanach z odległości ponad trzech tysięcy kilometrów.

69

A ludzie, których przysyłasz, są takimi ignorantami, jak twoje dziewczyny do kwiatów.

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Być może, Ignazio. Oczywiście zgrabnie pomijasz fakt, że wasze zyski w Ameryce są o wiele większe niż nasze w Kolumbii. Wysyłamy stąd towar najwyższej jakości, a wy go kilkakrotnie rozrzedzacie. Na każdym etapie zarabiacie podwójnie. My nie robimy tego tutaj, bo rozrzedzony towar zajmuje więcej miejsca, co bardzo utrudnia transport. Ale nie jesteśmy głupcami. Możemy mieszać kokainę z cukrem w Miami, jak wy. Nic się nie zmienia; Stany Zjednoczone ciągle wykorzystują Amerykę Łacińską. Sprzedajemy nasze surowce za bezcen, a gringos przetwarzają je i zgarniają całe pieniądze. Dlatego my jesteśmy biedni, a oni bogaci.

- OPEC skutecznie sobie z nimi radzi.

Starzec parsknął śmiechem opryskując śliną siwe wąsy.

- Sugerujesz powołanie kartelu kokainowego, Ignazio?

- Nie kartelu, tylko partnerstwa między producentem i dystrybutorem. Obaj na tym zyskamy. Los yanquis zapłacą każde pieniądze za ich biały proszek.

-Gość z Miami naciskał dalej. - Wysyłasz około siedemdziesięciu procent całego towaru, który opuszcza Kolumbię, prawda? - Stary człowiek nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

- A inni wielcy eksporterzy to twoi przyjaciele.

Posłuchają cię, jeśli zaproponujesz im lepszy sposób robienia interesów:

bardziej opłacalny i mniej ryzykowny. - Stary mężczyzna milczał. - Proponuję współpracę, polegającą na podziale zysków i zwiększaniu ich dwoma prostymi metodami. Pierwsza to zorganizowanie efektywnej dystrybucji na

oddzielnych, uzgodnionych terytoriach przy zachowaniu jednakowej jakości i ceny towaru.

- A druga?

- Utrzymywanie podaży tuż poniżej granicy popytu.

- Interesujące.

- Jest jeszcze trzecia sprawa.

- Jaka?

- Dopóki wszystkiego nie uzgodnimy, wstrzymamy dostawy na miesiąc, może dłużej. Wolni strzelcy wpadną w panikę i wypłyną na powierzchnię.

- I co nam to da?

- Ukarzemy dla przykładu jednego lub dwóch. Wtedy przestaną wchodzić nam w drogę.

- To może się udać - przyznał stary człowiek.

- Uda się - zapewnił gość. - Pozwoliłem sobie nawet zrobić pierwszy krok. Starzec zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- Pamiętasz trzech hijos de puta, którzy pewnej nocy oszukali kapitana twojego frachtowca? Złapaliście jednego. My dwóch.

70

- A, tak. Kapitan Veredo. Służył mi długie lata. Szkoda. Będzie mu łatwiej spoczywać w spokoju, skoro tamci też nie żyją.

Stary mężczyzna i jego gość jeszcze długo rozmawiali w odnowionym domu z widokiem na kwiaty. Dziewczyny w białych bluzkach i kraciastych spódniczkach podały dziczyznę z truflami oraz wyborny chilijski rizling; tak wytrawny, że cierpły od niego usta.

Stopniowo stawało się jasne, że staremu człowiekowi podoba się pomysł sojuszu. Że zgodzi się połączyć dwie konkurujące ze sobą dotąd organizacje w jedną potężną całość. A to zapewni obu mężczyznom niezachwianą dominującą pozycję na rynku narkotyków. Gość z Miami nie mógł usiedzieć na miejscu. Oto dziś wieczorem wróci do domu z gwarancją niewyobrażalnego bogactwa. Przemoc i nieład znikną na zawsze. To najbardziej ekscytujący dzień w jego życiu. Ta data przejdzie do historii.

- Bueno, Ignazio - powiedział gospodarz. - Wierzę, że twój plan się powiedzie. Wstrzymam dostawy i dam ci kilka tygodni na zrealizowanie twojej części umowy.

- Myślę, że powinniśmy spotkać się jeszcze raz, żeby ostatecznie dopracować wszystkie szczegóły - odrzekł szybko gość.

- Tak, zamierzałem to zaproponować. Kiedy będziesz gotów, daj mi znać.

Przylecę do Miami z żoną. Co kilka miesięcy dostaje gorączki zakupów.

Ucieszy się, że choć raz wybiorę się razem z nią. - Stary mężczyzna

uśmiechnął się lekko. - Masz dobrze poukładane w głowie, Ignazio.

Zaczynam żałować, że wszystkie moje córki dawno wyszły za mąż.

- Jestem zaszczycony - odpowiedział gość.

- Zanim odjedziesz, pozwól mi na gest dobrej woli.

Gospodarz klasnął w dłonie i pojawiła się dziewczyna od kwiatów imieniem Dorita. Już nie miała na sobie niebieskiego fartucha, tylko białą bluzkę i kraciastą spódniczkę, jak młode służące. Nowy strój odmieniła. Przez cienki materiał prześwitywały różowe sutki. Wysokie wycięcie w spódnicze odsłaniało nagie, brązowe udo.

- Idź z moim przyjacielem, Dorito - polecił cicho człowiek z Bogoty. - Jestem dziś zmęczony. On wynagrodzi cię za twoje piękne kwiaty.

Dziewczyna skinęła głową.

- Si, patron.

11

Barszcz. Latem gorący, zimą zimny. I dużo śmietany. Tylko to stawia człowieka na nogi. - Powiedziała to z pełnym przekonaniem, potrząsając tlenioną głową. - Rosół? - zadrwiła. - Stanowczo go przeceniają.

71

- Dzięki - odrzekł Christopher Meadows. - Uwielbiam barszcz. Miała na imię Sadie i królowała w Buckingham. Zjawiała się rano.

- Panie Meadows! Niech pan się obudzi! Tu pańska sąsiadka, Sadie. Czas na śniadanie.

Zerwał się niczym spłoszony jeleń. Przez kilka sekund nie wiedział, gdzie jest. Potem wszystko sobie przypomniał...

Trans am zniknął.

Torba podróżna po raz drugi wypadła Meadowsowi z ręki. Cały optymizm go opuścił. To niemożliwe. Mono przyjechał sam. Leży teraz w kałuży krwi na klatce schodowej. Jego samochód powinien tu stać. Obok volkswa-gena. A tymczasem nie ma go.

Potem Meadows zobaczył krople krwi. Ślad ciągnął się od drzwi na schody do miejsca, gdzie stał pontiak Mono. Widniała tu mała ciemnoczerwona kałuża.

Mono żyje!

Meadows wpadł w panikę. Odwrócił się gwałtownie, jakby za moment miał się znów pojawić pędzący na niego trans am. Ale ostatni poziom garażu był pusty.

Nie uspokoiło go to. Pokuśtykał szybko do samochodu. Kluczyki! Do której kieszeni je wsadził? Jasna cholera! Są, dzięki Bogu.

Wpakował się do środka i przekręcił kluczyk w stacyjce. Volkswagen skoczył do przodu i stanął. Zapomniał wcisnąć sprzęgło. Prawą nogą pod-pompował wściekle gaz i znów spróbował. Silnik nie zapalił. Jeszcze raz. Udało się.

Wrzucił wsteczny i cofnął się od ściany. Zatoczył tyłem szeroki łuk, wpatrując się w lusterko. Żeby tylko zdążyć uciec. Garaż wydawał się nie mieć końca. Wreszcie dotarł na dół.

Zahamował ostro przed kasą. Omal nie uderzył w tył czarnego cadillaka. Rozejrzał się gorączkowo. Jak go ominąć? Nie zmieści się.

Czynna była tylko jedna bramka wyjazdowa. Inne zagradzały drewniane, czarnożółte szlabany. Może uda się staranować taką barierę? Trzeba

spróbować. Meadows cofnął samochód. Wtedy cadillac ruszył.

Meadows podjechał do okienka. Gdzie ten cholerny kwit parkingowy? Jest. Wpadł między siedzenia. Podał go kasjerce.

Na wyświetlaczu pojawiła się kwota: jeden dolar.

- Jeden dolar - powtórzyła kobieta w budce. Była wielka, jak czarny cadillac. Meadows pogrzebał w kieszeni i wyciągnął banknoty. Nie miał drobnych.

Wcisnął jej dwudziestodolarówkę.

- Reszta dla pani - krzyknął i wystartował w noc.

72

Wraz z pamięcią wrócił ból. Noga dokuczała mu przeraźliwie. Strup na ramieniu przykleił się do koszuli z długimi rękawami, którą założył w samochodzie. Meadows przyjrzał się sobie z niesmakiem. Leżał w pogniecionym, brudnym ubraniu na starym materacu.

- Panie Meadows! Herbata panu stygnie!

Co to za jędza? Podniósł się z łóżka i pokuśtykał do drzwi. Zobaczył zjawę w lokach i z grubym makijażem na twarzy. Mocno uszmiłkowała usta, a jedną brew namalowała wyżej od drugiej. Miała półtora metra wzrostu i pewnie tyle samo w talii. Ledwo się mieściła w kolorowej podomce. Meadowsa natychmiast rozboleła głowa. Sadie przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Już prawie dziewiąta, panie Meadows. W Buckingham wcześniej jadamy śniadanie. - Trzymała metalową tacę z parującym kubkiem herbaty, dwoma tostami i szklanką bursztynowego, musującego płynu. Dopiero później odkrył, że to soda selerowa. Sadie święcie wierzyła, że soda selerowa i barszcz leczą wszystko.

- Skąd pani zna moje nazwisko? - wymamrotał.

- Od Izzy'ego, recepcjonisty. Wszyscy już wiedzą, jak się pan nazywa.

Nieczęsto mamy tu nocnych gości. Mówił, że wyglądał pan, jakby wpadł pod samochód. Biedaczysko. Naturalnie, nie należy wierzyć we wszystko, co mówi Izzy. Wie pan, jak on kłamie? Twierdzi, że był w getcie warszawskim. Getto, szmetto. Urodził się w Newark. Kogo on chce nabrać?

Mrugnęła porozumiewawczo, zrobiła niezgrabny piruet i postawiła tacę na szafce.

- Trzeba uważać na tego Izzy'ego - zażartował Meadows. Poranny gość był dla niego tym, czym widok łądu dla tonącego żeglarza.

Nocą przypadkiem natrafił na Buckingham. Jechał przed siebie trasą szybkiego ruchu, byle dalej od lotniska. Przystanął tylko na chwilę, żeby zmienić zakrwawioną koszulę. W końcu znalazł siew nędznej, południowej części Miami Beach. Mieszkali tu ludzie zbyt biedni, by przenieść się dalej na północ do bardziej atrakcyjnych miejsc, i zbyt starzy na korzystanie z ich uroków.

W ciemności motel wyglądał jak wszystkie. Chudy, łysy recepcjonista

-zapewne Izzy - ocknął się z drzemki na dźwięk dzwonka i zameldował Meadowsa bez słowa.

Za dnia okazało się, że Buckingham to odrapana budowla w stylu art déco.

Kiedyś biała, teraz pomalowana na różowo z turkusowym wykończeniem. Miała dwie kondygnacje i wewnętrzny dziedziniec. Na dachu wznosiła się betonowa kopuła. Sadie zdradziła, że to dawne obserwatorium, nieczynne od pięćdziesięciu lat z powodu braku teleskopu. W czasach, gdy budowano Buckingham, rozciągał się stąd widok na morze. Teraz należał do przeszłości, jak teleskop i młodość stałych mieszkańców motelu. Sadie i jej przyjaciele żyli wspomnieniami. Bezprawnie używali kuchenek elektrycznych, które ciągle wysadzały bezpieczniki. Spędzali czas w dżungli na

dziecińcu lub w holu, będącym parodią galerii sztuki. W niszach wisiały tam podobizny znanych ludzi: Lindbergha, Beethovena, Schillera, Roosevelta, Eisenhowera, Groucho Marxa (!), Lincolna, Rickenbackera, Babe Ruth, Mae West.

Pierwszego dnia Meadows tylko spał, jadł i pławił się w porcelanowej wannie. Szybko zorientował się, że matczyzna opieka i śniadanie to inicjatywa Sadie. Bezustannie szczebiotała. Nie narzekał; trochę domowego ciepła nie zaszkodzi. Czuł się jak przybysz z kosmosu.

W nocy nie mógł zasnąć. Wiercił się na niewygodnym, sprężynowym materacu i zadawał sobie pytania, na które nie znał odpowiedzi.

Czy Mono żyje? Na pewno. Inaczej trans am nie zniknąłby z garażu.

Jeśli żyje, to jego przyjaciele już wiedzą że dźgnął go nożem pewien gringo, jego niedoszła ofiara.

A może macho wstyd się do tego przyznać? Wydobrzeje i spróbuje dokończyć robotę, którą trzy razy sknocił.

Albo powierzy zemstę komuś innemu. Meadows ujrzał oczami wyobraźni mroczne mieszkanie gdzieś w barrio. Mono leży w bandażach na łóżku. Nad nim pochyla się kumpel, żeby usłyszeć słowa: „To ten gringo. Załatw go, chico. Zrób to dla mnie”.

Jeśli Mono żyje, to Christopher Meadows jest już trupem albo wiecznym uciekinierem. Innej możliwości nie ma.

Dlaczego nie zginął? Meadows przekręcił się na zdezelowanym łóżku.

W Buckingham przynajmniej jest bezpieczny. Po południu Sadie zrobiła mu zakupy. Przyciągnęła z koszernego supermarketu dwukołowy wózek pełen jedzenia. Izzy mrugnął do niej znacząco.

Następnego ranka przyniosła „Miami Journal”. Meadows nie znalazł wzmianki o morderstwie na lotnisku i z niechęcią odrzucił gazetę. Potem zadzwonił do Nelsona. Skłamał, że jest w Nowym Jorku i poprzedniego wieczoru był w teatrze.

- Jak sądzisz, czy gdybym ukończył college, też mógłbym być architektem obieżyświatem? - zaczął się z nim drażnić detektyw.

- Przyleciałem tu z konieczności, nie dla przyjemności - uciał Meadows. - Co słychać w sprawie el mono?

- Nic. Chyba że ty coś słyszałeś. Meadows natychmiast stał się czujny.

- A dlaczego miałbym coś słyszeć?

- Nie wiem. Może znów natknąłeś się na niego? Może ściga cię po Wielkiej Białej Drodze?

Kiepski dowcip, pomyślał Meadows. Ale niezbyt daleki od prawdy.

- Tamtego wieczoru po twoim wyjściu pojechałem prosto na lotnisko - odparł ostro. - Wsiadłem do samolotu i wylądowałem tutaj. Zrobiłem, co mi radziłeś.

Zamiast się wygłupiać, znajdź tego sukinsyna i wsadź do więzienia.

- Bez obrazy, amigo. Poczekaj trochę i będzie po sprawie.

74

Idiota, pomyślał Meadows. Po sprawie. Mono żyje! O mało nie wygarnął Nelsonowi prawdy. Potrzebował pomocy. Nie mógł liczyć na nikogo, poza tym kubańskim gliniarzem.

- Posłuchaj, Nelson...

- Siedź na tyłku i czekaj. Daj mi swój numer telefonu w Nowym Jorku, to zadzwonię do ciebie, jak tylko coś się zmieni na lepsze.

- Nie będzie mnie tutaj - odpowiedział szybko Meadows. - Wyjeżdżam z dziewczyną na wieś. Odezwę się do ciebie jutro.

- Bueno, jak sobie życzysz. Przynajmniej zaoszczędzę trochę pieniędzy podatników. Do usłyszenia.

Meadows po raz pierwszy w życiu poczuł się naprawdę samotny. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Może wyjść na spacer? Nie, bezpieczniej będzie zostać w ruinach Buckingham.

Zatelefonował do Stelli. Nie dała mu dojść do słowa. Jednym tchem odczytała chyba dwadzieścia wiadomości, w tym osiem od wściekłej Dany.

- Zajmę się tym - obiecał, kiedy wreszcie zamilkła. - Jeśli jeszcze ktoś zadzwoni, powiedz, że wyjechałem z miasta na kilka dni.

- Dobrze, panie Meadows. Ale naprawdę powinien się pan odezwać do tych panów z Salwadoru. Bardzo się niecierpliwią, co z projektem budynku Ministerstwa Ropy.

- Z Ekwadoru, Stello - poprawił Meadows. - Oni są z Ekwadoru.

- Więc po co mieliby mówić, że są z Salwadoru? - zapytała z rozdrażnieniem.

Meadows westchnął. Wokół niego wszystko się zmienia, tylko nie Stella, pomyślał. Zadzwonił do matki do Massachusetts i powiedział, że wybiera się na Karaiby. Potem zatelefonował do kolegi w Kaliforni, który potrzebował jego pomocy przy projekcie nowego kompleksu rządowego, i wykręcił się podając jakiś zmyślony powód. Następne dwie godziny spędził na próbach połączenia się z jednopokojowym biurem linii lotniczej CAN w Asuncion.

- La comandante no esta. Lata - odezwała się w końcu sekretarka. Arthur również był nieuchwytny. Kiedy Meadows zadzwonił do klubu jazzowego, jakiś podpity facet wyjaśnił, że Arthur wyjechał na kilka dni na Jamajkę. Zapytał, czy coś przekazać. Meadows wyłączył się.

Odważył się wyjść do zarośniętego ogrodu, żeby posiedzieć trochę na słońcu. Natychmiast wpadł w ręce Sadie i jej dwóch przyjaciółek. Stare wiedźmy pytłowały jedna przez drugą, a on tylko potakiwał niczym znudzony

mąż.

Trzeciego dnia po południu Sadie przyszła z propozycją. Nawet się ucieszył, że oderwała go od telewizora. Po raz pierwszy w życiu oglądał z nudów opery mydlane.

75

- Panie Meadows, byłoby nam miło, gdyby zjadł pan dziś z nami kolację. Raz na tydzień siadamy razem i każdy przynosi, co ma. Wie pan, takie niby składkowe przyjęcie.

Meadows był wzruszony.

- Oczywiście, bardzo chętnie się przyłączę. Tylko nie mam co przynieść.

- Niech pan się nie martwi. Kupiłam w pańskim imieniu kielbasę. Późnym popołudniem Meadows zadzwonił do Nelsona. Długo czekał, zanim detektyw podszedł do telefonu.

- Dobra wiadomość, amigo - usłyszał na powitanie. - Mono nie żyje. -Co?!

- Od kilku dni, ale znaleziono go dopiero dziś rano. Leżał w samochodzie na pustym placyku. Dostał raz nożem i wykrwawił się na śmierć.

-Boże!

Meadowsowi zakręciło się w głowie. Poczuł jednocześnie strach i radość.

Wypytał Nelsona o szczegóły i odtworzył sobie ostatnie chwile Mono.

Domingo Sosa zdołał jakoś wyjechać z lotniska. Przejechał tylko cztery kilometry. Widocznie za mało, żeby znaleźć pomoc, ale na szczęście wystarczająco dużo, by oddalić się od miejsca zbrodni.

Nelson przyznał, że policja nie ma żadnych śladów prowadzących do mordercy.

- Chyba możesz wracać, amigo - dodał.

- To nie do wiary - powiedział Meadows. - Skoro jest już po wszystkim, zostanę tu jeszcze kilka dni. Dopiero teraz naprawdę się odprężę.

- Jaka ona jest? Ładna?

- Rewelacyjna - odparł Meadows z udanym zachwytem. - Po powrocie ci opowiem. I masz u mnie pudełko cygar.

Nelson roześmiał się.

- Adios. Buena suerte.

Meadows wolno odłożył słuchawkę. Chciało mu się płakać i tańczyć jednocześnie. Zabił człowieka. To nie sen.

Przyjrzał się swoim rękom. Niemal czuł nóż w spoczonej dłoni. Przypomniawsobie odgłos rozdieranego materiału, kiedy ostrze wchodziło w ciało. Potem Sosa zalał się krwią.

Zabił człowieka.

I teraz jest bezpieczny.

Co dalej? Może pojechać, dokąd zechce.

Skoro Terry lata, nie ma mowy, żeby ją znalazł. Może Nowy Jork? A dlaczego nie, do cholery? Sięgnął po telefon.

- Nie powinnam nawet z tobą rozmawiać - parsknęła Dana.

- Nie tak ostro, pani obrażał ska. Przylecę dziś przed północą. Mam nadzieję,

że będziesz?

- Na lotnisku?

76

- W łóżku. Nie zamykaj drzwi na klucz.

- Piłeś, czy co?

- Jeszcze nie.

Pod prysznicem śpiewał. Umył głowę i wyszorował paznokcie. Ogolił się tak gładko, jak nigdy dotąd. Przez chwilę zastanawiał się, w co się ubrać.

Nawet nie zrobił rezerwacji. Pojedzie po prostu na lotnisko, ale... w Fort Lauderdale. Przez długi czas nikt go nie zmusi do skorzystania z międzynarodowego portu lotniczego w Miami.

Wyszedł z łazienki ociekający wodą, przepasany białym ręcznikiem.

Postanowił włożyć białą koszulę, krawat w prążki, jasnoniebieską kurtkę sportową, beżowe spodnie i czarne mokasyny. Ciekawe, czy na La Guardia dostanie kwiaty?

Ktoś zapukał.

- Możesz wejść, Sadie, ale na własne ryzyko. Jestem prawie nagi - zawołał wesoło.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł Octavio Nelson.

- Muszę cię aresztować, amigo - oznajmił cicho. Meadows dostrzegł kątem oka Sadie. Stała na korytarzu i przyciskała dłonie do piersi.

- Za co? - wykrztusił.

- Za zamordowanie Domingo Sosy.

12

Pokój zawirował Meadowsowi w oczach. Nie mógł wymówić słowa. Kurczowo zacisnął dłonie na ręczniku, jakby był jego ostatnią deską ratunku. Czuł się nagi i zdradzony.

- Nie wiem, o czym mówisz - wychrypiał w końcu jak starzec.

- Zrób coś dla mnie, amigo. Ubierz się i nie udawaj głupiego, dobrze?

Meadows wziął z łóżka spodnie i koszulę, i powłókł się do mrocznej łazienki. Ubierał się wolno, mechanicznie. Bardzo pragnął, by postać z cygarem czekająca w sypialni, okazała się tylko złym snem.

Nagle znów poczuł znajomą mieszaninę strachu i gniewu, która prześladowała go od tamtego popołudnia w Grove. Bezradny dureń. Jest w pułapce i musi uciec.

Okno w łazience! Zmieści się. Wystarczy zbić cienką szybę. Terry... Ba-hia... O, Boże. Uciekaj, człowieku!

Drzwi od łazienki. Zamknij je i przekręć klucz. Wybij szybę w oknie i pryskaj. Meadows wyciągnął rękę w kierunku otwartych drzwi.

77

- Jeśli myślisz o oknie, amigo, to już je sprawdziłem - dobiegł go drwiący głos Nelsona. - Wychodzi na zaulek. To jedyna droga ucieczki. Zaczekam tam na ciebie.

Meadows bezradnie opuścił rękę i przywarł plecami do chłodnej ściany. Nie może ani uciec, ani walczyć. To bez sensu.

Nelson powitał jego powrót sarkastyczną uwagą.

- Nareszcie ubrany. Teraz znów możesz zabijać. - Meadows przeszył go wściekłym spojrzeniem. - Zaskoczyłeś mnie, amigo. Wiedziałem, że życzysz Mono nagłej śmierci. Ale nie przypuszczałem, że go załatwisz. Architekt, który nie odróżnia koki od cukru. Jezu, można umrzeć ze śmiechu. Niech tylko jego kumple dowiedzą się o tym.

Meadows otworzył usta, żeby zaprotestować.

- Nic nie mów - powstrzymał go Nelson. - Tylko pogorszysz sprawę. Muszę cię uprzedzić, że nie powinienes się odzywać bez adwokata. A radzę ci znaleźć dobrego.

Detektyw bawił się cygarem. Obracał je w palcach i obserwował spirale dymu, unoszące się w świetle sufitowej lampy. Niezręczne milczenie przedłużało się.

- Jasna cholera. Nie myśl, amigo, że robię to z przyjemnością. Wiem, że spotkało cię coś, czego nie chciałeś ani nawet nie rozumiesz. Ale fakty są faktami, carajo. Mono nie żyje, ty go zamordowałeś i zostawiłeś tak wyraźny ślad, że Pincus pewnie napisze na ten temat rozprawę naukową.

Meadows ocenił wzrokiem odległość do drzwi. Nelson zagradzał mu drogę ucieczki. Czy zdołałby załatwić detektywa? Być może, tylko musiałby go zaskoczyć. Ale Nelson to glina. Jest uzbrojony. Zdaży sięgnąć po broń, jeśli rzuci się na niego? Zapewne. Strzeli? Bez wątpienia. Sytuacja bez wyjścia. Nelson zaczął opowiadać monotonnym głosem, jakby czytał z książki telefonicznej albo odmawiał jakąś makabryczną litanie.

- Popełniłeś mnóstwo błędów. Mono spisałby się dużo lepiej na twoim miejscu. Przynajmniej był zawodowcem.

Meadows wpatrywał się w zaciek na popękany suficie i milczał. Słuchał z niedowierzaniem. Mimo woli był zafascynowany monologiem detektywa.

- Samochód z trupem Mono stał niedaleko LeJeune. Znalazł go mleczarz. Mleczarz! Wyobrażasz sobie? Nawet nie wiedziałem, że jeszcze jacyś zostali. Nieważne... Pamiętasz tę piękną białą tapicerkę w trans amie? Mono miał chyba hopla na punkcie bieli. Siedzenia wyglądały tak, jakby ktoś je zanurzył w czerwonej farbie. Gliniarze, którzy byli na miejscu, mówili, że jeszcze nigdy nie widzieli tyle krwi. Oczywiście już zaschła. Podobno przypominała talk. Jezu, chyba nie da się doczyścić tych siedzeń. Od razu było jasne, że Mono nie zginął w swoim aucie. Żadnych śladów walki. Gdyby ktoś chciał go dźgnąć nożem, Mono broniłby się. Koroner stwierdził, że nie żyje od dwóch

78

dni. Zatem musiał zostać zaatakowany gdzie indziej, a potem dojechał tam, gdzie zmarł. Niecałe trzy przecznice od kubańskiej kliniki, w której nie zadają pytań, więc łatwo zgadnąć, dokąd się wybierał. Ale gdzie dostał nożem? To pierwsze pytanie, amigo. Odpowiedzieliśmy sobie na nie bez trudu. Mono był zawodowcem. Nie wypadł z pełną szybkością przez bramkę parkingu na

lotnisku, nie staranował szlabanu. Zatrzymał się grzecznie przy kasie, zapłacił, ile się należało, i odebrał kwitek z sympatycznym napisem: „Dziękujemy. Życzymy miłego dnia”. Kiedy znaleźliśmy ten mały papierek, zadzwoniliśmy do gliniarzy z lotniska. A oni na to: „Ciekawe, że pytacie, bo akurat tamtej nocy stało się tu coś dziwnego. W garażu znaleźliśmy kałużę krwi, na schodach krople, a na półpiętrze całe jezioro”. Już wiedzieliśmy, że Mono parkował na lotnisku. Więc zadaliśmy sobie drugie pytanie: kto jeszcze tam był owej nocy? Około miliona osób, to jasne. Ale ten problem też rozwiązaliśmy. Zagoniłem Pincusa do roboty, a on jest dobry w te klocki. Odkrył, że tylko jedna z tego miliona osób zapłaciła dwadzieścia dolarów za parkowanie warte dolara i odjechała, nie czekając na wydanie reszty. Ta dama w kasie nie jest głupia. Skoro ktoś wręczył jej trzęsącymi się rękami dwudziestkę i nacisnął gaz, zapisała jego numer rejestracyjny. To Pincusowi wystarczyło, amigo. Usiadł do komputera i po piętnastu minutach ustalił, że samochód należy do niejakiego Meadowsa, Thaddeusa Christophera. Nic dziwnego, że używasz tylko imienia Chris. Ale gdzie się podział Thaddeus Christopher Me-adows? To proste: poleciał do Nowego Jorku. Musi tam być, przecież dzwonił do mnie stamtąd, prawda? Mnie mogłeś wykołować, amigo, ale nie Pincusa. Połączył się z komputerami Eastern Airlines. I co się okazało? Pan Meadows, pierwsza litera imienia C, nie wszedł na pokład ostatniego samolotu do Nowego Jorku tamtej nocy, kiedy zginął Mono. Meadows już wiedział, co było dalej: telefon.

- Przeprowadziliśmy rutynowe czynności sprawdzające - ciągnął Nelson. - A tu szok! Meadows, inicjał C, nie dzwonił z Manhattanu, tylko z jakiegoś zawszonego hoteliku w Miami Beach.

- To nie tak! - zawołał Meadows, kręcąc gwałtownie głową. Nelson posadził koniec cygara.

- Nie jesteś głupi - stwierdził po chwili. - Nie powiem ci, że oskarżymy cię o morderstwo pierwszego stopnia, bo nie możemy tego zrobić.

- Po co kupowałbym bilet lotniczy, gdybym chciał załatwić faceta? - zauważył Meadows. - Po co dawałbym kasjerce dwudziestkę? I po co przyjeżdżałbym tutaj, na litość boską?

Nelson skinął głową.

- Słusznie. Twój adwokat będzie zapewne utrzymywał, że działałeś w samoobronie. Potem prokurator zapyta: więc dlaczego oskarżony nie wezwał policji? Dlaczego ukrył narzędzie zbrodni? Dlaczego udawał, że jest w Nowym Jorku? - Nelson wzruszył ramionami. - Nie możemy cię oskarżyć

79

o morderstwo pierwszego stopnia, amigo, ale musisz stanąć przed sądem za zabicie człowieka. - Meadows stłumił jęk - Załóżmy, że potraktujemy to jako morderstwo drugiego stopnia. Może nawet jako nieumyślne zabójstwo, jeśli trafimy na miękkiego prokuratora. Ale nie wiadomo, jak taki proces wpłynie na karierę architekta. Kiepska reklama, prawda? Chyba nie chciałbyś przez resztę życia projektować sal gimnastycznych czy sklepów wędkarskich?

Meadows zamknął oczy i przetknął głośno ślinę. Nelson niemal sylabizował każde słowo.

- To jeszcze nie jest najgorsze, przyjacielu. Najlepszy adwokat w Miami może przekonać sąd o twojej niewinności, ale co z kumplami Mono? Nie przyjmą do wiadomości, że byłeś tylko ofiarą ani że ich dzielny compadre zasłużył na taką śmierć. Zatem sprawa sprowadza się do tego: jeśli uznają cię winnym, pójdziesz do więzienia, a to dość parszywe miejsce. Jeśli cię uniewinnią pożegnasz się z życiem, jak tylko wystawia nos na ulicę.

Meadows był wstrząśnięty. Sytuacja bez wyjścia. Żałował, że matka nie nauczyła go lepiej, jak się modlić.

- Co do mnie, to mam gdzieś, że Mono jest trupem - mówił dalej Nelson. - Kto by się przejmował śmiercią takiego śmiecia. Problem w tym, że zabiłeś go w najmniej odpowiednim momencie. Wtedy, u ciebie w domu, próbowałem ci wyjaśnić, że Mono jako taki nie jest ważny. To była płotka, Meadows.

Interesował mnie tylko dlatego, że pracował bezpośrednio dla el Jefe, czyli szefa tego całego cholernego interesu.

- Tylko on cię obchodzi? Zależy ci na awansie? - zadrwił Meadows.

- Chcę go dopaść. Domingo Sosa w końcu zaprowadziłby mnie do niego.

- Kim właściwie był Mono?

- Zawodowym zabójcą z Union City - odparł Nelson. - Nie narzekał na brak pracy. Ciebie chciał załatwić po godzinach. Swoją drogą, musiałeś stoczyć z nim pasjonującą walkę.

Popatrzył architektowi prosto w oczy, szukając w nich potwierdzenia.

Meadows wytrzymał spojrzenie i nie odezwał się. Nelson dostrzegł w jego wzroku strach, wyczuł, że za nim kryje się furia.

- Mono dobrał sobie pomocników - wyjaśnił detektyw. - Urocze chłopaki; mięśniaki po lobotomii. Widziałem ich kilka dni temu, kiedy obserwowałem pewną knajpę w Little Hawana. Bardzo chciałbym wiedzieć, kim są, bo po śmierci Mono na pewno zastąpią go w organizacji el Jefe.

- Świeżo upieczeni zabójcy?

- To jasne. - Nelson strząsnął popiół na wytarty dywan. - Trzymają się razem.

W tej branży trudno znaleźć ludzi, którym można zaufać. Na razie wiem tyle, że są tutaj. - Zaczął się podnosić. - No, czas iść, przyjacielu.

- Wiem, kim oni są - powiedział tępo Meadows.

80

- Co?! - Nelson natychmiast usiadł z powrotem.

- Byli razem z Mono na wyścigach psów. Wyglądało na to, że jest ich szefem.

- Znasz ich nazwiska? -Nie.

- A możesz podać rysopisy? -Tak.

Nelson wpadł w podniecenie.

- Mądre de Dios! Mów, jak wyglądali!

- Po co?

Detektyw z rozdrażnieniem klepnął się w udo i ponownie przypalił zgasłe cygaro.

- Trudno. Nie mam do ciebie pretensji. Możesz wykorzystać ten atut w rozmowie z prokuratorem stanowym.

Wypuścił kłęb dymu. Meadows zakaszał. Milczeli.

Meadows już zrezygnował z ucieczki. Za duże ryzyko. Musi znaleźć inne wyjście z sytuacji. Zastanawiał się gorączkowo, co robić.

Nelson też się nad tym zastanawiał. Aresztowanie Meadowsa ucieszyłoby tylko Pincusa i biurokratów w komendzie, którym zależy na dobrych statystykach. Pobre cabron. Policja powinna dawać medale takim, jak Meadows. Na ulicach byłoby mniej bandytów... Podjął decyzję. Chrzanić Pincusa i biurokratów. Meadows potrafi rozpoznać wspólników Mono. Tylko to się liczy.

- Wiesz, amigo, że zabijając tego śmiecia, zniweczyłeś trzymiesięczne śledztwo? Jeśli pomożesz mi z powrotem złapać właściwy trop, może się dogadamy.

-Nie jestem zainteresowany - odrzekł szybko Meadows, ale detektyw dostrzegł błysk w jego oczach.

- Nawet, jeśli odłożymy sprawę Mono do akt jako kolejne nie wyjaśnione zabójstwo narkotykowe?

- Nikogo nie zabiłem - odparł z uporem Meadows.

- Załóżmy, że ci wierzę. A ty w geście dobrej woli wyświadczysz mi przysługę. Teraz Meadows nie potrafił ukryć zainteresowania.

- A potem?

- Każdy pójdzie w swoją stronę. Mono nie żyje. Nikt nie wie, kto go zabił. Szkoda. Que descanse en paz.

- Tak po prostu? - zapytał Meadows.

- No cóż, kilku ludzi w wydziale dowie się, że jednemu z moich tajnych informatorów przypadkiem zdarzyło się zabić el Mono podczas wykonywania dla mnie zadania. I przypilnuję Pincusa. To wszystko. Nikt w policji nie będzie opłakiwał tego mordercy.

- A kto mi to zagwarantuje?

6 Kokainowc wydmy

81

-Ja. -Ty?!

Nelson z trudem panował nad podnieceniem. Jest już blisko. Cierpliwości.

- Może moje słowo to niewiele - przyznał z lekkim uśmiechem. Teraz, pomyślał. - Ale czy masz lepsze wyjście, amigo!

Meadows znów utkwiał wzrok w pożółkłym suficie. Zobaczył siebie w kaj- . dankach i na sali sądowej. A potem nafaszerowanego kokainą i wiszącego na drewnianej, wypokostowanej belce. Nie, nie ma lepszego wyjścia niż układ z tym kubańskim gliniarzem. Dość już zbierania ciosów, czas zacząć oddawać. Musi wykorzystać tę szansę.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Opisz mi tamtych facetów. Potrafisz ich narysować, tak jak Mono?

- Nie. Wtedy interesował mnie tylko on.

- Rozpoznałby cię?

Meadows prześledził w pamięci spotkanie na wyścigach psów. Oświetlenie nie było zbyt dobre. Panował tłok. Tamci nie zwracali na niego uwagi; nie obchodził ich.

- Wątpię.

Nelson poderwał się z fotela.

- Dobra. Zawrzemy umowę. Wstawaj. Masz chyba krawat? Weź prysznic, śmierdzisz potem.

Zimna woda otrzeźwiła Meadowsa. Jaką umowę? Nelson na pewno zaproponuje mu jakieś ryzykowne przedsięwzięcie. Nie zadowolony się rysopisami ani nawet portretami zabójców. Trzeba być ostrożnym. To idiotyzm godzić się na coś tak ryzykownego. Chyba lepiej stanąć przed sądem; przecież naprawdę działał w samoobronie. Tak postąpiłby dawny Meadows-architekt.

Ale nie obecny Meadows-uciekinię. Jeśli się zgodzi, co ma do stracenia? Tonącego nie obchodzi, jak głęboka jest woda.

Ledwo wyszedł z łazienki, Nelson zaczął bez wstępów:

- Zrobimy tak: dzisiejszej nocy zawiozę cię w pewne publiczne miejsce, gdzie wśród kilkuset osób będą kumple Mono. Zidentyfikujesz ich. Przyjrzyś się im dokładnie i narysujesz takie portrety pamięciowe, że ich matki zemdleją z zachwytu. Jeśli zdołasz, ustalisz też ich nazwiska. Znasz hiszpański wystarczająco dobrze.

Meadows parsknął.

- Chodzi tylko o kilka rysunków?

- To nie wszystko - odparł szybko Nelson. - W tłumie powinien być również człowiek zwany el Jefe. Musi nawiązać kontakt ze współnikami Mono. Są mu teraz bardzo potrzebni. Obserwuj i uważnie słuchaj. Załatw mi to, Meadows. Dostarcz mi podobiznę el Jefe, a zapomnimy o sprawie Mono. Daję ci na to słowo honoru.

82

- Skąd wiesz, że on tam będzie?

- Znam moich rodaków.

- Więc dlaczego nie pošlesz tam jednego ze swoich ludzi z ukrytą kamerą? Na przykład Pincusa? Wtopiłby się w otoczenie nie gorzej ode mnie.

Nelson uniósł rękę.

- Umówmy się po prostu, że to moje śledztwo, dobra? Tyle, że nie mogę zjawić się tam osobiście. Dlaczego? Bo zapewne aresztowałem krewnych połowy tamtych ludzi, a z pozostałymi jadłem kolację. No, wystarczy tej rozmowy. Chodźmy.

Meadowsowi przyszło do głowy sto pytań na raz: jakie wnętrza, ile osób, jakie oświetlenie, możliwość poruszania się... O to zapytałby architekt klienta, zanim usiadłby do rysowania.

- Co to za miejsce?

- Zobaczysz.

Pozostały dwie najważniejsze kwestie. Pierwsza - czy Nelson dotrzyma słowa. Nie było sensu o to pytać, więc Meadows przeszedł do drugiej. -A jeśli koledzy Mono jednak mnie rozpoznają? Detektyw wzruszył ramionami.

- Que sera, sera.

13

Wilbur Pincus nie zjawiał się wieczorem w Wyższej Szkole Policyjnej Okręgu Dade. Wyszedł ze swojego mieszkania około dziewiątej i pojechał wypolerowanym mustangiem coupe w kierunku Miami Beach. Nelson wybrał się po architekta. On też musiał coś załatwić. Kiedy przeciął szosę MacArthura, biegnącą groblą na zachód, spojrzął na zatokę Biscayne. Widok zaparł mu dech. Woda błyszczała niczym szyba pod nocnym, letnim niebem. Miał ochotę zatrzymać się i patrzeć na białe jachty, płynące na południe śródlądową drogą wodną Intracoastal.

Na jednym z mostów stała grupa wędkarzy. Przejeżdżając obok, Pincus zauważył, jak jedna z wędek ugina się pod ciężarem wspaniałej, srebrzystej ryby. Chętnie przystanąłby, żeby przyjrzeć się walce.

Dojechał do skrętu na wyspę Hibiscus, ekskluzywną kolonię prywatnych posiadłości. Z drewnianej budki przy wjeździe wyszedł ospały strażnik i zatrzymał go.

- Jadę do pana Nelsona - wyjaśnił Pincus. Ochroniarz zajrzał do samochodu i skinął głową.

- Pańskie nazwisko? - zapytał.

83

- Gregory Wilson.

Brama otworzyła się i mustang ruszył.

Pincus znał adres na pamięć: North Hibiscus 77. Po szybkim telefonie do kolegi w urzędzie podatkowym wiedział więcej: pięć sypialni, cztery łazienki, dwuakrowy basen. I oczywiście własne nabrzeże. Nieruchomość kupiono osiemnaście miesięcy temu za sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy pięćset dolarów.

Pincus uznał to za bardzo interesujące. Octavio Nelson nigdy nie opowiadał o swoim bracie. Pincus zaczynał rozumieć, dlaczego.

Dom pod numerem siedemdziesiątym siódmym otaczał dwuipółmetro-wy mur z piaskowca. Obok żelaznej bramy wisiał czerwony telefon wewnętrzny. Nic nadzwyczajnego na tej wyspie, pomyślał Pincus. Ale cholernie dziwne w wypadku brata gliniarza.

Mijając bramę, Pincus zdjął nogę z gazu. Z posiadłości Nelsona ktoś właśnie wyjeżdżał i oślepił go reflektorami. Detektyw przyspieszył.

Zamiast beżowego mercedesa, zobaczył w lusterku małe, sportowe auto. Zawrócił na następnym wjeździe. Zanim dojechał z powrotem do budki strażnika, samochód był już w połowie mostu. Pincus wcisnął gaz. Złamał kilka przepisów drogowych, ale wkrótce znalazł się sześć długości za sportowym autem. Sięgnął do schowka po okulary. Pomarańczowa alfa

romeo miała zabrudzoną tablicę rejestracyjną w tym samym kolorze; stan Nowy Jork albo Pensylwania: GDU 439.

Za kierownicą siedział mężczyzna. Pincus przyjrzał się fryzurze i kształtowi głowy. Facet bębnił palcami w deskę rozdzielczą. Widocznie słuchał muzyki. Nie zwracał na nic uwagi. Przy Bayshore Drive zignorował czerwone światło i kierowca autobusu pokazał mu wymownie uniesiony palec.

Pincus utknął za autobusem i zgubił alfę. Na Biscayne Boulevard skręcił w prawo i rozpoczął polowanie.

Roberto Nelson od dwudziestu minut siedział przy barze w „Royal Palm Club”, gdy do lokalu wszedł obcy. Był wysoki i muskularny, a jego krótkie, jasne włosy lśniły od potu. Nosił małe, okrągłe okulary w rogowej oprawie. Usiadł przy końcu baru, daleko od orkiestry.

- Nowy klient, Joanie - powiedziała do koleżanki barmanka. - Zapytam, co mu podać.

Roberto Nelson nie zwracał na to uwagi. Bębnił palcami w kontuar i czasami spoglądał na pulchną piosenkarkę z silikonowym biustem.

Wkrótce przysiadł się do niego chudy, ciemny mężczyzna. Roberto wyszczerzył zęby, nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Wstali i przeszli między stolikami do toalety. Kiedy wyszli po pięciu minutach, omal nie zderzyli się z obcym blondynem.

K4

- Przepraszam - powiedział nieśmiało Wilbur Pincus i odsunął się.

- Nie ma sprawy, stary - uśmiechnął się Roberto Nelson.

Pincus wszedł do toalety i zamknął się w kabinie. Odczekał pół minuty, ale na zewnątrz było cicho. Przyklęknął na jedno kolano i uważnie obejrzał podłogę. Obok sedesu dostrzegł kilka kropli moczu, włosy, ślady butów, a dalej...

Pincus przycisnął prawą dłoń do kafelków posadzki. Gdy ją unióś, zobaczył przyklejone do skóry maleńkie, białe kryształki.

Sfatygowany dodge przeciął szosę MacArthura i pojechał Douglas Road w kierunku Małej Hawany. Meadows i Nelson milczeli. Pierwszy nie miał nic do powiedzenia, drugi rozmyślał. Zaskrzeczało policyjne radio.

- Pięć-sześć-jeden-pięć, zgłoś się.

- Pięć-sześć-jeden-pięć, zgłaszam się.

- Potrzebna pomoc przy obserwacji na Morningside. Zaczyna się duży ruch w interesie. Pojedziesz?

- Odmowa. Wykonuję inne zadanie. Poradźcie sobie?

- Chyba tak. Tylko nie mogę wywołać jeden-jeden-siedem-osiem.

- Stem i Garcia - mruknął do siebie Nelson. - To do nich niepodobne

-powiedział do mikrofonu.

Meadows słuchał jednym uchem. Bardziej interesowała go kolejka górską w lunaparku.

Nelson wjechał na zaśmiecony parking pod czerwonym, migającym neonem „Artykuły Spożywcze”. Kubański sklep przypominał zagracony dom towarowy. W oknie baru z boku placu ruda kelnerka wyginała się za

kontuarem w rytmie salsy.

- Dos cafecitos, querida - zamówił detektyw. - Y bajante el radio. Tengo que usar el telefono.

Muzyka ucichła. Nelson poszedł zadzwonić. Meadows ostrożnie umoczył usta w gorącym napoju. Był zupełnie zrezygnowany. Nie wiedział, dokąd jada. Nelson powiedział mu tylko, że to publiczne miejsce, gdzie Meadows będzie mógł się swobodnie poruszać i skąd można szybko wyjść w razie potrzeby.

- Skąd wiesz, że oni tam będą? - powtórzył Meadows.

- Stąd, że jestem Kubańczykiem, jak oni - odparł enigmatycznie detektyw. - Spokojnie. Jeszcze nikt nie wywinął się z oskarżenia o morderstwo tak łatwo, jak ty.

Nelson wrócił do kontuaru ze ściągniętą twarzą i zaciśniętymi wargami. Wypił kawę jednym haustem i ruszył do samochodu.

- Vamos!

Zapuscili się głębiej w el Barrio. Minęli nocny klub z reklamą Chicas Topless, miejskie boisko do piłki i maleńki park z białymi stolikami dla

85

sędziwych graczy w domino. Potem tradycyjny sklep rzeźniczy, fabryczkę ręcznie zwijanych cygar i botanice. W oknie wystawowym widniały figurki świętych i magiczne kogucie łapki; jedno i drugie do odpędzania zła.

W końcu zatrzymali się przy starej, nieczynnej stacji benzynowej. Na zardzewiałej pompie została jeszcze zgięta tabliczka z ceną: „Zwykła - 52,9”.

- To tutaj... - oznajmił Nelson, wskazując jasno oświetlony, parterowy budynek z cegły po drugiej stronie ulicy.

Meadows zmrużył oczy i odczytał dyskretny, czarno-biały szyld: „Hi-dalgo i Synowie”.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął. - To dom pogrzebowy!

- Zgadza się. Czynny całą dobę. Najlepsze kanapki w Małej Hawanie.

- Nie wejdę tam.

Zniecierpliwiony Nelson uderzył pięścią w kierownicę.

- Już to przerabialiśmy, amigo. Albo tam pójdziesz i wyświadczysz mi małą przysługę, albo wniosą cię do takiego miejsca szybciej, niż byś chciał.

Przemyśl to.

Meadows nie musiał pytać, czyimi zwłokami zajmują się dzisiaj Hidal-gowie. Już wiedział, w co wmanewrował go Nelson.

- Wydaliśmy ciało dziś po południu. Jutro pogrzeb. Tej nocy jest velorio.

Bliscy zostaną przy zmarłym aż do rana. To stary kubański zwyczaj. Do jedenastej wieczorem zjawia się tu wszyscy, którzy go znali. Nieobecność tutaj to śmiertelna obraza dla jego rodziny. Dla tych ludzi honor jest najważniejszy. Pamiętaj o tym.

- Będą rozpaczać i prosić Boga, żeby wybaczył mu grzechy? - parsknął Meadows.

- Zobaczysz autentyczny żal po zmarłym - odrzekł Nelson. - Latynoscy

mężczyźni nie wstydzą się łez. Płaczą razem z kobietami.

- A ja mam stać jak palant wśród tych chlapiących machos i rzucać się w oczy?

- Początkowo mnie też to martwiło, ale nie przejmuj się. To duży budynek. Dziś są tam cztery ciała. Cztery velorios. Jeden z nieboszczyków to stary Anglo-Kubańczyk. Niektórzy z żałobników będą wyglądać bardziej na gringos niż na Latynosów. Nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

- Chryste! - mruknął Meadows.

- Mam w środku dwóch ludzi. To normalna procedura przy velorios takich śmieci. Moi agenci są tam w tym samym celu, co ty, ale szukają w ciemno. Z baru dzwoniłem właśnie do nich, żeby cię pilnowali. Nie próbuj ich znaleźć. Zachowuj się naturalnie. Rozejrzyj się i wyjdź. Zaczekam tu na ciebie. Nie zostawię cię. Buena suerte.

- Wielkie dzięki - odparł kwaśno Meadows i wysiadł. Wytarł ręce o spodnie i okrążył samochód.

- Oye, amigo - zawołał Nelson. - Gdybym wiedział, kim są tamci, nie potrzebowałbym cię. A wtedy wylądowałbyś za kratkami.

86

Meadows odniósł wrażenie, że trafił na antrakt w teatrze. Złociste, metalowe drzwi rozsunęły się przed nim i powiało chłodem. W holu o wymiarach mniej więcej dziesięć na pięć metrów stało około stu elegancko ubranych osób. Wydawało się, że wszyscy mówią na raz i nie sposób było pomylić ich z Amerykanami. Rozmawiali oczami, rękami, całym ciałem. Zbijali się w grupki i rozchodzili.

W rogu, obok złotej fontanny w kształcie delfina, królowała wyjątkowo piękna kobieta. Wokół niej kręciło się siedmiu młodych mężczyzn. Nadskakowali jej niczym dworzanie. Czarująca, władcza i nietykalna.

Z marmurowego wejścia wyłoniła się gruba, siwa wdowa z rozmazanym od płaczu makijażem. Otaczał ją wianuszek paplających kuzynek. Przypominała wielki okręt wojenny, płynący w eskorcie mniejszych jednostek.

Pod nogami ludzi plątała się przestraszona, może sześcioletnia dziewczynka ze sterczącymi warkoczami przewiązanymi różowymi wstążkami.

- Mami, mami! - wołała płaczliwie.

Dwaj mężczyźni w średnim wieku stali naprzeciw siebie na rozstawionych nogach. Trzymali cygara i kłócili się głośno. Pobieżna znajomość hiszpańskiego pozwoliła Meadowsowi zrozumieć, że chodzi o politykę. Żony obu dyskutantów plotkowały z boku między sobą.

Do piękności przy delfinie dołączył przystojny, wąsaty macho w trzyczęściowym garniturze z żółtą różą w klapie. Serdecznie klepał znajomych po policzkach i sztywno ścisnął dłonie.

Atmosfera śmierci przytłaczała Meadowsa. Z czterech sal wokół holu wyglądały kalie, gladiole, goździki i chryzantemy. Aromat kwiatów i perfum mieszał się z wonią cygar, odorem potu i formaldehydu. Meadowsowi kręciło się w głowie od zapachów i gwaru.

Centralnym punktem holu była biała figura Dziewicy Marii z dwoma barankami u stóp. Modliła się nad elektryczną świecą. Strzegły jej dwie flagi: kubańska i amerykańska.

Meadows rozejrzył się niezbyt pewnie. Skąd zacząć? Gdzie najpierw wejść? Najchętniej uciekłby stąd. W końcu wybrał pierwszą salę na lewo.

Pomylił się. Na składanych metalowych krzeselkach z czerwonymi, plastikowymi oparciami, siedziało około dwudziestu osób i wpatrywało się w trumnę pod przeciwległą ścianą. Ich pełne godności milczenie było jakby niemym wyrzutem pod adresem rozgadanego tłumu za drzwiami. Nikt nie odwrócił głowy.

Meadows przystanął. Cholera, to nie tu. Zamknięta trumna oświetlona dwoma reflektorami wyglądała na dziecinną. Wycofał się.

Waliło mu serce. Oparł się o ścianę. Co dalej? Ludzie wchodzili do trzech innych sal, wychodzili i mieszały się z żałobnikami w holu. Musi się pospieszyć. Zmarnował już co najmniej dwadzieścia minut. Nelson będzie się niepokoił. Meadows zerknął na swojego rolexa z czarną tarczą. Idealny zegarek na pogrzeb. Minęły następne cztery minuty.

87

- Nie wygląda pan na Kubańczyka - zagadnął kobiecy głos. Przestraszony Meadows odwrócił się szybko.

- Bo nim nie jestem - burknął.

Czarne oczy przyglądały mu się uważnie. Dziewczyna była nawet ładniejsza od tamtej przy delfinie. Miała doskonale skrojony granatowy kostium i białą bluzkę, zawiązaną luźno pod szyją. Jej dobry gust wskazywał, że nie należy do tutejszej społeczności.

- Straszna impreza, prawda? - powiedziała.

- O, tak - przyznał skwapliwie Meadows.

- „Załatwiają” tam przyjaciółkę mojej ciotki - potrząsnęła grzywą czarnych, lśniących włosów w kierunku sali, której Meadows nadał numer czwarty. - Różaniec... Co za hipokryzja! Ciotka nie rozmawiała z tą kobietą od dziesięciu lat. W kółko ją obgadywała. A teraz szłochy tam przy zdrowaśkach.

Meadows skinął głową. W „jedynce” dziecko, w „czwórce” przyjaciółka ciotki. Zostają dwie sale.

- Mam na imię Sofia - przedstawiła się dziewczyna. Meadows coś wymamrotał.

- Jak? Steven? - zapytała.

-Nie, nie - odrzekł szybko, szukając gorączkowo jakiegoś imienia.-Sean.

- Skąd jesteś? O, Chryste!

- Z Akron w Ohio - odpowiedział. - Z serca Środkowego Zachodu. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?

- Ładne miejsce - stwierdziła niepewnie dziewczyna.

Meadows od razu poznał, że nigdy tam nie była. Całe szczęście. On też nie.

- Czym się zajmujesz, Sean?

Niech się wreszcie odczepi! Kiedy indziej, se?orita.

- Wykładzinami podłogowymi.

- Ciekawa branża?

- Bardzo - rzucił zdesperowany. - Fascynująca praca. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ważny może być dobór odpowiedniej wykładziny. Kolor, faktura, sprężystość. To wszystko tworzy otoczenie, wpływa na sposób widzenia siebie i innych.

Meadows usłyszał to kiedyś od gadatliwego dekoratora wnętrz. Teraz się przydało. Przestała się uśmiechać. Miała wyraźnie dość.

- Wiesz... muszę lecieć - oświadczyła. - Hasta luego. - Po chwili zniknęła w tłumie.

Meadows oderwał się od ściany i ruszył do sali numer dwa. Nawet nie musiał wchodzić. Przeklął swoją głupotę - na czarnej tablicy widniało

88

nazwisko Don Richard Lorenzo Edwards de Gutierrez. Anglo-Kubańczyk, o którym wspominał Nelson. Taka informacja jest na pewno przy każdej sali. Trzeba się rozglądać, idioto.

Wziął głęboki oddech i pchnął drzwi sali numer trzy.

Mono leżał w otwartej ciemnobrązowej trumnie przybranej sztandarem z napisem Brigada 2506. W ten sposób złożyli mu hołd byli żołnierze emigracyjnej brygady kubańskiej, której inwazja załamała się w Zatoce Świń. Mono był w białym garniturze. Miał zamknięte oczy, wymodelowane usta i gładko uczesane włosy. Nawet po śmierci wydawał się Meadowsowi okrutny.

W sali zgromadziło się niewiele osób - nie więcej niż tuzin. Meadows zastanawiał się, czy są wśród nich ludzie Nelsona. Nie zauważył znajomych współników Mono.

Chciał wyjść, gdy nagle zwrócił uwagę na trzech chłopców w pierwszym rzędzie. Najstarszy mógł mieć z dziesięć lat. Wiercili się na twardych krzesłach tuż przed trumną.

Trzech synów. Jezu Chryste! Dlaczego Mono musiał mieć aż troje dzieci?

Meadowsowi wyrwało się głośne westchnienie. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę.

Meadows zbladł. Wdowa wstała sztywno i ruszyła w jego kierunku. Dziesięć lat temu z pewnością była ładna; na zapłakanej twarzy pozostały ślady urody. Ale już przytyła, obwisły jej piersi i zwiotczały pośladki. Typowe dla kubańskich kobiet powyżej trzydziestki.

-Aj, aj, aj... - zaszlochała, podchodząc do Meadowsa.

- Nie, nie... - sploszył się.

Widocznie uznała to za pomruk współczucia. Wyciągnęła ręce, objęła go i mocno przytuliła. Usłyszał szelest sukni, poczuł grube uda i słone łyzy.

Trzymała go w niedźwiedzim uścisku, a on stał bez ruchu i nie śmiał się oswobodzić.

Ponad ramieniem kobiety widział zamknięte powieki martwego zabójcy. Zdawały się przysięgać mu zemstę.

Nie mógł sobie przypomnieć, jak uwolnił się z objęć kobiety. Pamiętał tylko utkwione w nim spojrzenia trzech chłopców, gdy pośpiesznie opuszczał salę. Przystanął w korytarzu, żeby ochłonać. Usłyszał brzęk talerzy i syk ekspresu do kawy. W głowie zadźwięczały mu słowa Nelsona: „Najlepsze kanapki w Małej Hawanie”. Czemu nie, skoro ludzie są tu całą noc? Dlaczego nie mieliby jeść w domu pogrzebowym?

Bar przekąskowy był jasno oświetlony i miał dobrą wentylację. Stało tu sześć fornirowanych stolików, oszklona szafa z zimnymi napojami, ekspres do kawy i maszyna kasowa z wyciszonym dzwonkiem. Kubański kelner w smokingu kroił za kontuarem udo wieprzowe. Drugi dyskutował z żalobnikiem.

- Como que no hay cerveza? - zapytał rozdrażniony klient.

- Lo siento, se?or, pero no tenemos aqui.

89

Przyjemnie byłoby napić się zimnego piwa, pomyślał Meadows. Podzielał niezadowolenie żalobnika. Jeśli są kanapki, powinno być również piwo. Zapomniał o pragnieniu, gdy klient odwrócił się.

Meadows rozpoznał kumpla Mono z toru psich wyścigów.

Przyjrzał mu się dokładnie: ciemna cera, oczy fretki, kartoflany nos, wystające kości policzkowe, rude wąsy, duże wargi. Mocno zbudowany. Wiek około dwudziestu pięciu lat. Cecha charakterystyczna - kalafiorowate ucho. Miał już kompletny portret. Wyobrazził sobie zabójcę na ringu bokserkim.

Skinął na kelnera.

- Cafecito por favor, y aqua - powiedział wolno w hiszpańskim typowym dla gringo.

Zabójca szedł wolno w stronę jego stolika. Meadows uniósł rękę do twarzy i udał, że drapie się w czoło. Obserwował tamtego przez palce. Kalafiorowate Ucho minął go. Nawet na niego nie spojrzał. Usiadł przy stoliku najbliższej drzwi.

Odciał Meadowsowi drogę odwrotu.

Kiedy kelner podał kawę, Meadows usadowił się tak, by lepiej widzieć zabójcę. Opłaciło się. Po chwili do tamtego przysiadł się drugi facet z wyścigów psów.

- El viene - odezwał się nowy.

Meadows poczuł dreszcz podniecenia. El viene. Idzie. Kto? El Jefe? W takim razie, Nelson miał rację.

Szybko przyjrzał się drugiemu zabójcy. Zanim facet przypalił papierosa złotą zapalniczką Meadows narysował go w wyobraźni. Starszy od pierwszego; około trzydziestki. I potężniejszy. Szerokie ramiona, pewnie z dziesięć kilo nadwagi. Czarne, przerzedzone włosy. Okrągłe policzki, wydatne brwi, niezdrowa cera. Zepsute zęby. Chłopskie dłonie. Ciemne oczy pozbawione inteligencji. Złamany i krzywo zrosnięty nos. Zabawne, pomyślał Meadows. Bokser nie ma złamanego nosa, a wieśniak ma.

Do baru wszedł elegancki mężczyzna około pięćdziesiątki i obrzucił spojrzeniem Kalafiorowate Ucho i Wieśniaka. Meadows zamarł. To na pewno on: el Jefe. Patrzył na eleganta i zapamiętywał jego rysy. Ale obcy bez słowa podszedł do kontuaru i zamówił kanapkę. Więc to nie on.

Pojawiła się kobieta, a po niej inny mężczyzna. Żadne nie zwróciło najmniejszej uwagi na dwóch zabójców.

Meadows zaczynał być zły. Szybciej, do cholery. Chciał już stąd wyjść. Jak długo można pić jedną małą kawę? Wstał i wziął zimny napój z oszklonej szafy.

Kiedy odwrócił się, żeby z powrotem usiąść, zobaczył el Jefe.

Osunął się na krzesło oszołomiony. Czy to możliwe? Nad zabójcami pochylał się przystojniak z żółtą różą w klapie, którego widział w holu. Mówił szybko po hiszpańsku.

90

Do Meadowsa docierały strzępy monologu. Zgarbił się nad stolikiem i podsłuchiwał. Wysilił całą znajomość hiszpańskiego, żeby zrozumieć jak najwięcej. Tu złowił uchem zaledwie słowo, tam zdanie. Ale ton mówiącego nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Był wściekły. Świadczyła o tym również ponura mina Wieśniaka. Kalafiorowate Ucho nerwowo stukał stopą w linoleum na podłodze. Obaj milczeli.

Przemowa trwała bardzo krótko. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że mężczyzna pytał dwóch innych o godzinę. A ktoś niezorientowany nic by nie zrozumiał, przechodząc obok. Ale Meadows dowiedział się wystarczająco dużo.

- Mono był idiotą... Na pewno nie Kolumbijczycy... Niedługo będą pracować z nami...

Dalsze słowa utonęły w zgiełku, dochodzącym z holu. Rozległo się głucho uderzenie, dał się słyszeć kobiecy krzyk i rozbrzmiały podniesione męskie głosy. Potem szybki stukot wysokich obcasów. Meadows dosłyszał jeszcze jedno zdanie: „Ta rozróżba w Grove była głupotą”.

Do baru wpadła oszalała kobieta z wytrzeszczonymi oczami. Zobaczyła plecy el Jefe i wrzasnęła:

- Venga! Rapido. Es Donia Ines.

Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się natychmiast. Zrobił głęboko zatroskaną minę i szybko podążył za kobietą.

Wieśniak rozdeptał papierosa i wstał gwałtownie.

- Fue el gringo. Vamos a visitarlo.

Zabójcy wyszli nie płacąc. Meadows bezwiednie zgniótł puszkę po napoju.

Nietrudno było zgadnąć, którego gringo zamierzają odwiedzić.

Ale jeszcze nie jest tak źle, pomyślał. Godzina lub dwie przy rysownicy i portrety wszystkich trzech będą gotowe. Nelson ich dopadnie.

Tłum w holu otaczał leżącą na podłodze starą, nieprzytomną kobietę.

Meadows bez przeszkód prześliznął się do drzwi. Był z siebie zadowolony.

Może jest pionkiem, jak nazwał go Nelson, ale dobrze się spisał. Zdobył to,

czego żądał detektyw. Osiągnął więcej niż kubański gliniarz i wszyscy jego ludzie razem wzięci.

Znalazł el Jefe. Wykonał zadanie i teraz uwolni się od oskarżenia. Reszta należy do Nelsona; musi wywiązać się z umowy. Meadows pomyślał, że wyjedzie na kilka dni. Kiedy wróci, będzie po sprawie.

Na ulicy rozejrzał się. Nie zamierzał natknąć się na zabójców. Przeciął skrzyżowanie i ruszył w stronę ciemnej stacji benzynowej, gdzie czekał detektyw.

Niebieski dodge zniknął. Meadows doszedł aż do następnego rogu. Nigdzie nie zauważył znajomego samochodu.

Zaczęło padać. Schronił się w wejściu do piekarni. Stał tam bardzo długo, ale Nelson się nie pojawił.

91

14

Thaddeus Christopher Meadows leżał w lśniącej, drewnianej trumnie. Jego ciało było białe jak talk i twarde niczym stal. Obok przechodzili rzędem żałobnicy.

- Taki młody... - mówili. - Jakie to smutne, jakie tragiczne... - Potem każdy kładł do trumny pustą filiżankę po kubańskiej kawie. Policjant spóźnił się. Na czole miał zmatowiałą gwiazdę. Kiedy nikt nie widział, pochylił się nad trupem i przytknął zapalone cygare do jego splecionych rąk. Tylko, żeby się upewnić. Thaddeus Christopher Meadows czuł ból i zapach żółtych róż. Słyszał płacz i patrzył na to spod powiek zaszytych przez praktykanta w domu

pogrzebowym. Ale nie mógł się ruszyć ani krzyknąć. Policjant przyglądał się z obojętną miną jak żar cygara wypala białą skórę. Swąd zmieszał się z zapachem środków balsamujących. Wzruszył ramionami i powiedział:

- Adios, amigo. - Rzucił cygare na stos pustych filiżanek. Wdowa zaszlochała. Nosiła czarne bikini i białą, spiczastą pilotkę.

- Aj, aj, aj... - zawodziła i obejmowała kolejno żałobników. Trzymała każdego w mocnym uścisku, a później przykładała jego dłoń do swych jędrnych kokainowych piersi.

Zza ekspresu do kawy wyszedł mężczyzna o oczach rekina i odmówił różaniec.

- Gringo, gringo, gringo, gringo, jesteś skończony, pechowy gringo, skończony. - Z jego filiżanki pociekła krew i utworzyła kałużę na piersi nieboszczyka.

Żałobnicy nie wiedzieli, że ten człowiek to zabójca, a trup to jego ofiara. Patrzyli zdziwieni, jak stos filiżanek przewraca się i wpadają jedna po drugiej do zmywarki.

- Taksówka! - zawołał zmarły. - Muszę stąd zniknąć. Czy w tym cholernym mieście nie jeżdżą taksówki? Taksówka! Taksówka dla gringo. Bardzo proszę.

Meadows obudził się z erekcją. Jasnoniebieskie prześcieradła przykleiły mu się do ciała. W ustach miał jakby watę szklaną. Przy każdym mrugnięciu czuł

ból głowy. Męczył go kac gigant. Bryza od morza szarpała żaluzjami. To go obudziło - klekot żaluzji. Przewracające się filizanki. Wzdrygnął się. Stoczył się z łóżka Terry i powlókł pod prysznic. Z przeciwległej ściany patrzyły na niego groźnie portrety el Jefe, Kalafiorowatego Ucha i Wieśniaka. Przypiął je tam pinezkami. Znow się wzdrygnął. Koniec z pisco, przysiągł sobie. Zdradliwe ścierwo. Zbyt gładko przechodzi przez gardło. Pusta butelka po andyjskiej aguardiente leżała na podłodze obok stolika, przy którym w nocy pracował. Rysował, żeby pamiętać i pił, żeby zapomnieć. I w kółko zadawał sobie pytanie, dlaczego Nelson go zostawił. W kilka minut po wyjściu z domu pogrzebowego stracił całą pewność siebie. Został sam. Nie wiedział, co robić. Uciekać, bo oskarżą go o morderstwo?

92

Ale dokąd? Buckingham odpada. Dom też. Wybierają się tam Wieśniak i Kala-fiorowate Ucho. Opuścić Miami? Jeśli szuka go policja, nie uda się. Przyszło mu do głowy tylko jedno: apartament Terry na Key Biscayne. W mieście znanym z kiepskiej komunikacji publicznej musiał wędrować w deszczu dwadzieścia minut w poszukiwaniu taksówki. W Miami nie krążą one po ulicach, tylko czekają. Wreszcie zobaczył jedną przed szpitalem. Zastukał w szybę i obudził kierowcę, który zwyczajem wszystkich tutejszych taksówkarzy najpierw włączył licznik, a dopiero potem odblokował drzwi i wpuścił go do środka. Dlaczego mnie zostawiłeś, Nelson? Dlaczego? W nocy zadawał sobie to pytanie sto razy. Nie znalazł odpowiedzi ani w portrecie el Jefe, ani w butelce. Meadows wziął prysznic i uspokoił nerwy mocną kawą. Potem przyjrzał się krytycznie rysunkom. Był zadowolony. Zdenerwowanie i alkohol nie odebrały mu zdolności. Stworzył doskonale podobizny trzech mężczyzn. Uwypuklił ich charakterystyczne cechy. Najlepiej wyszedł el Jefe. Jego wyrazista twarz przyciągała wzrok. W głębokich oczach kryła się inteligencja. Usta były trochę za małe, więc Meadows je poprawił. Potem spróbował zadzwonić do Terry, żeby ją uprzedzić, że korzysta z jej mieszkania. Czasami je wynajmowała. Bał się, że nagle zjawi się tu grupka gości z Ameryki Południowej biorących udział w dorocznej pielgrzymce na północ. Zgodnie z przewidywaniami, Terry była nieuchwytna. -A kiedy wróci? - zapytał sekretarkę w paragwajskim biurze CAN w Asunción. - Długo nie wracać. -Niech zadzwoni do Chrisa, do jej domu. - Co w jej domu? - Su casa esta quemada - odrzekł zniechęcony Meadows i wyłączył się. Pozmywał naczynia, zaścielił łóżko i wyrzucił butelkę po pisco. Znalazł kluczyki i uruchomił starego forda, którego Terry trzymała w garażu na wszelki wypadek. Wrócił na górę, wypił szklanekę lodowatej wody i nagle uświadomił sobie, że nie wie, co ze sobą zrobić. Poprawił rysunki, włączył

telewizor i zaraz go zgasił. Wziął się za czytanie. Terry miała sporą bibliotekę literatury latynoamerykańskiej. Wybrał angielski przekład zbioru opowiadań Garcii Marqueza. Realizm magiczny w utworach kolumbijskiego pisarza doskonale pasował do jego nastroju, ale po kilku minutach odłożył książkę. Wystarczyła mu własna mityczna rzeczywistość.

Ciągle wracał myślami do Nelsona. Dlaczego zniknął? Meadows kilka razy podnosił beżowy telefon przy łóżku Terry, żeby zadzwonić na policję, ale wstrzymywał się.

Nelson wpuścił go jak mysz między węże, a potem zostawił. Dlaczego? Coś tu nie tak. Ale Meadows nie potrafił rozwiązać tej zagadki.

93

Detektyw powinien był czekać. Jeśli rysunki tyle dla niego znaczyły, to czemu odjechał?

Meadows przestał rozumować logicznie. A może Nelson go wystawił? Jest w zмовie z handlarzami narkotyków. Wysłał go do domu pogrzebowego, żeby podać zabójcom ofiarę na talerzu.

Meadows skrzywił się. Teoretycznie to możliwe, ale intuicja podpowiadała mu, że taki schemat nie pasuje do cynicznego, kubańskiego twardziela.

Przyszło mu do głowy jeszcze jedno wytłumaczenie: Nelson wykorzystał go jako przynętę. Liczył, że zabójcy rozpoznają go i wywloką na zewnątrz. A kiedy zobaczył, że wychodzi sam, zaczekał chwilę tylko po to, by sprawdzić, czy ryba na pewno wymknie się z sieci. Całkiem prawdopodobne.

Meadowsa ogarnął gniew. Nelsona irytuje niemoc prawa, więc znalazł sprytny, choć okrutny sposób, jak je wyręczyć. Podsunął przestępcom łatwy cel, wystraszonego frajera, z którego można zrobić tarczę strzelniczą. Potem wkroczyłby na scenę i pozbierał kawałki. A jeśli jeden kawałek zostałby zniszczony... que sera, sera.

Meadows wyszedł na balkon i popatrzył na ocean i purpurowy horyzont pod linią odległych chmur. Plan Nelsona nie wypalił. Gliniarz nie dostanie już drugiej szansy. Następnym razem, pomyślał Meadows, rozegramy to po mojemu.

Octavio Nelson był w złym humorze.

- Co z Garcją? - zapytał Pincus.
- W porządku.
- Gdzie dostał?
- W lewe ramię i lewe kolano.
- Słyszałem, że w pierś - powiedział Pincus.
- Źle słyszałeś.
- Podobno z własnej broni.

Nelson podniósł do ust kubek parującej kawy.

- Tak - mruknął kwaśno.

Co za cholerny koszmar, pomyślał. Kiedy dyżurny w centrali nadaje komunikat „Postrzelony policjant”, nie zadaje się głupich pytań w rodzaju: czy ten narwaniec postrzelił się sam? Czy bawił się w kowboja i za szybko

wyciągnął broń? Czy coś schrzanił? Człowiek po prostu jedzie na miejsce, bo następnym razem sam może mieć tyłek podziurawiony kulami.

Więc gdy Nelson odebrał wezwanie, natychmiast odjechał sprzed domu pogrzebowego. Zwłaszcza, że tym razem chodziło o jednego z jego ludzi. Architekt, który wykonywał dla niego niebezpieczną misję, został sam. Cholera jasna.

Zanim Nelson wrócił, Christopher Meadows oczywiście zniknął. Detektyw krążył po ulicach przez blisko godzinę. Szukał znajomej postaci ukrytej

94

w wejściach do budynków i oświetlał szperaczem ciemne zaułki Małej Hawany. Nie znalazł Meadowsa.

Nie dość, że wszystko się zawaliło, to jeszcze teraz Pincus wystukuje na maszynie te swoje cholerne formularze dwadzieścia na dwadzieścia pięć i wypytuje o architekta.

- Nie rozumiem tego - odezwał się młody detektyw.

Nelson odwrócił się do niego plecami i zaczął grzebać w szufladzie biurka.

- Nie widziałeś moich cygar?

- Co się stało w hotelu? - naciskał Pincus.

- Nic - odparł krótko Nelson. - Rozpłynął się.

- Jak to? Przecież go namierzyłem.

- Jest! - rozpromienił się Nelson, wyjmując świeżego upmanna od Meadowsa.

Odgryzł koniec cygara i zaczął je pieczołowicie zapalać. Pincus milczał.

Wiedział, że musi zaczekać.

Po chwili Nelsona otoczyły kłęby dymu. Wyraźnie odzyskał humor. Tym razem odpowiedział spokojnie i cierpliwie.

- Trop był dobry, Wilbur. Adres się zgadzał. Reszta twoich informacji też. To niczyja wina. Meadows musiał się czegoś przestraszyć i zwiął.

- Jakim cudem?

Nelson wzruszył ramionami.

- Co tam piszesz? Pincus zignorował go.

- Zostawił coś?

- Dwie koszule, nową szczoteczkę do zębów... wiesz, taką z wygiętym włosiem, i puszkę right guard. Strasznie dużo, nie? Wszystko leży w plastikowej torbie w mojej szafce, jeśli jesteś zainteresowany.

Pincus uśmiechnął się sztucznie i pokręcił głową.

- Zastanawiam się, skąd wiedział, że jedziesz po niego.

- Pamiętaj, że zabił człowieka i sam omal nie zginął; już po raz trzeci w ciągu miesiąca. Na jego miejscu też miałbym nerwy w strzępach - zauważył Nelson. Ale czuł, że jego wyjaśnienie jest mocno naciągane.

- Dowiedziałeś się czegoś od ludzi w hotelu?

- O, tak! Przez godzinę słuchałem, jaki to miły i porządny facet, ten architekt. Nie mieli pojęcia, że popełnił zbrodnię, więc nic im nie powiedziałem. Nie uwierzyliby.

Pincus wrócił do pisania. Od czasu do czasu podnosił wzrok znad maszyny i

pytał o jakiś drobiazg. Nelsona szybko zmęczyła ta zabawa.

- Tylko nie pytaj, czy sprawdziłem jego dom. Nie ma go tam. Nie jest taki głupi. Posłuchaj Wilbur: to inteligentny facet i ma kupę forsy. Może być teraz wszędzie, od Key West po Paryż. Wystraszył się i nie winię go za to.

Pincus wzruszył ramionami.

- Założę się, że został w mieście.

95

Nelson jąknął i pokręcił głową.

- Nie zbliżyłby się do lotniska po tym, co tam się stało - dodał Pincus.

- Słuszna uwaga - przyznał sarkastycznie Nelson. - Ale chyba nie będziesz mi wmawiał, że nie przejechałby samochodem dwudziestu pięciu kilometrów do Fort Lauderdale. Albo nie wynająłby beechcrafta i nie odleciał z North Perry. Lub nie wypożyczył jakiegoś cholernego bertrama i nie popłynął do Bimini. Wilbur, on nie jest idiotą. Boi się, to wszystko. Podejrzewam, że niedługo znów się odezwie.

W rzeczywistości Nelson w to nie wierzył. Patrzył jednak na Pincusa z pełnym przekonaniem. Cholerny gówniarz, pomyślał. Nie odpuści.

- Będziesz tylko czekał?

- Chryste, Wilbur! A co jeszcze mogę zrobić, do jasnej cholery?! - wybuchnął Nelson. - W najlepszym wypadku to sprawa o nieumyślne zabójstwo. W najgorszym samoobrona. W tej chwili prokurator stanowy nie sporządzi nawet aktu oskarżenia. Nie będę tłuł się setek kilometrów w pogoni za spanikowanym architektem, który ze strachu robi w gacie, kiedy mam do wyjaśnienia sześć zabójstw, w tym jedno dzisiejsze. Rano doszedł jakiś stuknięty angielski profesorek z siedmioma dziurami po kulach z pistoletu maszynowego. To mi teraz leży na wątrobie, Wilbur. - Nelson spojrzał w sufit i wypuścił kłęb gryzącego dymu.

Obaj mężczyźni siedzieli naprzeciw siebie niczym bokserzy w narożnikach ringu; zmęczeni, ale gotowi do następnej wymiany ciosów. Pincus odetchnął z ulgą gdy na biurku Nelsona zadzwonił telefon. Młody detektyw skorzystał z okazji i wyciągnął z kieszeni marynarki swój nieodłączny notes. Przerzucił kartki i znalazł to, czego szukał. Miał wyjątkowo staranne pismo - duża zaleta u gliniarza. Zerknął na notatkę o treści: „Hotel Buckingham. M.B. 555-3200”. Kiedy Nelson wyszedł do toalety, szybko wybrał numer. Recepcjonista mówił jak Myron Cohen.

- Czy mieszka u was pan Meadows? - zapytał Pincus.

- Już nie. Pan z rodziny?

-Jestem jego współnikiem. Wiadomo, dokąd wyjechał? To bardzo ważne.

-Nie... Chwilczkę... Sadie! Sadie! - Głos recepcjonisty oddalił się. W słuchawce odezwała się stara kobieta. -Tak?

- Szukam pana Christophera Meadowsa - wyjaśnił Pincus. - Nazywam się John Lake. Prowadzimy razem interesy.

- Tak, tak, Izzy mi powiedział. Niestety, pana Meadowsa nie ma, panie Lake. Nie chciałabym, broń Boże, mówić nic złego, ale zdaje się, że ma kłopoty.

- O, nie... - westchnął współczująco Pincus. - Dlaczego pani tak sądzi? Czy wyprowadził się w pośpiechu?

- Można tak to nazwać, młody człowieku. Zabrała go policja. Nie do wiary. Taki sympatyczny, przyzwoity mężczyzna...

96

- Policja? Nie rozumiem. Zna pani może nazwisko funkcjonariusza?

- Zapytam Izzy'ego. To on zaprowadził go na górę. Proszę zaczekać...

-Pincus wyęczał słuch, żeby zorientować się, o czym Sadie rozmawia z recepcjonistą.

-Niestety zapomniał, panie Lake. Biedak ma bardzo słabą pamięć.

- Trudno - odrzekł Wilbur Pincus. - W każdym razie, Chris opuścił hotel z policjantem, tak?

- Tak, tak. Sama widziałam, jak wychodzili. Ten detektyw był wysoki, panie Lake. Pokazał Izzy'emu odznakę, ale jak mówiłam, biedak nie może sobie przypomnieć nazwiska. Choć ja bym go poznała.

Pincus poczuł podniecenie.

- Zapamiętała pani, jak wyglądał?

- Tak, panie Lake. Miał wąsy i cygaro. Kubańczyk. Na pewno zabrał pana Meadowsa do więzienia. Bardzo nieprzyjemna sprawa.

- Jeszcze jak! - mruknął w zamyśleniu Pincus. - Dziękuję pani, Sadie.

Meadows pokonał zamaszystym kraulem prawie kilometr ciepłego, zielonego oceanu. Nie pływał ładnym stylem, za to szybko. Uwielbiał kąpiel w morzu.

Tutaj mógł to robić niemal przez okrągły rok. Głównie dlatego osiadł w Miami.

Przekręcił się na plecy i pomyślał o el Jefe. To wytrawny aktor. Człowiek z charyzmą. I bez wątpienia czarujący. Na pokaz, oczywiście. Kim jest?

Meadows postanowił się dowiedzieć. Tylko w ten sposób wydostanie się z pułapki. Czuł się jak w wąskim tunelu: z jednej strony Nelson, z drugiej kokainowi zabójcy. Jeśli pozna tożsamość el Jefe, będzie miał przynajmniej jakąś kartę przetargową. Ale jak to zrobić?

W drodze powrotnej do mieszkania Terry wpadł na pomysł: Clara Jackson.

Clara Jackson była reporterką kryminalną o krajowej sławie. Pracowała w „Miami Journal”. Słynęła z artykułów o przemocy i lekceważącego stosunku do swoich szefów. Wiodło się jej doskonale. Meadows poznał ją w czasach,

gdy spotykała się z jego klientem i uznał za bardzo interesującą. Najpierw oprowadziła jego, Sandy i przyjaciela po sali redakcyjnej „Journala” wielkości supermarketu. Później, przy kolacji, słuchali mrożącej krew w żyłach

opowieści ojej pracy. Meadows pamiętał, że chodziło wtedy o morderstwo.

- Cześć, Claro. Mówi Chris Meadows. Poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy...

- Jasne, pamiętam. Architekt - przerwała mu Clara. - Wtedy chodziłam z...

- Jackiem...

- Rennerem. Zgadza się. Byliśmy na kolacji. Zapamiętałam, co powiedziałeś o budynku „Journala”. Nazwałeś go największą stacją benzynową Sunoco na świecie.

- Kokainowe wydmy

Meadows roześmiał się.

- Żartowałem.

- Miałaś rację - odrzekła Clara. - Jak ci leci?

- Kiepsko. - Meadows opowiedział krótko o śmierci Sandy, ale nie wspomniał, że jest w tarapatkach.

- Boże, strasznie mi przykro. Pisałam artykuł o tamtym wypadku i nawet nie wiedziałam, o kogo chodzi.

- Znałaś ją pod panięńskim nazwiskiem - wyjaśnił Meadows.

- Strasznie mi przykro - powtórzyła Clara. - Cholerni handlarze narkotyków. To szaleńcy, Chris. Co do jednego.

- Chciałbym cię poprosić o przysługę. Narysowałem portret pewnego mężczyzny...

- Zabójcy?

- Nie, ale... jest zamieszany w tę sprawę.

- Dałeś glinom rysunek?

- Zamierzam tak zrobić, ale chciałbym, żebyś ty też to zobaczyła. Przyślę ci kopię.

W słuchawce zapadło milczenie. Meadows słyszał w tle stukot kilku elektrycznych maszyn do pisania.

- Mogę to obejrzeć, Chris, choć... Będę szczerą. Większość takich portretów jest do niczego. Nawet policjanci rysownicy zawsze tworzą tę samą kartoflaną głowę, która nikogo nie przypomina.

- Rzuć okiem, bardzo cię proszę - nalegał Meadows. - Zaraz przyślę ci to taksówką.

- Dobrze, ale teraz muszę lecieć. Walczę z jednym z młodszych redaktorów o jutrzejszy artykuł na pierwszą stronę.

- Kolejne narkotykowe zabójstwo?

- Nie, nie. Jakiś stuknięty mąż strzelił do żony z harpuna. Przygwoździł ją do lodówki. Ten idiota naczelny uważa, że to zbyt brutalne i chce zamieścić mój materiał wewnątrz numeru. Dlatego muszę lecieć.

Meadows włożył portret wytwornego mężczyzny z domu pogrzebowego do brązowej koperty biurowej i zakleił ją szeroką taśmą. Na wierzchu napisał drukowanymi literami nazwisko Clary Jackson. Nie umieścił nadawcy.

Wręczył taksówkarzowi dwadzieścia dolarów i pomodlił się w duchu, żeby facet okazał się uczciwy. Kiedy samochód odjechał, odetchnął z ulgą.

Następnego dnia pływał i spacerował po plaży. Wracił do formy fizycznej i równowagi psychicznej.

Był uciekinierem, ale nie ścigała go policja, tylko jeden samotny gliniarz. I dwaj zabójcy na usługach faceta z różą w klapie.

Meadows bał się ich, lecz panika już minęła. Czas działał na jego korzyść. W mieszkaniu Terry nic mu nie groziło. Miał dużo pieniędzy i nigdzie się nie spieszył.

Zaczeka spokojnie, aż Nelson i tamci dwaj znajdą sobie nowe ofiary, jak znudzone psy myśliwskie świeży trop.

Gdyby Clara Jackson ustaliła nazwisko króla narkotyków, Meadows mógłby się zemścić. Wysłałby kopie rysunków i anonimowe donosy do FBI i DEA. Do wszystkich, byle nie do Octavio Nelsona. Niech dowie się od federalnych, kim jest jego cenny el Jefe. Zaboli go to. Może straci trochę pewności siebie i więcej nie wykorzysta żadnego cywila.

Meadows poznawał lepiej samego siebie. Po raz pierwszy przeżył tak przerażającą przygodę. I przetrwał. Może wbrew sobie, ale przetrwał. Późnym popołudniem zadzwonił do Clary Jackson.

- Widziałeś, co zrobili z moim artykułem?

- Nie. Z którym? - zapytał zaskoczony Meadows.

- „Tragiczny finał małżeńskiej sprzeczki harpunnika”. -Ach, to...

- Jest na trzeciej stronie. Przegrałam - poskarżyła się Clara.

- Dostałaś mój rysunek? - spytał z obawą Meadows.

- Tak. Czy to miał być żart? -Nie rozumiem...

- Przysłałeś mi portret Jose Bermudeza. Meadows poczuł przyspieszone bicie serca.

- Znasz go?

- Wszyscy go znają, Chris. To najbardziej dynamiczny, przedsiębiorczy, wyróżniający się młody Kubańczyk, jakiego kiedykolwiek widziało to miasto. Za kilka lat pewnie zostanie burmistrzem.

- Jesteś pewna?

-Ależ Chris... Jego zdjęcie jest w gazetach co drugi dzień. Redaktorzy z naszego hiszpańskojęzycznego wydania już zrobili z niego świętego. Ma furę pieniędzy i nie żałuje ich na cele dobroczynne. Przecina więcej wstęg niż wiceprezydent.

- Co nie znaczy, że nie siedzi również w interesie narkotykowym, nie uważasz? Może stąd ma tyle forsy.

- Sprawdziłam go w dwóch źródłach: u nas i u federalnych. Roześmieli mi się w twarz. Bermudez nie ma żadnej kartoteki. To człowiek bez skazy.

Meadows był zbity z tropu.

- W takim razie, może to nie ten facet.

- Możliwe. Choć twój rysunek jest diabelnie dobry.

- Mogłabyś mi przysłać jego fotografię? Chciałbym się upewnić. Chętnie zapłacę.

- Wyciągnę jakąś z archiwum. Mamy ich ze sto. Dołączę też wycinki prasowe i wyślę ci pocztą dziś wieczorem. Jak poczytasz o nim, wszystko zrozumiesz. Meadows podał Clarze swój adres w Coconut Grove, po czym zapytał:

99

- A wiesz coś o detektywie Nelsonie?

- Jest kilku.

- Ten pracuje w wydziale narkotyków w komendzie miejskiej w Miami. Krępy,

trochę zaniedbany twardej.

- Octavio.

- Zgadza się! - wykrzyknął Meadows.

- O ile wiem, jest czysty. W ciągu dwóch ostatnich lat dokonał kilku dużych aresztowań wśród handlarzy kokainą.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - mruknął Meadows. Usłyszał, że Clara pisze na maszynie.

- Octavio Nelson to fanatyk - ciągnęła. - Kilka lat temu został postrzelony podczas akcji i omal nie zginął. Ale położył trupem dwóch kolumbijskich zawodowców.

- Więc nie słyszałaś o nim nic złego?

- Jakies drobiazgi. W zeszłym roku wpłynęły na niego dwie skargi o brutalność. Prawdopodobnie uzasadnione. Przy zatrzymaniu przyłożył dwóm facetom latarkę policyjną. Zostali zresztą zwolnieni.

Meadows podziękował za informacje, wyłączył się i zamyślił. Opierał się na tym, co widział i przeżył. Clarze Jackson wystarczyło kilka telefonów, by dowiedzieć się więcej, niż on dowiedziałby się przez rok. Twierdziła z całą pewnością że narkotykowy król to filar społeczeństwa.

Meadows był przekonany, że się nie myli. Zastanowił się chwilę, czy nie opowiedzieć komuś swojej historii. Prokuratorowi stanowemu? Federalnym? Czy dopilnują żeby sprawiedliwości stało się zadość? Clara dała mu do zrozumienia że nie będą chcieli go słuchać. A jeśli nawet, to czy zapewnią mu anonimowość?

I jakie fakty mógłby im podać? Rozmowę Bermudeza z dwoma domniemanymi zabójcami w domu pogrzebowym? Mężczyzna z różą w klapie zapewne zamienił kilka słów z każdą z obecnych tam osób.

Meadows nie znał nawet nazwisk zabójców. Poza tym, musiałby opowiedzieć, co zdarzyło się w garażu na lotnisku. A to postawiłoby go w naprawdę trudnym położeniu.

Następnego dnia Meadows omal nie zrezygnował z wyprawy do Coconut Grove po przesyłkę od Clary. Wyjazd z Key Biscayne i powrót tutaj były prawdziwą męką. Wiedział, że podróż na stały ląd zajmie mu prawdopodobnie całe przedpołudnie.

Z wyspy prowadziła tylko jedna szosa po grobli i zazwyczaj panował tu największy tłok komunikacyjny, jaki Meadows kiedykolwiek widział na północ od Sao Paulo.

Most najbliższej lądu był zwodzony. Operator usadowiony w budce na szczycie środkowego przęsła podnosił go na żądanie każdego nadzianego

100

faceta, który miał zbyt wysoki maszt. Tysiące kierowców pociło się w słońcu i czekało w nieskończoność, aż dołom raczy przepłynąć swoim jachtem jeden nadęty typ w białych butach i kapitańskiej czapce.

Kiedy Meadows sprowadził się do Miami, zauważył, że najczęstsze powitanie republikanów z Key Biscayne brzmi „Jaki dziś ruch?” zamiast „Jak się miewa

rodzina?"

Ale tego letniego popołudnia na szczęście nie zatrzymał go podniesiony most. Ruch był mały. Dostał się na łódź tak gładko, jakby przepłynął zatokę. Gdy przejeżdżał środkowe przęsło, pomyślał, że to cholerne urządzenie pewnie wreszcie się zepsuło.

W Coconut Grove też nie było tłoku na jezdniach. Meadows stał się czujny. Dwa razy objechał kwadrat ulic wokół domu i przyjrzał się zaparkowanym samochodom. Nie zauważył nic podejrzanego.

Zostawił forda Terry przecznicę dalej, przesadził metrowy murek swojej posiadłości i podszedł do drzwi frontowych od tyłu, przez gęstą roślinność tropikalną. Wyjął ze skrzynki pocztowej firmową kopertę „Miami Journal”, jakiś list, plik rachunków i ulotki reklamowe. Wetknął je do tylnej kieszeni.

Wtem zorientował się, że coś jest nie tak. Przykucnął za palmą i czekał. Nic nie usłyszał, więc wszedł i natychmiast tego pożałował.

W domu czekało na niego pobojuwisko. Nieproszeni goście zniszczyli wszystko, co wpadło im w ręce.

Wyglądało na to, że zaczęli od książek. Nie oszczędzili ani literatury pięknej, ani publikacji fachowych, ani słowników. Część leżała w strzępach na podłodze, reszta na dnie basenu.

Galeria modeli budynków przestała istnieć. Szklane gabloty zostały roztrzaskane. Jedną makietę spalono, drugą rozdarło na kawałki, trzecią rozdeptano.

Haitańskie malowidła pocięto nożem. Ocalało tylko jedno, ale pokrywał je zaschnięty ketchup. Skórzane meble w salonie rozpruto i wypatroszono. Łopatki wentylatora pod sufitem połamano.

Kuchnia zamieniła się w jezioro. Pływały w nim plasterki serów i wędlin. Kran był odkręcony. Meadows nie zamknął go. Z łazienki wylewały się kaskady wody. Ściekały po schodach i dębowej klepce do basenu na zewnątrz.

Na drewnianej ścianie, nad szczątkami zestawu stereo, gaszono papierosy. Niżej walały się niedopałki z filtrem. Widocznie Wieśniak i Kalafiorowa-te Ucho długo czekali na powrót gringo.

Meadows niczego nie dotknął. Stał w salonie i patrzył na skutki ich barbarzyństwa. Wzbierała w nim straszliwa wściekłość.

Wśród resztek różnych przedmiotów dostrzegł szklaną figurkę trubadura, którą przed laty kupił w Wenecji. Jakimś cudem ocalała. Podniósł delikatną statuetkę i czule pogłaskał. Postawił ją ostrożnie na zwykłym miejscu na obramowaniu kominka, gdzie prymitywni wandale rozmazali własne odchody, jedzenie i musztardę.

101

Zadzwoił telefon. Meadows wpatrywał się w aparat przez dłuższą chwilę. Potem odwrócił się i szybko wyszedł. Nie obejrzał się za siebie.

15

Meadows bez tchu wbiegł po schodach na samą górę. Kurczowo ścisnął klucze do apartamentu Terry. Wpadł do środka, zatrzasnął drzwi i zaryglował

oba zamki. Koszulę miał moką od potu. Sięgnął do termostatu i ustawił pokrętkę na osiemnaście stopni. Zapalił lampę na małym stoliku, uważając, żeby nie poruszyć zaciągniętych zasłon w oknie, za którym rozciągał się wspaniały widok na Atlantyk. Przypomniał sobie w porę, że na dole jest basen i mały park. A tam ludzie.

Mieszkanie powinno pozostać ciemne, jakby stało puste. Wciąż trzymał pod pachą kopertę od Clary Jackson. Podszedł do lodówki i poszukał piwa. Znalazł puszkę bawarii i jedno kolumbijskie. Ucieszył się. Było zimne, a co ważniejsze mocne.

Opadł na kolorową poduszkę, wypił duszkiem pół puszki i rozerwał kopertę. Przez całą drogę powrotną z Grove na Key Biscayne trzymał ją na kolanach. Jechał na złamanie karku i co chwilę nerwowo sprawdzał, czy ją ma.

Meadows spojrzął na zdjęcie Jose Bermudeza i zaparło mu dech. Jego rysunek i fotografia były niemal identyczne. Nie miał żadnych wątpliwości, że to ta sama twarz.

Dobrze zrozumiał rozmowę podsłuchaną w domu pogrzebowym. Sandy zginęła przez tego mężczyznę. Mono tylko wykonywał rozkazy, mózgiem był Bermudez.

Zgodnie z obietnicą Clara Jackson dołączyła do zdjęcia kserokopie wycinków prasowych. Meadows niemal słyszał jej głos przy fotokopiarce: „To chyba wreszcie przekona tego stukniętego architekta, że coś mu się przywidziało”. Skończył bawarie i otworzył puszkę kolumbijskiego piwa. Usiadł przy kuchennym stole i zaczął czytać:

Przywódca kubańskiego środowiska emigracyjnego, bankier Jose Luis Bermudez, został uhonorowany w piątek Nagrodą Polityka Roku, przyznaną mu przez Izbę Handlową Miasta Miami za działalność w latynoamerykańskich kręgach gospodarczych południowej Florydy...

Wycinek nosił datę siedemnastego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. W artykule pod zdjęciem zamieszczono imponującą biografię laureata. Meadowsa na nowo ogarnęły wątpliwości.

102

Bermudez miał czterdzieści cztery lata. Urodził się w prowincji Matanzas na wschód od Hawany. Jego ojcem był bogaty plantator kawy, który nie skąpił niczego trzem synom, żonie ani przyjaciółom. Wpadł w panikę, gdy młody se?or Castro zszedł z gór Sierra Maestra, by zająć stolicę, więc z żoną i dwoma chłopcami uciekł do Miami. Zabrał ze sobą niewyobrażalne pieniądze, co nie było łatwe w tamtych gorących dniach. Trzeci syn, Luis, zginął podczas rewolucji.

Artykuł napisano dla hiszpańskojęzycznego wydania „Miami Journal” i dość kulawo przetłumaczono na angielski. Zawierał dalsze losy bankiera. Stary Bermudez bardzo przygasał w Malej Hawanie w Miami. Dnie spędzał na pogrzebach kubańskich patriotów, a noce nad butelką rumu. W dodatku portorykańskiego. Dzięki znajomościom załatwił dwudziestopięcioletniemu wówczas Jose posadę niższego urzędnika w nowym kubańskim banku na

Coral Way. Młodemu mężczyźnie nigdy nie przydało się prawnicze wykształcenie zdobyte w Hawanie. Na Florydę ciągnęły setki tysięcy jego rodaków. Zaczynali nowe życie i potrzebowali pieniędzy. Emigracyjne banki witały ich z otwartymi ramionami. Jose Luis Bermudez Modero stał się ważnym i bogatym człowiekiem.

Meadows przerzucił wycinki. W kubańskie święta - a kto by je zliczył?

-Bermudez był wszędzie: wśród ludzi tańczących na ulicach Małej Hawany, wśród graczy w domino w parku na Ósmej ulicy i pod Pochodnią Wolności na bulwarze, gdzie słuchał płomiennych przemówień.

Meadows bezradnie wzruszył ramionami. To bez sensu: Bermudez po prostu nie potrzebował robić narkotykowych interesów. Miał dom z sześcioma sypialniami w Coral Gables (opisany zresztą kiedyś w „Miami Journal”), troje ładnych dzieci i piękną żonę. Jego nazwisko nigdy nie pojawiało się w gazetach bez wstępu „wyróżniający się kubański biznesmen”, „znany bankier z Miami” czy „emigracyjny przywódca”.

Meadows westchnął. Nic dziwnego, że Clara Jackson mu nie uwierzyła. Jose Bermudez przestępcą? To niemożliwe!

A jednak...

Czy można mieć lepszy kamuflaż? - pomyślał Meadows. Wyobraził sobie gliniarza w typie Wilbura Pincusa, który kręci się po Małej Hawanie i wypytuje o ciemne sprawy se?or Bermudeza. Z jaką spotkałby się reakcją? „Nie masz co robić, sukinsynu, tylko obrażać szanowanego człowieka?! Wynocha stąd! Chyba jesteś stuknięty, żeby gadać takie rzeczy o panu Bermudezie!”

Meadows poczuł zniechęcenie. Jose Bermudez handlarzem narkotyków? Tę teorię wyśmialiby nie tylko na Ósmej ulicy; również w wydziale Octavio Nelsona.

Rozebrał się i poszukał w szafie starych szortów, które kiedyś zostawił u Terry. Odważył się wyrzeć przez szparę w zasłonach. W basenie roiło się od dzieci i młodzieży. Na żółtych krzeselkach opalały się matki. Dalej rozciągał się Atlantyk. W odległym pasie Prądu Zatokowego miał barwę indygo; wokół wyspy - odcień akwamaryny.

Meadows zmagął się z ogarniającą go desperacją.

103

- Więzień w raj - powiedział głośno z kwaśnym uśmiechem. Nigdy nie wróci do domu. Do domu? Omal nie ugotowali go żywcem w jego własnym basenie, później wszystko zdemolowali. Zrobiło mu się niedobrze na wspomnienie zniszczeń i brudu. Zostawili mu przerażające ostrzeżenie.

Co doradziaby mu Terry? „Zawiadom policję, Chris”. Policję, która opuściła go w domu pogrzebowym. Policję, czyli Octavio Nelsona i kolegów. To tacy sami wrogowie, jak handlarze narkotyków. Może nawet groźniejsi.

Postanowił opuścić mieszkanie Terry. Dla jej i swojego bezpieczeństwa. Jeśli jest obserwowany, przynajmniej odciągnie stąd zabójców. A jeśli jeszcze nie wytropili jego kryjówki, może zdąży zniknąć. Znalezienie go zajmie im trochę czasu. Przejrzenie rzeczy ukradzionych z jego domu może im zabrać cały

dzień. Miał zapisanych wiele nazwisk i telefonów.

Pomyślał o Terry, Arthurze i wszystkich swoich znajomych. Wzdrygnął się. Potem pomyślał o Nelsonie. Kiedy detektyw weźmie się ostro do roboty, szybko dojdzie do wniosku, że przerażony architekt mógł się schronić w apartamencie swej egzotycznej przyjaciółki. Ile to potrwa? Dwanaście godzin?

Meadows zerknął na drzwi, jakby za chwilę miała w nie zapukać policja. Zebrał materiały o Bermudezie i wsunął z powrotem do koperty. Szybko przerzucił pocztę i natrafił na list z Quito, stolicy Ekwadoru. Rozciął go nożem:

Zgodnie z warunkami umowy, tydzień temu miał Pan nam przedstawić propozycję wyglądu siedziby ekwadorskiego Ministerstwa Ropy. Do dziś nie otrzymaliśmy ani szkiców, ani żadnego wyjaśnienia z Pańskiego biura w Miami. Naszemu Rządowi bardzo zależy na realizacji projektu w terminie, który uzgodniliśmy z Panem wiosną tego roku. Dalsze opóźnienie zmusi nas do odstąpienia od umowy z Panem i skorzystania z usług innego architekta. List podpisał jakiś wiceminister. Meadows nie zwrócił uwagi na nazwisko. Zmiał kartkę i cisnął w kierunku kosza na śmieci.

Do diabła z nimi. Jego studio jest w ruinie. Boi się pokazać w biurze; Nelson na pewno już je obstawił. Nie ma mowy, żeby zrobił ten projekt. Nagle uświadomił sobie, że może już nigdy nic nie zaprojektuje. Koniec z karierą architekta. Wpadł w przygnębienie.

Zdał sobie sprawę, że pozostała mu tylko ucieczka lub zemsta. To pierwsze wydawało się bardziej sensowne. Mógłby zniknąć wszędzie: w Chicago, Nowym Jorku albo nawet w Europie. To bardziej ambitne. Ma kilku przyjaciół w Brukseli. Tylko co dalej? Przez resztę życia stać za barem, prowadzić taksówkę, sprzedawać encyklopedie? Powiedzmy, że za kilka lat Mono pójdzie w zapomnienie, a Nelson przestanie się liczyć w policji, zginie lub trafi do więzienia. Powrót do Miami byłby trudny. Powrót do zawodu niemożliwy. Kto wypadnie z obiegu, jest skończony. Meadows znał takie przypadki. Pięć lat przerwy i można projektować najwyżej szkoły podstawowe albo poczty.

104

Ucieczka wydawała się sensowna, ale mało pociągająca.

Meadows stanął przed lustrem w sypialni Terry. Postrzępione włosy opadały mu na uszy, miał zaczerwienione oczy i głębokie bruzdy na twarzy. Wyglądał jak kupa nieszczęścia.

Zadzwoił telefon. Meadows nerwowo spojrzął na aparat. Po piątym sygnale odebrał.

- Jeśli sypiasz w moim łóżku, to mam nadzieję, że sam, querido.

- Terry! - Meadows o mało się nie rozplakał. Chciał jej wszystko opowiedzieć i błagać, żeby wróciła do domu. Skuliłby się w jej ramionach i spał miesiąc, dopóki koszmar się nie skończy.

- Tęsknię za tobą - szepnął.

- To dobrze - ucieszyła się. - Ale mów głośniej, bo strasznie słabo słyhać.

- Skąd dzwoniisz? Kiedy wracasz?
- Jestem w Hondurasie, w San Pedro Sula. I mam złe wieści. Mechanicy rozłożyli mojego convaira na czynniki pierwsze. Wszędzie dookoła stopy ładunku. Pewnie nie przylecę wcześniej niż za dwa tygodnie.
- Ach tak... - Meadows był zawiedziony, ale jednocześnie odetchnął z ulgą. Przynajmniej przez jakiś czas nic jej nie grozi.
- Wróć jak najszybciej - poprosił cicho.
- Postaram się - obiecała. W słuchawce rozległy się trzaski. - Muszę kończyć. Trzymaj się. Jeszcze zadzwonię, jeśli mi się uda.
- Będę czekał.
- Cześć.

Meadows pokręcił się bez celu po mieszkaniu. Bardzo mu jej brakowało. Usiadł i powtórnie przeczytał wycinki prasowe o Bermudezie. To z winy tego chciwego sukinsyna jego życie legło w gruzach. Cwaniak z uśmiechem gwiazdora, cholera jasna. Izba Handlowa, Polityk Roku... Jezu Chryste! Meadows prześledził w pamięci scenę w domu pogrzebowym. Wieśniak, Kalafiorowate Ucho i ten tutaj. Co wtedy powiedział? „Ta rozróżba w Grove była głupotą”?

Głupotą? Tylko tyle?

Christopher Meadows postanowił, że sam to załatwi. Jak? Tego jeszcze nie wiedział. Ale sprawiedliwości musi stać się zadość.

Zaczął się krzątać po apartamencie Terry. Poruszał się szybko i cicho niczym złodziej, jakby bał się, że ktoś go usłyszy. Sprawdził podwójny materac, przeszukał zagracone, pachnące szuflady mahoniowej komody w sypialni, nawet oszkloną szafę z książkami. W końcu otworzył szufladkę nocnego stolika. Broń leżała obok pigułek antykoncepcyjnych.

Meadows wziął ją ostrożnie jak nitroglicerynę. Oksydowana stal lufy była zimna, a rękojeść szorstka. Odczytał napis nad bębniem: Smith & Wesson. Nazwę znał, ale nie miał pojęcia, czy to kaliber 38, 45 czy 357.

105

Miał rewolwer, to było ważne. Terry twierdziła, że działa. Z pewnością umiała się nim posługiwać. Zabierała go ze sobą prawie w każdą podróż do Ameryki Łacińskiej. Do Bogoty dodatkowo brała strzelbę.

Ale teraz Terry nie mogła go nauczyć, jak się z tym obchodzić.

Meadows pomajstrował przy małej dzwignicy. Bęben wysunął się i na różową satynową pościel wypadło sześć nabojów. Zgarnął je i schował do szufladki. Uniósł broń pod światło i zajrzał do komór: wszystkie były puste. Widział to kiedyś w telewizyjnym programie policyjnym. Zatrzasnął bęben i poszedł do salonu.

Rewolwer był naoliwiony. Meadows położył go na stole i wytarł ręce o szorty. Włączył telewizor, przeleciał kilka kanałów i znalazł hałaśliwy program rozrywkowy. Ustawił taką głośność, żeby nie zakłócała spokoju sąsiadom, ale by zagłuszała inne dźwięki.

Usiadł przed ekranem i zaczął zapoznawać się z bronią. Oglądał ją i trzymał

na różne sposoby, dopóki nie oswoił się ze wszystkimi częściami i kształtami. Przez dwie godziny celował - ramiona wyprostowane, prawa dłoń oparta na lewej - i naciskał oporny spust. Paf, paf, paf... Kurek poruszał się wolniej, niż Meadows się spodziewał. Czy tak samo jest z naładowanym bębniem?

- Zabiorę teraz państwu minutkę... - odezwała się twarz na ekranie.

Christopher Meadows uniósł rewolwer. Kiedy nozdrza mówiącej osoby znalazły się na linii strzału, nacisnął spust. Paf, paf, paf...

16

Dwudziestopiętrowy biurowiec nad Miami River nie różnił się od innych.

Codziennie o piątej po południu pustoszał jak wszystkie. Tłum urzędników wylewał się z klimatyzowanego budynku na rozgrzany słońcem parking i znikał w klimatyzowanych samochodach, by odjechać do domów. Maszyny pilnowały, by ta rutyna nie została zakłócona. Dokładnie o siedemnastej piętnaście komputery odcinały zasilanie wind i wyłączały klimatyzację.

Lane Redbirt był zadowolony ze swojego wyglądu. Jadąc windą na dół, przelotnie przyjrzał się sobie w lustrze. Dobrze skrojony, trzyczęściowy garnitur, starannie uczesane blond włosy, żywe spojrzenie niebieskich oczu. Doskonały wizerunek młodego prawnika rozpoczynającego karierę.

Kiedy winda zatrzymała się na piętnastym piętrze, żeby zabrać następnych pasażerów, stojąca obok dziewczyna przysunęła się bliżej.

- Na dworze pewnie straszny upał, panie Redbirt - powiedziała.

- Chyba powyżej trzydziestu stopni, Virginio - odrzekł. Była jego sekretarką i dobrze pisała na maszynie.

106

Na parterze grupka z biura Redbirta przystanęła r^a chwilę, by wymienić piątkowe banały.

- Udanego weekendu.

- Do poniedziałku; o ile dożyję.

- Przywieź jakąś rybę.

- W poniedziałek rano zajmiemy się sprawą Mitchella, Virginio.

- Dobrze, panie Redbirt. Życzę miłego weekendu.

- Wzajemnie.

Sekretarki i aplikanci rozproszyli się po parkingu. Szefowie kancelarii ruszyli statecznym krokiem do swoich samochodów stojących na zadaszonych stanowiskach dla dyrekcji.

Lane Redbirt ociągał się z wyjściem. Został w holu. W kiosku z prasą kupił papierosy i odświeżacz oddechu. Zanim podszedł do swojego porsche, była piąta dziewięć i parking prawie opustoszał.

Obok ostro zahamowała brązowa toyota.

- Pospiesz się, Lane. Jestem tak napalona, że już nie mogę wytrzymać

-przynagliła go dziewczyna za kierownicą.

- Posłuchaj, Ginny...

- Wiesz, jak się dziś zabawimy dla odmiany?

Nie wiedział, więc mu powiedziała. Podnieciło ^Q to.

- Daj mi godzinę. Po drodze muszę gdzieś wstąpić
- Godzina to za długo. Chcę to zrobić zaraz.
- Pięćdziesiąt minut - skłamał.
- Bo zacznę bez ciebie - zagroziła.
- Poczekaj na mnie. Postaram się przyjechać jak najszybciej. Redbirt wrócił do holu, łatwo unikając spojrzeń starego strażnika.

Wsiadł do windy i nacisnął osiemnaste piętro. W tej chwili Virginia nic go nie obchodziła, podobnie jak żona.

„Morgan Jones” zadzwonił tuż po lunchu i jak zwykle zaskoczył Redbirta.

- Przemyślałem to, co pan ostatnio mówił - oznajmił głos, podający się za Jonesa. - Miał pan rację. Jest za duży bałagan.
- To już nie bałagan, to obłąd - zaczął narzekać Redbirt. - Nikt nie wie, co się właściwie dzieje. Obiecał pan, że będzie lepicj) aie jest coraz gorzej.

Wypisuję się z tego interesu.

- Teraz? Kiedy zamierzam wynagrodzić pańską cierpliwość? -Nie rozumiem...
- Wyjaśnię to panu podczas naszego spotkania.
- Jak to?
- Tak, przyjacielu. Doszedłem do wniosku, że i w tej kwestii miał pan rację. Zobaczmy się dziś po południu.
- Gdzie?

107

- W pańskim biurze, kiedy wszyscy wyjdą. Zjawię się u pana dokładnie o piątej czterdzieści i rozstaniemy się za trzy szósta. Proszę czekać i zostawić otwarte drzwi. Czy to jasne?

- Oczywiście.

Lane Redbirt niecierpliwił się. Obrócił się na czarnym, skórzanym fotelu biurowym i spojrzał na zegar ścienny. Piąta dwadzieścia. No cóż, zasłużył na siedemnaście minutową audiencję przed obliczem niewidzialnego głosu, którego sporadyczne telefony na przestrzeni dwóch ostatnich lat odmieniły jego życie. Morgan Jones zaprowadzi porządek? Proszę bardzo, Lane Redbirt jest gotów działać dalej. Ale już niejako chłopiec na posyłki, drobny dystrybutor. O nie, łaskawco. Dostyc zarywania nocy i potajemnych kontaktów z ciemnymi typami śmierdzącymi czosnkiem. Może pan Morgan Jones nie zdaje sobie z tego sprawy, ale dziś straci kartę atutową: ujawni swoją twarz. Jeśli chce, żebym nadal sprzedawał jego gówniany towar, to na moich warunkach, pomyślał Redbirt.

O piątej dwadzieścia dwie nie mógł dłużej zwlekać. Ostatnią działkę brał o trzeciej. Już prawie z niego wyparowała. Wygrzebał z szafki na akta małą plastikową torebkę. Na razie jedna linijka. Tylko tyle, żeby znów się dobrze poczuć, panie Jones. A potem, z wygłodniałą Virginia zaspokoi się na dobre.

- Jest tu ktoś? - zawołał głos w recepcji.

Redbirt aż podskoczył. Zerknął na zegar: piąta dwadzieścia trzy. To nie może być Jones. Jeśli facet zapowiada, że wpadnie na siedemnaście minut, to przychodzi o czasie. Redbirt szybko wyszedł z gabinetu.

- Dzięki Bogu, że wreszcie kogoś znalazłem. Krążę po całym budynku 1 szukam prawnika, który przypadkiem jeszcze nie poszedł do domu. Mężczyzna miał idealnie skrojony garnitur i elegancką brązową teczkę. Redbirt natychmiast go rozpoznał.
 - Pan Bermudez! Witam. Jestem Lane Redbirt.
 - Bardzo się cieszę, że pana poznałem, panie Redbirt. Przepraszam, że tak fu wtargnąłem, ale pilnie potrzebuję opinii prawnika.
 - Przykro mi, panie Bermudez, właśnie wychodziłem. Jeśliby można z tym poczekać do poniedziałku, to...
 - Niestety nie, w tym cały problem. Za kilka minut spodziewam się gości u siebie na górze. Mamy podpisać umowę, a nie rozumiem jednego zdania. Nasz radca prawny obiecał to wyjaśnić, a tymczasem wybrał się na golfa. Zapamięta tę grę do końca życia, może pan być pewien.
 - Przepraszam, ale naprawdę muszę...
 - Bardzo pana proszę. Zabiorę panu tylko chwilę. Co pan powie na trzysta dolarów za trzy minuty pracy? Płacę gotówką.
- Redbirt zerknął na zegarek: piąta dwadzieścia cztery.
- Pod warunkiem, że to rzeczywiście będą trzy minuty. Proszę wejść.
 - Ryzykowne, ale opłacalne, pomyślał Redbirt. Biura bankowego imperium 108

Jose Bermudeza zajmowały całe dwudzieste piętro. Wielu ludzi uważało, że ten człowiek to przyszły burmistrz Miami. Lane Redbirt nagle zobaczył się na stanowisku prokuratora miejskiego.

Bermudez usiadł naprzeciw jego biurka i położył teczkę na kolanach.

- Jestem panu ogromnie wdzięczny, panie Redbirt. - Bankier wyjął plik dokumentów. - Często prowadzi pan sprawy firm?
- Prawie stale - skłamał prawnik.
- Więc to będzie dla pana dziecinna zabawa. Tu... punkt trzydziesty trzeci umowy. Czy oznacza on, że jesteśmy zabezpieczeni na każdą ewentualność?

Na zegarze była piąta dwadzieścia sześć.

Mnóstwo czasu. Redbirt przeczytał wskazany ustęp tekstu. Dokument wyglądał na typową umowę kredytową. Bermudez czekał z rękami splecionymi na teście.

- Jaśniej nie można tego sformułować, panie Bermudez. Ta klauzula zapewnia wam wszelką możliwą ochronę prawną - oświadczył Redbirt.
- Wiem.
- Skoro pan wie, to dlaczego pan pyta? - Nie mam żadnych pytań.
- Wybacz pan, ale nie rozumiem.
- Powiedziałem, że przyjdę o piątej czterdzieści. Jestem wcześniej.
- To pan?!

Jose Bermudez uśmiechnął się.

- To całkiem proste. Od czasu do czasu spotykam w windzie młodego, bystrego prawnika. Przeprowadzam dyskretny wywiad. Dowiaduję się, że

brakuje mu pieniędzy. Więc dzwoni do niego Morgan Jones i proponuje udział w małym kokainowym interesie. Zbyt kusząca oferta, żeby ją odrzucić. Tak to się zaczyna. Proste. Mógłbym to załatwić z setką innych młodych, ambitnych ludzi w tym mieście.

Zaskoczenie Redbirta przerodziło się w podziw. Jose Bermudez! Ale numer! Pójdzie mu łatwiej niż przypuszczał.

- Jest pan ostatnią osobą, którą podejrzewałbym o... Bankier z satysfakcją pokiwał głową.

- Właśnie tak ma być. A teraz, niech pan posłucha. Rozwiązałem wszystkie problemy. Za kilka tygodni zacznie nadchodzić towar. Standardowa jakość, stała cena, tylko upoważnieni dealerzy.

- Jezu, opanował pan rynek!

- Zyski wystarczą na wygodne życie.

- Na Boga, ale jak? - Lane Redbirt zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób dyplomatycznie zapytać, ile przypadnie jemu. To niewyobrażalne pieniądze! Nie, nie będzie pytał. Zażąda. Ciekawe, czy Bermudez wie, jak fatalnie się odsłonił. Jest teraz na jego łasce.

109

- Podobasz mi się, Lane - stwierdził nieoczekiwanie bankier. - Chcę, żebyś został moim pełnoprawnym współnikiem.

Redbirt zaniemówił.

- Na rynku zapanuje porządek, a my nie będziemy chciwi. Przypuszczam, że zarobimy rocznie trzy miliony. Na głowę.

Redbirt tylko przełknął ślinę.

- Od dziś pracujemy razem. Pokaż mi listę twoich odbiorców. Przyjrzymy się temu wspólnie i włączę ją do ogólnego planu.

- Jest ukryta.

- Domyślam się. Wyciągnij ją.

Wciąż oszołomiony Redbirt podszedł do szafki z aktami i wygrzebał teczkę oznaczoną „DeFalco przeciw DeFalco”.

- Nie ma nic nudniej szego niż stara sprawa rozwodowa - zażartował słabo. - Odbiorcy występują jako „Lista świadków”. Są tam nazwiska, daty, ilości i tak dalej.

Osunął się na fotel. Chryste, musi wciągnąć następną linijkę. Bermudez przerzucił kartotekę.

- Wspaniała robota - pochwalił. - Nie myliłem się co do ciebie. Poczytam to sobie przez weekend. Spotkamy się w poniedziałek. Odpowiada ci ta sama pora?

- Oczywiście, panie Bermudez.

- Mów mi Jose.

Bankier wsunął do teczki akta sprawy DeFalco i umowę kredytową.

- No, czas na mnie. Jeszcze tylko jedno. Już wiesz, kim jestem. Nie wolno ci pod żadnym pozorem kontaktować się ze mną osobiście. Po prostu czekaj na telefon od Morgana Jonesa. Czy to jasne?

- Oczywiście, panie Ber... Jose. Bądź spokojny, nigdy do ciebie nie zadzwonię.

- Wiem, Lane.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Bermudez wyciągnął z teczki be-rette z tłumikiem i nacisnął spust. Pocisk trafił Redbirta między oczy.

Bankier schował broń, strzepnął z klapy marynarki niewidoczny pyłek i wstał.

W połowie drogi do drzwi uświadomił sobie, że o czymś zapomniał.

Owinął dłoń czystą, białą chusteczką i szybko przeszukał biurko Redbirta.

Magnetofon wciąż się obracał. Bermudez poczerwieniał. Zabrał taśmę i spojrzał pogardliwie na martwego prawnika. Potem przestrzelił mu oba jądra.

- Gringo de mierda - powiedział Jose Bermudez, przyszły burmistrz. Zegar wskazywał piątą czterdzieści.

Tego samego wieczoru Bermudez wśliznął się do ciemnej fabryczki cygar w el barrio. I tym razem musiał wykonać dwa telefony.

110

Mężczyzna, którego Meadows nazywał w myślach Wieśniakiem, zgłosił się natychmiast.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił Bermudez. - Możecie zaczynać.

- Muy bien.

- Ale przyślę wam więcej nazwisk.

- To nie problem.

- Macie dwa tygodnie. Załatwcie to szybko i skutecznie, hermano.

- Za Mono - obiecał Wieśniak.

Stary człowiek w Bogocie nie odebrał tak szybko, ale był bardzo uprzejmy.

- Wszystko idzie dobrze - poinformował go Bermudez.

- Miło mi to słyszeć, Ignazio. Tutaj też.

- Zjemy razem kolację na moim terenie?

- Kiedy zechcesz.

- Może od dziś za dwa tygodnie?

- Z przyjemnością. Tylko nie zamawiaj nic ostrego. Żołądek mi wysiada.

Kiedy w poniedziałek rano Harry Appel zadzwonił, że ma nową interesującą ofiarę zabójstwa, kapitanowi Octavio Nelsonowi zrobiło się niedobrze. Niezły początek tygodnia.

- To coś wyjątkowego, jak na morderstwa narkotykowe. Biały, młody, zamożny - meldował Appel. - Wygląda na to, że został zastrzelony w piątek późnym popołudniem. Lepiej tu wpadnij.

- Jasna cholera... - westchnął Nelson. Na pewno architekt. I to jego wina. Zostawił tego biednego idiotę samego. Co mu odbiło, żeby wysyłać go do domu pogrzebowego? Rozpoznali faceta. Jezu, jeśli Pincus to odkryje...

Detektyw jechał do biura koronera w kiepskim nastroju. Appel zaprowadził go od razu do kostnicy. Na stole sekcyjnym leżał nagi, blady nieboszczyk.

-A niech mnie... To nie on - odetchnął Nelson.

- Spodziewałeś się kogoś innego? - zapytał Appel.

- Zgadłeś. Co to za palant?

Appel uniósł notatnik i odczytał głośno:

- Dale Lane Redbirt, prawnik. Lat trzydzieści cztery. Adres... Nelson niecierpliwie machnął ręką.
- Pytałem, kto to? Kto? Appel wzruszył ramionami.
- Ty jesteś detektywem.

111

- Harry! - pogroził mu Nelson. - Gadaj, co wiesz.
- Wspólnik w małej kancelarii adwokackiej, teraz nawet jeszcze mniejszej. Smith, Turner, Redbirt i Feldman. Zajmowali się głównie obroną w sprawach karnych. Redbirt specjalizował się w ratowaniu prostytutek i osób oskarżonych o posiadanie niewielkich ilości narkotyków. Od jednych i drugich często przyjmował wynagrodzenie w naturze, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wspólnicy twierdzą że łądował całkiem nieźle. Może nie jak Lee Bailey, ale wyciągał trzydzieści patyków rocznie. Miał żonę i dwoje dzieci, oraz sekretarkę, która pieprzy się ze wszystkim, co chodzi, a najczęściej robiła to z nim.

- Brzmi jak spełnienie amerykańskiego snu.

- Zgadza się - przyznał Appel. - Z wyjątkiem nowego porsche, dwunastometrowego bertrama i domu w Vail. Aha... mam jeszcze coś. - Patolog ostrożnie otworzył małą brązową kopertę i przechylił nad dłońią. Na rękę wysunęła się ciężka, błyszcząca bransoletka. Przypominała lśniącą, żółtą żmiję. - Szczerożłota, rzecz jasna. Warta około pięciu patyków.

Nelson zamyślił się.

- Wolny strzelec? Appel wyszczerzył zęby.

- Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko koronerem.

Detektyw obejrzał zwłoki. Naliczył trzy rany: jedną na twarzy, dwie w mosznej.

- Paskudna sprawa - mruknął. - Już sobie nie podymasz, przyjacielu.

- Zginął w swoim biurze nad rzeką. Dostał z beretty. Kubańczycy z narkotykowego interesu raczej ich nie używają. To ulubiona broń Kolumbijczyków.

- Co z żoną? - zapytał Nelson.

- Zrozpaczona.

- A wspólnicy?

- Wstrząśnięci.

- Znajomi?

- Oślupiali. Totalne niedowierzenie.

- Jakież prochy we krwi?

- Troszkę koki, ślady amfetaminy - odparł Appel. - Nic zabójczego. Wyszli z kostnicy.

- Poczęstujesz mnie kawą? - spytał detektyw. - Mam cholerny poranek.

- Kapitanie - zawołała z małego boksu szczupła ruda sekretarka. - Dzwonił pański partner. Prosi o telefon. Podobno zapomniał pan podpisać raport.

Nelson jęknął.

- Sam widzisz.

Przez kilka minut w milczeniu sączyli kawę. Appel zapisywał jakieś uwagi na protokole autopsji. Od czasu do czasu przerywał, wciskał klawisz interkomu i wydawał polecenia pracownikom.

- To nie napad rabunkowy - odezwał się w końcu.

112

- Złota bransoletka? Appel skinął głową.

- Zabraliby ją.

- Coś jeszcze?

- Nie ruszyli nic w biurze i nie wzięli gotówki.

- Ile tego było?

- Dwa patyki i trochę drobnych.

- Porachunki narkotykowe - stwierdził z przekonaniem Nelson.

- Też tak myślę - zgodził się Harry Appel.

Dwie godziny później Nelson garbił się wewnątrz budki telefonicznej w Coral Gables. Pocił się jak mysz i kończyły mu się ćwierćdolarówki.

- Oye, gusano, que tu sabes? - Hej, capitan, como estas, chico?

Kapuś mówił tak straszonym hiszpańskim, że Nelson przeszedł na angielski.

- Znasz prawnika nazwiskiem Redbirt?

- Raczej znałem. Słyszałem, że w weekend zarobił parę kul.

- Widzę, że wieści szybko się rozchodzą. Que pasa?

- Jestem w dołku, kapitanie. Poratuje mnie pan, to może pomogę.

- Pięć dych to wszystko, co mam - odparł Nelson.

- Tu mądre! - zadrwił tamten.

- Dobra, niech będzie stowa. No tengo mas.

- Bueno. - Facet tak głośno wydmuchał nos, że Nelson odsunął słuchawkę od ucha. Wyrzucił wilgotny niedopałek cygara na ruchliwą LeJeune Road.

- Pana znajomy prawnik to pierwszy z wielu - powiedział gusano. - Towar ma chwilowo zniknąć z rynku.

- Kto tak zarządził? - Los Cubanos.

- Tak? A nasi przyjaciele z Bogoty i Cartageny? Przeszli nagle na emeryturę?

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale dogadali się. Robią porządek. Koniec z kłótniami w rodzinie. Hay paz.

- Niemożliwe - mruknął Nelson.

- Tak słyszałem. Gdzie dostanę forszę?

- A co z Redbirtem?

- Miał dobre układy. Opychał dużo koki. Szedł w górę. Obskakiwał lepszych gości. Kupowali od niego, bo był... wie pan.

- Gringo? - Si, gringo.

- Forszę odbierzesz w zwykłym miejscu - obiecał Nelson.

- Cuando?

8 - Kokainowe wydmy

113

- Nada.
- Dalej działasz nad rzeką?
- Już nie, chico.

Nelson wyłączył się i pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu drobnych. Znalazł tylko trzy centy. Pincus trochę poczeka na mój telefon, pomyślał.

Wilbur Pincus przyłapał partnera na dwóch kłamstwach.

Kapitan Nelson skłamał w sprawie mercedesa, żeby kryć brata, który najwyraźniej siedzi w kokainowym interesie. Jak wysoko, Pincus nie był pewien. Ale sądząc po cenie domu, robi na tym duże pieniądze.

Pincus miał teraz problem. Octavio Nelson musi wiedzieć o bracie. Tylko ile? I od kiedy?

Drugie kłamstwo dręczyło Pincusa jeszcze bardziej, bo nie usprawiedliwiała go lojalność wobec rodziny.

Zaginiony architekt nie był niczym bratem.

Pincus ustalił, że Meadows wciąż ukrywał się w hotelu Buckingham, gdy zjawił się tam Nelson. Świadkowie widzieli, że obaj mężczyźni wyszli razem. A jednak Nelson twierdzi, że architekt zdążył uciec przed jego przyjazdem.

To bezczelne kłamstwo zdenerwowało młodego detektywa.

Meadows zniknął i Pincus obawiał się, że na dobre. Może jego ciałem karmią się już ryby w zatoce.

Młody detektyw rozmyślał o tym wszystkim, siedząc w swoim mustangu zaparkowanym na trawie pod rozłożystym, omszałym figowcem. Zmrużył oczy i popatrzył na ławkę po drugiej stronie miejskiego parku. Co kilka minut podnosił do oczu małą lornetkę, żeby lepiej widzieć twarz Roberto Nelsona, który rzucał gołębiom prażoną kukurydzę. Ludzie pokroju Bobby'ego Nelsona nie marnują czasu na takie rzeczy. Chyba że czekają na coś ważnego.

Pincusa rozproszyły przytłumione głosy za samochodem. Zerknął odruchowo w lusterko wsteczne i zaczął wolno sięgać do kabury na kostce prawej nogi, gdzie nosił mały rewolwer. Za mustangiem zobaczył dwóch młodych mężczyzn.

- Daj spokój, Johnny. Chodźmy do kibla - poprosił nieśmiało jeden.

- Zróbmy to tutaj i będzie po sprawie - odparł drugi.

Pincus wyprostował się na siedzeniu i ustawił lusterko. Tamci obejmowali się niezgrabnie pod drzewem.

- Jasna cholera! - zaklął detektyw. Mężczyźni widocznie nie zauważyli, że jest w samochodzie. Zdziwił się, że nie spróbowali włamać się do środka, żeby skorzystać z tylnego siedzenia. W pierwszej chwili chciał wysiąść i zaarrestować ich za czyny lubieżne w miejscu publicznym. Ale oczywiście

114

wybuchłaby awantura, co zwróciłoby uwagę Roberto Nelsona. Tak samo skończyłaby się próba wystraszenia ich klaksonem albo rykiem silnika. Więc Pincus nie zrobił nic. Uznał, że ważniejsza jest dyskretna obserwacja

Nelsona. Zignorował miłosne jęki i znów uniósł lornetkę.

Roberto Nelson już nie był sam; przysiadł się do niego chudy Latynos. Pincus oparł łokieć na kierownicy, żeby nie drżała mu ręka z lornetką. Towarzysz Nelsona miał długie, falujące włosy i ciemne okulary. Gestykulował żywo, a Roberto dotykał jego ramienia, jakby chciał go uspokoić.

Wreszcie obaj wstali i poszli w kierunku parkingu, na którym Pincus widział wcześniej beżowego mercedesa Nelsona. Latynos przystanął w połowie drogi. Roberto nie zatrzymał się.

- Spokojnie, Johnny! Nie tak ostro. Dostanę pęcherzy od tych cholernych korzeni.

Pincus skrzywił się, gdy przyjaciel Johnny'ego zaczął głośno sapać. Nie widział już w lusterku dwóch rzucających się spazmatycznie kochanków. Podejrzewał, że z podniecenia przesunęli się tuż za samochód.

Nelson i Latynos znów szli razem. Chudy niósł dżinsową torbę plażową, a Roberto cienką, brązową teczkę. Rozstali się obok ławki. Na pożegnanie Nelson wyszczerzył zęby i poklepał tamtego po ramieniu. Pincus opuścił lornetkę. Zobaczył wystarczająco dużo.

Gdy tylko ci dwaj zniknęli, przekręcił kluczyk w stacyjce i wcisnął pedał gazu. Silnik mustanga zawył i z rury wydechowej uniósł się obłok niebieskich spalin.

- Chryste! Uważaj, człowieku! Nie cofaj teraz! - krzyknął z ziemi Johnny.

Pincus wrzucił wsteczny i wolno puścił sprzęgło.

- Nie cofaj, idioto!

Johnny poderwał się i podskoczył do Pincusa. Jego potargany i pokryty liśćmi przyjaciel schował się za drzewem i przestraszony zapinał spodnie.

- Odbiło ci, do diabła?! - wrzasnął Johnny. - Mogłeś nas przejechać! Detektyw zdjął nogę z gazu i wrzucił luz. Potem wyciągnął zza osłony przeciwsłonecznej zafoliowaną legitymację policyjną. Johnny pochylił się i odczytał nazwisko.

- Nie powinniście tego robić w parku, chłopcy - pouczył Pincus.

- Panie władzo, nie wiedzieliśmy, że ktoś tu jest. Przysięgam.

- A gdyby w tym samochodzie siedziała drużyna harcerek? - zapytał surowo Pincus. - Albo gdybym był twoją matką? Przychodzę do parku nakarmić gołębice i co widzę? Mój syn przelatuje kolegę pod figowcem.

- Jezu! - mruknął Johnny. - Ma pan rację. Pincus schował legitymację za osłonę.

- Wiecie, jakie wydawaliście dźwięki? Te wszystkie posapywania, jęki, pomruki... Jak ma mi smakować lunch, do cholery, kiedy za mną dzieje się to całe gówno? Żebym was tu więcej nie widział.

115

Johnny cofnął się.

- Tak jest, panie władzo. Już znikamy.

- Dobry pomysł - pochwalił chłodno Pincus. - Znajdźcie sobie inne miejsce do miłości. Wrócę tu jutro z harcerkami.

- Tak jest, proszę pana.

Pieniądze były dużym problemem. Christopher Meadows podejrzewał, że Octavio Nelson lub kubańscy zabójcy obserwują bank i śledzą operacje na jego koncie czekowym. Wolał nie ryzykować. Tego dnia, kiedy postanowił zejść do podziemia, odwiedził cztery małe centra handlowe i w każdym pobrał po sto dolarów z bankomatu na parkingu. Wytropienie tego zajęłoby Nelsonowi tygodnie i dotarłby najwyżej do miejsca oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów od apartamentu Ter-ry. Meadows nigdy nie korzystał dwa razy z tego samego bankomatu.

Oceniał swoje zasoby na około dziewiętnaście tysięcy dolarów ulokowanych na dwóch kontach oszczędnościowych i jednym czekowym. Przypuszczał, że wystarczyłoby mu to na rok, o ile nie wydałby nic na kokainę. A tymczasem zamierzał kupić jej tyle, ile zdoła.

W Fort Lauderdale utworzył nowe konto czekowe na nazwisko Christopher Warren Carson i zaczął gromadzić fundusze. Jako dokumentu tożsamości używał prawa jazdy wystawionego na Florydzie na to samo nazwisko. Uzyskanie go kosztowało Meadowsa pięć minut czasu i dwadzieścia dolarów. Wręczył je dyskretnie urzędniczce w wydziale komunikacji i powiedział, że zgubił oryginał podczas nurkowania.

Z mieszkania Terry przeniósł się do hotelu w Fort Lauderdale położonego pięć przecznic od plaży. W tej odległości od Nelsona i narkotykowych szaleńców z Miami czuł się względnie bezpieczny. Miał również nadzieję, że nie spotka tu nikogo znajomego. Musiał nawiązać odpowiednie kontakty i potrzebował swobody.

Pierwsze wieczorne wyjście do miasta omal nie zakończyło się katastrofą. Wybrał dyskotekę „U Tony'ego”. Wstęp kosztował pięć dolarów i bywało tu kokainowe towarzystwo. Meadows siedział samotnie przy barze, patrzył na tłum młodych ludzi i słuchał hałaśliwej muzyki. Po godzinie zdał sobie sprawę, że rzuca się w oczy niczym antropolog w Amazonii.

Spróbował się rozluźnić i w końcu zaczął rozmowę z facetem o imieniu Guy, który przyszedł z dwiema dziewczynami. Po kilku mocnych drinkach obie wydały się Meadowsowi bardzo atrakcyjne, choć jedna ciągle strzelała

z balonowej gumy do żucia. Architekt zaczął wkrótce opowiadać tak zabawne historie, że cała trójka pokładała się ze śmiechu. Dziewczyna, która okazała się modelką z magazynu dla mężczyzn, odwzajemniła się tym samym.

- Kiedyś wymyślili sesję zdjęciową w cyrku. Zaproponowali, żebym pozowała nago z karzełkami. Zrobili ich na klaunów i stanęliśmy na takim wielkim podwyższeniu. A dookoła drze się z dziesięć tysięcy ludzi. Miałam przejechać między nimi na jednokołowym rowerze. Bez ubrania, rzecz jasna. Nie mam nic przeciwko rozbieraniu się, zwłaszcza za dużą forszę. Ale nie umiem jeździć na rowerze, nawet dwukołowym. Więc wyobrażacie sobie, co się stało, jak wsiadłam na ten jednokołowy. - Meadows z powagą skinął głową. - Strasznie trudno na tym jeździć, zwłaszcza nago - ciągnęła. - A karzełki nie mogły mi

pomóc.

Meadows obawiał się, że Guy się posika.

- To jeszcze nic, Cindy. Opowiedz Chrisowi o tamtym facecie z Las Vegas.

Był jakimś ambasadorem, no nie?

Po kilku minutach zwrócił się do Meadowsa.

- Masz ochotę na kilka linijek?

- Jasne. - Architekt już sporo wypił i kręciło mu się w głowie. Poszli do toalety. Guy skierował się do jednej z kabin. Meadows stanął nad pisuarem i oparł się czołem o chłodną glazurę na ścianie, żeby nie stracić równowagi.

- Hej, co z tobą? - zniecierpliwiał się Guy. - Pospiesz się. Meadows opryskał twarz zimną wodą. Guy wciągnął go do kabiny i zamknął drzwi.

- Siadaj, siadaj - szepnął podniecony. Meadows klapnął na sedes. Guy wyjął coś z kieszeni i uniósł do góry. - Dobry towar, bracie - stwierdził z miną znawcy.

Trzymał w palcach kwadracik wielkości znaczka pocztowego. Meadows rozpoznał starannie złożony banknot jednodolarowy. Wewnątrz paczuszki była maleńka kupka białego proszku. Guy wysypał go na prostokątne lustro. Potem wyciągnął zza koszuli złotą żyłkę na łańcuszku. Podzielił kokainę na ścieżki o długości około dwóch centymetrów.

- To prawdziwe złoto? - zainteresował się Meadows.

- Dwadzieścia cztery karaty. Potrzyмай to... - Guy wręczył mu lustro. - Masz stówę w jednym papierku?

Meadows zaprzeczył. Guy pogrzebał w kieszeni i znalazł dwudziestodolarówkę. Zwinął ją zręcznie w sztywną, zieloną rurkę.

- Zaczynaj.

Meadows poczuł zdenerwowanie.

- Ty pierwszy.

Guy był spragniony narkotyku. Przyłożył prowizoryczną słomkę do lusterka, pochylił się i umieścił drugi koniec w prawym nozdrzu. Wdychając równo, przesunął dwudziestodolarówką po lusterku, dopóki jedna linijka

117

proszku nie zniknęła. Potem przycisnął palcem skrzydełko nosa, odrzucił głowę do tyłu i głęboko wciągnął powietrze. Powtórzył to samo z drugą linijką.

- Twoja kolej - powiedział do Meadowsa.

Meadows pocił się. Koszula lepiała mu się do ciała. Bez słowa poszedł w ślady Guya, ale zakrztusił się w połowie pierwszej linijki.

- Nie marnuj tego, człowieku - zirytował się Guy. Meadows skinął głową i wciągnął resztę. Drugą działkę zaproponował nowemu znajomemu, lecz tamten odmówił. Ktoś wszedł do toalety i Guy przytknął palec do ust.

Meadows drżał. Wyobraził sobie gliniarza, który schyla się i zagląda do kabin. Widzi dwie pary nóg i kopniakiem wywala drzwi...

Usłyszał, że obcy oddaje mocz i odprężył się. Szybko uniósł lustro do nosa i wciągnął przez zwinięty banknot drugą linijkę. Nie zrobił tego z wprawą. Guy zabrał mu lustro i wchłonął ostatnie kryształki. Kiedy mężczyzna wyszedł,

zarządził odwrót.

- Chodźmy. Dam trochę dziewczynom, bo się wkurzą. Jakie wrażenia? Meadows nie miał żadnych, ale odrzekł, że wspaniałe. Wrócili do baru.

- Nareszcie - powitała ich Cindy z udawanym zniecierpliwieniem. Guy wręczył jej kokainę w złożonym banknocie. - Dzięki - powiedziała śpiewnie i zniknęła wraz z koleżanką w damskiej toalecie.

Meadows zamówił następną whisky. Poczłł słodkawy smak spływający mu z zatok do gardła. Uśmiechnięty Guy siedział obok i kołysał się w milczeniu w takt muzyki. Po powrocie z toalety dziewczyny paplały jedna przez drugą.

Meadows nie widział w ich historyjkach nic zabawnego, a mimo to śmiał się z każdego zdania. Człł się bardzo dobrze, coraz lepiej. Cindy błyszcząły oczy. Poprosiła Meadowsa, żeby jeszcze coś opowiedział.

Przypomniał sobie przypadek pechowego kolumbijskiego kieszonkowca, który kiedyś okradł w Bogocie syna amerykańskiego ambasadora. Ledwo wyciągnął mu portfel, został złapany przez ochroniarzy, swoich rodaków. Ku przestrodze dla innych złodziei obcięli mu rękę.

Cindy przysunęła się bliżej.

- To niesamowite - wyszeptał. - Kiedy byłeś w Ameryce Południowej?

- W zeszłym roku - odparł Meadows. - Służbowo.

- Sprzedajesz w Kolumbii domy? -Nie, projektuję.

-A mówiłeś, że pracujesz w nieruchomościach. Meadows miał na nią ochotę. Nie mógł się powstrzymać.

- Skłamałem. Jestem architektem. Roześmiała się i pociągnęła go za rękaw.

- Daj spokój. Po co miałbyś kłamać?

- Bo chcą mnie zabić.

- Nie wygłupiaj się.

118

Guy tańczył na parkiecie z drugą dziewczyną. Meadows objął Cindy i przyciągnął do siebie.

- Gdzie mieszkasz?

- Mam pokój w Deauville.

- Więc chodźmy.

- A Guy? Nie mogę.

- Jest dla mnie za krótki - odrzekł Meadows i pocałował Cindy w policzek. Jej perfumy pachniały cudownie. Już dawno tak nie pragnął kobiety. -Chodźmy do ciebie. Chcę się z tobą kochać. Znam jeszcze dużo ciekawych historii. Nie uwierzysz, co mi się przydarzyło.

Poklepała jego dłoń jak dobra ciotka.

- Jesteś słodki, ale naprawdę nie mogę. Nagle zjawił się Guy ze swoją towarzyszką.

- Jutro wielki dzień, dziewczyno. Czas do domu - oznajmił. Wyciągnął rękę do architekta. - Miło było cię poznać, Chris. Wracamy porannym samolotem do Waszyngtonu, więc muszę położyć moje laseczki spać.

Oszołomiony i niezaspokojony Meadows został sam. To na pewno narkotyki,

pomyślał. Pojechał do swojego motelu. Przez dwie godziny spacerował po pokoju i szkicował. W końcu zapadł w głęboki sen. Następnego dnia walczył z depresją i analizował poprzedni wieczór. Przestraszył się własnej reakcji na kokę. Niesamowite wrażenie. Przez kilka minut był autentycznie zakochany w tej zwariowanej modelce. Fascynująca przygoda. I cholernie niebezpieczna. Szybko zdał sobie sprawę, że nie tędy droga. Jeśli ktoś nie wprowadzi go w środowisko, nie osiągnie celu. Samodzielne działania będą się kończyły jedynie katarem i może czasem bliższą znajomością z jakąś chętną kobietą. Wykonanie telefonu nie przyszło mu łatwo, ale odetchnął z ulgą, gdy wieczorem do baru wkroczył wielki mężczyzna. Arthur Prim uśmiechnął się szeroko na widok przyjaciela. Złapał Meadowsa za ramiona i serdecznie uściskał.

- Gdzie się podziewałeś, człowieku? - zapytał Meadows. - Hej, tanqu-eray dla tego pana - zawołał do barmanki. - Zgadza się?

Arthur przytaknął.

- Długo się tu jedzie, Chris. Co z tobą? Znudziło ci się nasze piękne Miami? - Był w dżinsach, sandałach i żółtej koszulce, w której ledwo się mieścił. - Trochę zarosłeś - dodał.

Meadows wzruszył ramionami. Wszystko już opowiedział przez telefon.

Arthur znał sytuację i obiecał pomóc.

- Nadal jesteś zdecydowany?

- Wiem, że to ryzykowne, ale nie widzę innego sposobu - odrzekł Meadows.

- Nie ma sprawy. Nie zapominaj, że strategię opracuje ci człowiek, od którego regularnie dostajesz w tyłek przy szachownicy.

- Nie mogę się z tym pogodzić - roześmiał się Meadows.

119

Arthur spoważniał i pociągnął solidny łyk dżinu. - Jest inne wyjście. - Jakie? Gliny?

- Nie o to mi chodzi. - Arthur skrzywił się, gdy saksofonista wziął wysoki ton. - Mam kilku kumpli...

- Właśnie na to liczę, bracie. Arthur potrząsnął głową.

- Nie mówię o skontaktowaniu cię z nimi. - Zniżył głos. - Gdybyś mi zdradził, kto zrobił to całe gówno tobie i twojej pani, szepnąłbym słówko komu trzeba. Chwytasz, o co biega?

Meadows pokręcił głową.

- Nie mógłbym z tym żyć.

- Co ty powiesz? - zadrwił ponuro Arthur. - Wy, biały, dziwnie podchodzicie do niektórych spraw.

- Daj spokój. Arthur dopił dżin.

- Wkurza mnie ta muzyka. Na końcu baru siedzi niezła blondyna. Przyszła z tym małym kubańskim twardzielem obok, ale teraz chyba patrzy na nas. Ma na imię Patti. Postaw jej drinka. Jeśli będzie chciała poznać cię z Kubańczykiem, wejdź w to. /

Wstał i pogrzebał w kieszeni dżinsów.

- Ja płacę - zaprotestował Meadows. - Wypiję za twoje, jak się to wszystko skończy. Mam jeszcze jedną prośbę: mógłbyś wynająć jakieś dzieciaki do posprzątania mojego domu? Zrobili mi tam kompletny bajzel.

Uścisnęli sobie ręce. Dłoń Meadowsa niemal utonęła w wielkiej łapie Arthura. Olbrzym nie rozluźniał chwytu przez kilka sekund.

- Dzwon do mnie, żebyś wiedział, co jest grane. Nie chcę przeczytać o tobie w jakiejś cholerniej gazecie.

Po wyjściu przyjaciela Meadows spojrzał na dziewczynę i jej towarzysza. Ciemny mężczyzna był przystojny i krępy. Wysoka blondynka miała włosy do ramion i weekendową opaleniznę. Meadows uśmiechnął się z uznaniem. Zdziwił się, gdy odwzajemniła uśmiech. Wrócił do swojego drinka i zaczął się zastanawiać, co dalej robić.

- Jeszcze raz to samo? - wyrwała go z zamyślenia barmanka. Na jej plakietce widniało imię Barb.

- Tak, poproszę - odrzekł Meadows. - I coś dla tamtej pani. - Obserwował, jak Barb podchodzi do dziewczyny. Blondynka pokręciła głową. Meadows wstrzymał oddech. Barmanka odwróciła się do niego i wzruszyła ramionami. Meadows poczuł się jak nastolatek, który dostał kosza. Obrócił się na wysokim stołku i udał, że interesuje go kapela. Nagle dziewczyna usiadła obok niego.

- Bez obrazy - zagadnęła. - Po prostu w tej chwili nie mam ochoty na drinka.
120

- W porządku - odparł Meadows. Oceniał jej wiek na trzydzieści cztery, może trzydzieści pięć lat. Z bliska zauważył, że ma jedwabiste włosy i zielononiebieskie oczy.

- Mam na imię Patti.

- A ja Christopher. - Meadows zerknął nad jej ramieniem. - Gdzie twój chłopak?

Wybuchnęła śmiechem.

- Manny? To mąż przyjaciółki. Jest na parkiecie. Zatańczysz ze mną?

- Obawiam się, że byłabyś rozczarowana. Na pewno nie chcesz się czegoś napić?

- Woda mineralna wystarczy. Weź mi perriera. Skąd jesteś?

Meadows znów przedstawił się jako pośrednik w handlu nieruchomościami z Atlanty. Patti powiedziała, że pochodzi z Pompano Beach i zapytała, czy jest żonaty. Zdecydowanie zaprzeczył.

- Ja jestem w separacji - zdradziła. - Mój mąż Lany to prawnik. Teraz siedzi w więzieniu, ale nie dlatego się rozstaliśmy. Odeszłabym od niego nawet, gdyby go nie złapali. Nie zgadzaliśmy się ze sobą.

- Przykro mi.

- Nie chcesz wiedzieć, za co go wsadzili?

- Za co?

- Za handel narkotykami.

- Trawką?

- Głównie, ale nie tylko. Koką i trankwilizatorami też. Żyliśmy na niezłym poziomie. Duży dom nad Intracoastal, dwie corvetty... Szkoda, że ten zasraniec był taki chciwy.

Meadows odniósł wrażenie, że Patti nie rozpacza specjalnie po Larrym.

- Wiesz, jaki numer wykręcił? - ciągnęła. - Którejś nocy wypłynęli we czterech z Hillsborough na dużym bertramie. „Margie Doli”, czy „Maggie Doli”... Coś w tym rodzaju. Przy tankowaniu facet w porcie zapytał, dokąd się wybierają. A ten dupek Lany powiedział, że na mieczniki. Tamten nie był idiotą, więc wspomniał o tym koledze z patrolu morskiego. A ten oficer od razu się połapał, że coś tu nie gra. Nikt przy zdrowych zmysłach nie łowi w styczniu mieczników w tamtym rejonie. To nie sezon. Więc oficer z patrolu dał znać znajomemu celnikowi. Krótko mówiąc, kiedy „Maggie Doli” wróciła o czwartej rano, w porcie czekało ośmiu agentów z narkotykowego. A w łodzi ponad dwie tony kolumbijskiego zielska. Dlatego Lany odsiaduje teraz dwa lata w Lowell. Wścieka się, że go nie odwiedzam, ale już postanowiłam: z nami koniec. Chyba skreślą go z listy adwokatów.

- Prawdopodobnie - przyznał Meadows. Patti zapaliła papierosa i rozejrzała się.

- Ciekawe, gdzie zniknął Manny. - W tym momencie Meadows dostrzegł go przy stoliku z dwiema kobietami. Patti też go zauważyła.

121

Meadows wrócił do tematu narkotyków.

- Nie przeszkadzało ci, że twój mąż przemyca towar?

Patti podniosła na niego wzrok znad szklanki z wodą mineralną.

- Jezus, przecież to nie była heroina ani nic takiego! Sprzedawał to lekarzom, księgowym, swoim kolegom prawnikom. Rok przed wpadką zarobił oficjalnie tylko dwadzieścia trzy tysiące. A z handlu trawką miał sto trzydzieści pięć. Przeniosłam się z pyzatego mieszkanka z dwoma sypialniami w Pom-pano do domu z siedmioma sypialniami nad Intercoastal. Więc co mi miało przeszkadzać? Że facet potrafi robić forszę? Nie udawaj, że sam czasem nie bierzesz koki.

- O ile mnie stać - odrzekł Meadows. Uśmiechnęła się.

- A co byś powiedział na darmową? Meadows wzruszył ramionami.

- Super.

Moja matka dostałaby zawału, pomyślał. ATerry... Lepiej nie mówić.

- Mam trochę w domu. Jeśli chcesz... - Patti popatrzyła na niego wyczekująco.

- A Manny?

- Jest zajęty nowymi przyjaciółkami - stwierdziła sardonicznie. - Chodź, zabawimy się.

Meadows zapłacił rachunek. Pojechali do Patti jej czarnym firebirdem, który pamiętał lepsze czasy. Ładny dom w piaskowym kolorze był skąpany w blasku lamp. Meadows szybko ocenił go fachowym okiem: jedna kondygnacja, styl śródziemnomorski, silne akcenty z tropikalnego, ciemnego

drewna. Cena: dwieście tysięcy dolarów.

- Pięknie tutaj - powiedział po wejściu do środka.

- Później cię oprowadzę - odparła ochryple. Zabrała go do łazienki z alabastrową glazurą i puszystą ciemnoczerwoną wykładziną na podłodze. Proszek trzymała w plastikowej ręczce męskiej maszynki do golenia. Podała go Meadowsowi na złotej łyżeczce. Tym razem nie wahał się i nie był pijany. Koka podziałała natychmiast.

Poszli do sypialni. Patti rozsunęła zasłony. Za oknem rozciągał się wspaniały widok na drogę wodną Intracoastal. Gładka powierzchnia kanału lśniła pod czystym tropiklanym niebem. W oddali, na zakręcie szlaku, migotało czerwone światełko kierunkowe.

Meadows przyglądał się przez chwilę nocnej panoramie. Czuł się pobudzony i podekscytowany. Waliło mu serce. Skoncentrował się niczym szlifierz diamentów; dziś nie może być żadnych wyznań.

- Dobry towar - pochwalił skrzepowany. Ale uważał, że tak wypada. Patti usiadła na łóżku.

- Najlepszy. Robi się późno, Chris. Rozbierz się.

122

19

Patti wstała wcześnie. Meadows leżał z zamkniętymi oczami. Słyszał jej kroki, gdy szła z łazienki do kuchni. Poczł zapach kawy. Żołądek skręcał mu się, ale został w łóżku.

Przez chwilę myślał o swojej sytuacji. Tęsknił za Terry. Żałował zerwania umowy z Ministerstwem Ropy Ekwadoru. Modlił się, żeby rodzice i przyjaciele nie zaczęli szukać jego zwłok z pomocą Gwardii Narodowej. W biurze zostawił wiadomość, że sprawy zawodowe zmuszają go do kilkutygodniowego wyjazdu z miasta. Wymyślił kongres architektów, zaległe zobowiązania i tak dalej. Zadepeszował do przyjaciół rodziców w Nowym Jorku, żeby uspokoiili jego bliskich, że jest cały i zdrowy.

Przetarł piekące oczy i spojrzał na sufit sypialni. Stracił rozum, do cholery? Przecież to Disneyland. Nic z tego nie wyjdzie. Nawet gdyby przygwoździł Bermudeza i zrobił to, co zaplanował, kto potem uwierzy w jego historię? Kto go zrozumie?

- Cześć - przywitała go Patti. Meadows oparł się na łokciu.

- Cześć. Dawno wstałaś?

- Nie. Chciałam cię obudzić, zanim zaczną się wyścigi. Meadows z powrotem opadł na poduszkę.

- Jałcie wyścigi?

- Łodzi motorowych. Każdy chłopak w Fort Lauderdale dostaje łódź na urodziny i wszyscy muszą się popisywać akurat przed moim domem.

Strasznie hałasują. - Patti usiadła na łóżku i położyła mu dłonie na piersi. - Dobrze ci było w nocy?

- Cudownie - odrzekł Meadows. Po raz pierwszy od tygodni powiedział prawdę

- Super towar, no nie?

- Hm... - mruknął i znów zakopał się w pościel. - Skąd go wzięłaś?

- Od Manny'ego. Chodźmy na śniadanie.

Zjedli omlety na małym, zacienionym patio. Znad Intracoastal wiała lekka bryza. Dwie wspaniałe rybackie hattery przepłynęły z hukiem po kanale i fale ich kilwaterów rozbiły się o betonowe nabrzeże. Opaleni młodzi ludzie w kokpitach przygotowywali wędkę i przynętę na delfiny. Meadows pomyślał, że przy wietrze od lądu Prąd Zatokowy jest dziś pewnie spokojny jak jezioro.

- Piękny dom - powiedział.

- Lany twierdził, że praktyczny. Siedem sypialni na dwie osoby! - Patti pociągnęła łyk gorącej herbaty z Jamajki. - Ale owszem, podoba mi się tutaj. Widzisz przystań? - Wskazała basen portowy równoległy do falochronu. -

123

Mieści się tam dziesięciometrowiec i jeszcze są miejsca dla donzi. Było nam to potrzebne.

- Mieliście łodzie?

- Tak, różne. Tamta alejka z portu prowadzi prosto do garażu na trzy samochody. Ale nigdy ich tam nie trzymaliśmy. Rozumiesz, dlaczego? Meadows przytaknął.

- Zielsko?

- Pięciu ton towaru raczej nie da się upchnąć w schowku pod deską rozdzielczą. - Patti położyła nogę na kolanach Meadowsa. Miała gładką, opaloną skórę. Była w męskiej koszuli z długimi rękawami i jedwabnych majteczkach. Ilekroć odwracała głowę w kierunku wody, w jej jasnych włosach odbijał się blask słońca.

- Więc teraz, kiedy Larry'ego nie ma, to wszystko jest twoje?

- Na razie. Dopóki urząd skarbowy nie znajdzie sposobu, żeby położyć na tym łapę. Są bardzo ciekawi, skąd prawnik o takich zarobkach wziął na to forszę. Co dwa tygodnie wzywają mnie na przesłuchania.

-1 co im mówisz?

- Odgrywam głupią żonkę. Mąż nigdy mi nie opowiadał o swojej pracy. Dom dostałam w prezencie na rocznicę ślubu. Myślałam, że Lany ma takie wysokie honoraria. Nawet nie wiem, ile zapłacił. Bla, bla, bla... - Patti wstała i przeciągnęła się. - Oczywiście nie wierzą ani jednemu mojemu słowu.

- Nie masz adwokata?

- Jak będzie mi potrzebny, to sobie wynajmę. -A prawnik Larry'ego?

- Redbirt? Dziękuję bardzo. Nigdy nie wzięłabym tego dupka. Żeby się na mnie obłowił? To jest doskonały interes, Chris.

- Wiem.

Patti roześmiała się i usiadła mu na kolanach.

- Arthur wspominał, że chcesz tu zacząć.

- Tak. Problem w tym, że nikogo nie znam.

- Jeszcze nie - odrzekła enigmatycznie. - Interesuje cię trawka czy koka?

- Kokaina.

- O mało mnie nie nabrałeś - zaczęła go drażnić. - W nocy, jak dałam ci działkę, myślałam, że zakichasz całą łazienkę.
Meadows zachichotał i pocałował ją w policzek. Przyjrzała mu się uważniej.
- Nie wiem, czy mogę ci ufać. Może jesteś gliną? - Cmoknęła go w nos.
- Choć z twoją budową to wątpliwe; skóra i kości.
Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Meadows złapał ją wpół.
- Przestań, bo coś rozleję - zaprotestowała. Ale nie ustąpił. Zaciągnął Patti do sypialni i pośpiesznie rozpiął jej koszulę.
- Niech to cholera - mruknęła, gdy gwałtownie całował jej piersi.
124

- Coś nie tak?
- Posłuchaj...
- Jakaś łódź - stwierdził Meadows. - I co z tego?
- Przybija do brzegu. Lepiej się ubierzmy. Szybko. To pewnie Manny.
Meadows poczuł się głupio. Usiedli w czwórce w salonie: on, Patti, Manny oraz jego kolega, który przedstawił się jako Maurice.
- Mów do niego Moe - powiedział Manny. - Wszyscy go tak nazywają.
Krępy Kubańczyk nie wyglądał z bliska tak muskularnie, jak poprzedniego wieczoru w lokalu. Moe pochodził z Missisipi i był jego przeciwieństwem: mierzył dwa metry i przypominał kij od szczotki, obciążony jasną zaczerwienioną od słońca skórą. Goście wygrzebali z lodówki Patti kilka puszek micheloba i usadowili się wygodnie. Manny klapnął na kanarkowy fotel, Moe na miękką beżową kanapę.
- W nocy musiałaś się dobrze bawić, Patti - zagadnął Manny. - Nie widziałem, kiedy wyszłaś.
- A ty trafiłeś do domu? - odcięła się. - Jezu, Manny. Przecież Susan na pewno odchodzi od zmysłów. Zadzwoń do niej.
- Nie trzeba, wszystko w porządku. Spotkałem jedną z tych cheerleade-rek, wicie... Jak one się teraz nazywają, do cholery?
- „Dolphin Dolls” - odpowiedział Moe.
- Zgadza się. Załatwi mi wejściówkę na pokazowy mecz Jetsów. Mówiłeś, że jak się nazywasz?
- Christopher Carson - odparł Meadows.
- W czym robisz?
- W nieruchomościach. A ty?
Manny wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.
- Jest biznesmenem - wyjaśniła ostrożnie Patti. - Moe to jego wspólnik.
- Jakie interesy prowadzisz? - zapytał Meadows.
- Import-eksport.
Moe wybuchnął śmiechem i Manny mu zawtórował. Meadows zorientował się, że są naćpani. Kubańczyk był bez koszuli. Przesunął wokół szyi złoty łańcuszek. Na jego ciemnej, spoconej piersi błysnął krzyżyk. Dopił micheloba i zgniół puszkę.
- Jak ci idzie w nieruchomościach? Sprzedajesz jakieś domy?

- Siedzę w tym dopiero od dwóch miesięcy.
- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Meadows wzruszył ramionami.
- Sprzedałem jeden. W Homestead. A dokładniej na nowym osiedlu Valencia Gardens. - Kolonia mieszkalna istniała naprawdę. Zaprojektował ją dawny kolega szkolny Meadowsa.

125

- Jeden dom przez dwa miesiące? Cholernie kiepsko się starasz, kolego.
- Spokojnie, Manny - wtrąciła się Patti. Meadows powstrzymał ją gestem.
- Ma rację. Nie bardzo mi to wychodzi. Dlatego rozglądam się za czymś innym.

Patti spojrzała na Manny'ego.

- Chris jest w porządku. Opowiedziałam mu o Larrym i tak dalej.
- Cholernie mądrze - parsknął.
- Jest w porządku - powtórzyła. Manny wzruszył ramionami.
- Niech będzie.
- Idę powygryzewać się na słońcu - mruknął Moe. Wstał i wyszedł z domu. Meadows obserwował, jak maszeruje do przystani, zdejmując koszulę i układa się na dziobie czerwonego magnum Manny'ego.

Kubańczyk popatrzył na Meadowsa.

- Dużo masz szmalu?
- Przestańcie - wtrąciła się znów Patti. - Manny, zabieraj Moe i zjeżdżajcie stąd. Idziemy z Chrisem popływać.

Meadows położył jej dłoń na ramieniu.

- Pozwól mi porozmawiać.
- Manny, zadzwoń przynajmniej do Susan, żeby się nie martwiła.
- Później, Pat. Chcę się dowiedzieć, skąd twój nowy chłopak wziął się na Florydzie.

- W Atlancie zrobiło się trochę gorąco - odparł szybko Meadows. - Kilku kumpli wpadło. Musiałem pryskać.

- Gorąco, mówisz? - Manny wskazał Moe. - Weźmy jego. Chłopak odsiedział dwa lata w Eglin. Federalni dorwali go na krewetkowcu niedaleko Mobile. Łajba była po brzegi załadowana trawką. Chcieli, żeby sypał. Powiedział im, żeby spadali. On nie pęka, to cwaniak. Obiecali, że go puszczą, jak się zgodzi. On nic. To dupek z DEA posadził go przed sobą i mówi, że zażądają dla niego piętnastu lat. Za udział w spisku przestępczym oraz posiadanie narkotyków i broni palnej. To Moe mu na to, żeby się odchrząnił. I wylądował na dwa lata w Eglin. Cały czas grał w siatkówkę. Nie było tak źle.

Manny sięgnął do kieszeni džinsów i wydobył szklany, brązowy pojemniczek. Odkręcił pokrywkę i zanurzył w nim maleńką łyżeczkę.

- Strzelisz sobie? Meadows odmówił.
- Wiesz, dlaczego Moe nie chciał gadać z federalnymi? A może sam powinien ci powiedzieć?
- Manny, zostaw Chrisa w spokoju - zirytowała się Patti. - Wątpię, by to go obchodziło.

-Tak? A ja podejrzewam, że naszego faceta od nieruchomości bardzo ciekawią takie rzeczy. Mam rację?

Meadows stęzał. Przez moment myślał, że Kubańczyk skoczy na niego i złamie mu kark jak zapałkę. Widział, że Manny czeka na odpowiedź. Zdał sobie sprawę, że nie bardzo wie, jak z nim rozmawiać.

- Jak mówiłem, interes kiepsko idzie - zaczął ostrożnie. Manny zaśmiał się.

- Czasy są ciężkie. Tutaj lepiej wyszedłbyś na mieszkaniach. Schodzą 0 wiele szybciej niż domy. Masz jeszcze piwo, Patti? A ty, Chris, chcesz się dowiedzieć, dlaczego Moe nie poszedł na układ z federalnymi? Patti już to słyszała.

- Million razy - rzuciła przez ramię w drodze do kuchni.

- To historia Joey'a Denta.

Meadows skinął głową. Czuł się tak, jakby stał pod gorącym prysznicem 1 czekał, aż Manny i jego kolega się opłuczają.

- Joey Dent był naszym kumplem. Patti go znała. Dobrze mu szło: eks-port-import i import-eksport. Bardzo uważał i nigdy nie przesadzał. Ale raz zrobił głupią rzecz. Wybrał się osobiście po towar. Poleciał samolotem. Jego DC-6 siada w Opa-Locka, nagle przednie podwozie trzaska jak gałąź i maszyna zsuwa się z pasa. Zjeżdża się dwanaście wozów strażackich. Pilot nie żyje, Joey ma połamane nogi. Wyciągają go z kabiny i wpadka. Na pokładzie trawka i trankwilizatory za dwa miliony dolców. Czwarta rano, Joey jest w Par-kway General, przychodzi dwóch z DEA. Mówią mu: „Możesz zapomnieć 0 żonie, dzieciakach, domu, kochance... Jakbyś wszystko wrzucił do kibla 1 spuścił wodę. Pomóż nam, to wyfruniesz stąd wolny jak ptak. Wyślemy cię do Montany pod zmienionym nazwiskiem. Dostaniesz małe ranczo w dolinie. To ładne miejsce, Joey. A jaknie pomożesz, posiedzisz siedem lat w Atlancie. Zanim wrócisz, twoja stara dawno da nogę z facetem od naprawy telewizorów. Dzieciaki cię nie poznają”. - Manny przerwał na chwilę opowieść. - Jasna cholera... Spróbuj otworzyć to gównno. Mam mokre ręce. - Rzucił przez pokój butelkę zimnego miller'sa. Meadows chwycił ją zanim zdążyła upaść. Owinął kapsel rogiem szlafroka, który miał na sobie i przekręcił. Oddał piwo Manny'emu. Kubańczyk wypił połowę czterema łykami. - Wyobraź sobie teraz, że jesteś Joey Dent - ciągnął dalej. - Ledwo wyszedłeś z katastrofy lotniczej. Leżysz połamany w szpitalu. A dwa dupki z DEA mówią ci, że twoje życie się skończyło.

- Zaczął śpiewać - westchnęła Patti.

- Zgadza się. Sypnął dwóch gości, dla których pracował. Zapuszkowali ich.

Nie na długo, ale swoje odsiedzieli. A Joey nigdy nie dotarł do Montany.

Federalni dali mu nowe nazwisko, Jack Jakiśtam, a potem przewieźli raptem z Miami do Tamy i załatwili robotę na poczcie. Mieli gest, no nie? Pewnego dnia Joey nie wrócił po pracy do domu. Znaleźli go w kanale w Port Charlotte.

Przed śmiercią ktoś obciął mu język sekatorem. Potem dostał kulę w głowę. - Manny dopił miller'sa. - Teraz rozumiesz, dlaczego Moe wolał iść do Eglin. - Wszędzie tak jest - rzucił niedbale Meadows. Na szczęście nasłuchiwał się o tym od Nelsona.

- Nie miałem zamiaru cię straszyć - zapewnił Manny. - Akurat! - wycedziła Patti.

- Chciałem tylko, żebyś wiedział, dlaczego Moe jest taki... ostrożny. Ufa niewielu ludziom. Ma na mnie dobry wpływ. Nieraz uratował mi tyłek.

- Nie uratuje ci go przed Susan, jeśli do niej nie zadzwonisz - przypomniała Patti. Nagle zadzwieczał telefon. Poderwała się, żeby odebrać. - To pewnie ona. Co mam jej powiedzieć?

- Że mnie nie widziałaś.

Kiedy Patti wybiegła z pokoju, Manny pochylił się w stronę Meadowsa.

- Co robisz dziś wieczorem? - szepnął. - Nic.

- Chcesz zarobić?

- Jasne. Jak?

- Ja i Moe musimy odebrać dużą partię towaru. Potrzebny nam pomocnik. Byliśmy umówieni z jednym facetem, ale prysnął. Patti mówi, że jesteś w porządku, więc możemy cię wziąć.

- Ile dostanę?

- Pięć patyków.

Meadows nie wierzył własnym uszom.

- Żartujesz?

- Ludzie, dla których pracuję podcierają się forszą - pochwalił się Manny. - Mój szef docenia tych, co ryzykują. Dziś to małe piwo; nic nam nie grozi. Więc jak? Wchodzisz w to?

- Pewnie.

- To zapamiętaj trzy zasady: nie bierz ze sobą broni, nie nabuzuj się przed robotą i nie zapomnij o sprawie Joey'a Denta. Już ją znasz. - Manny przez moment przyglądał się Meadowsowi, potem wstał. - Wpadniemy tu po ciebie o północy.

Wróciła Patti.

- Dogadaliście się?

- Jasne - odparł Manny. - Kto to był? Susie?

- Tak. Powiedziała mi, że jesteś w drodze do domu. Manny uniósł ręce i spojrzął z rozpaczą na Meadowsa.

- Nie można im ufać, Chris. Trzymają ze sobą jak zakonnice. Na razie.

- Wyszedł i po chwili rozległ się ryk silnika magnum. Meadows wyrztał przez okno, ale zobaczył tylko spieniony kilwater. Szybka łódź zniknęła już za zakrętem.

128

Poczuł, że Patti obejmuje go w pasie.

- Jedną opuścił - szepnęła.

-Co?

- Zasadę numer cztery. Nazywam ją Regułą Larry'ego Atchisona. Na cześć mojego męża.

- Jak brzmi?

- Nie bądź chciwy.

20

Widok wnętrza domu w Coconut Grove wstrząsnął Octavio Nelsonem. Rozmyślne barbarzyństwo, z jakim prześladowcy Meadowsa wszystko zniszczyli, było przerażające. Nelsonowi robiło się niedobrze, gdy chodził wraz z Pincusem wśród szczątków.

- Musieli go dostać - odezwał się Pincus. - Założę się, że już nie żyje. Nelson przysiadł na uszkodzonym krześle obok zaśmieconego basenu.

Przypomniał sobie noc, kiedy zginął tu kameleon.

-Nie - odrzekł. - Zrobili to dlatego, że go nie zastali.

- Dla sportu? - Pincus dotknął czubkiem buta roztrzaskany głośnik stereofoniczny.

- Zostawili mu wiadomość, Wilbur. Ostrzeżenie. Podejrzewam, że nasz przyjaciel Meadows wie, co tu się stało. Nie wróci.

- Wygląda na to, że jesteś tego całkiem pewien.

Nelson zmrużył oczy. Znow ten wyzywający ton. Pincus zachowywał się tak od miesiący, od sprawy Cruza. Nelson miał już tego dosyć.

- Czego właściwie szukamy? - zapytał Pincus. -Rysunków. Szkiców.

- Budynków? Sprawdźmy w studio...

- Nie budynków - parsknął Nelson. - Ludzi. Meadows powiedział mi kiedyś, że robi portrety pamięciowe goryli Mono.

-Tak? Kiedy?

- Nie było cię przy tym. - Nelson odsunął z dywanu stertę wilgotnych papierów.

- Przed zabójstwem na lotnisku?

- Chyba tak. Cholera, spójrz na to. Listy od dziewczyny. Ci gnoje pewnie je przejrzeni, zanim zabrali się do roboty.

Pincus zerknął Nelsonowi przez ramię.

- Cały atrament się rozmazał - zauważył. - Teraz prawie nic nie można odczytać.

9 - Kokainowe wydmy

129

Detektywi krążyli po domu od dziesięciu minut, gdy w drzwiach stanął Arthur Prim.

- Widzą, że wreszcie się zjawiliście - warknął.

- Cześć, Prim - przywitał go Nelson. - Gdzie jest Meadows? Arthur zrzucił sandały.

- Nie wiem. Mam jeszcze kilka szmat, gdybyście chcieli pomóc przy tym głównie. Zasuвам tu już trzy dni.

- Kiedy ostatnio rozmawiał pan z panem Meadowsem? - zapytał Pincus. Arthur zachichotał. Wymienili z Nelsonem rozbawione spojrzenia.

- Ja tu tylko sprzątam, człowieku - oświadczył olbrzym. Schylił się i zaczął wrzucać kawałki zgniłego jedzenia i szkło do plastikowego worka na śmieci.

- Nie bój się, Prim - uspokoił go Nelson. - Nie zamierzamy zgarnąć twojego kumpla. Nie mamy za co.

Pincus przyjrzał się uważnie swojemu partnerowi.

- Jeśli go zobaczysz, powiedz mu, że może wrócić. Przekaż mu, że zamykam dochodzenie w sprawie śmierci Sosy.

- To ta sprawa z lotniska, tak? - upewnił się Arthur.

- Zgadza się.

- Dlaczego kończy pan śledztwo? - spytał Arthur.

- Właśnie, dlaczego? - zawtórował mu Pincus. Nelson spiorunował go wzrokiem i zwrócił się do Prima.

- Bo wszystko, co znaleźliśmy, to ciało w samochodzie i trochę krwi w garażu. Nie ma świadków. Nikt nie płacze po Mono; przynajmniej nikt, kto mnie obchodzi. Potrzebuję pomocy Meadowsa.

- Gówna prawda! - parsknął Prim.

- Jeżeli go spotkasz, powiedz mu, że uratowałem mu tyłek. Nie grozi mu żadne oskarżenie. Ma na to moje słowo.

- Na pewno będzie wdzięczny jak cholera, kapitanie. Może pan przesunąć nogę? Chyba stoi pan na sztychu Neimana.

W samochodzie Pincus wybuchnął:

- Co to za bzdury z Sosą?

- Żadne bzdury.

- Jak to? Więc to nie była próba wywabienia Meadowsa z ukrycia? Nelson ponownie zapalił cygaro.

- Nie, Wilbur. Mam do niego trochę więcej zaufania niż ty.

- Nie możesz tak po prostu zamknąć tego śledztwa. Mamy dowody, że Meadows zabił.

- A przedstawiś je w sądzie?

- Jeszcze nie teraz, ale...

- Wilbur, nie widzę blatu mojego biurka spod sterty akt nie wyjaśnionych zabójstw. To ma na mojej liście numer mniej więcej sto osiemdziesiąty 130

trzeci. Sosa był śmieciem. I jeśli Meadows go zabił, jak twierdzisz, to zasłużył na medal, nie na wyrok. -Ale to...

-1 nigdy mi nie mów, że nie mogę zamknąć jakiegoś śledztwa - warknął Nelson. - Myślę, że Meadows może się przydać. Jest wyjątkowym świadkiem, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś. Może nas nawet czegoś nauczyć, zanim to się skończy. Więc jeżeli zamierzam gdzieś „zgubić” akta sprawy Sosy, na kilka dni czy na kilka lat, nie wcinaj się.

- Nie chciałem się kłócić - powiedział Pincus. - Po prostu jestem zaskoczony. Nie sądzę, żeby Meadows mógł nam pomóc. Ale to tylko moja opinia.

- Opinie są jak dziury w tyłku - odparł Nelson. - Każdy ma swoją i wszystkie śmierdzą.

W komendzie Pincus usiadł do maszyny i zaczął pisać staranny raport o akcie wandalizmu w domu Meadowsa. Nelson po raz kolejny zadzwonił do Stelli.

- Pana Meadowsa nie będzie w biurze przez kilka tygodni - powtórzyła lojalnie.

Nelson przybrał groźny ton:

- Jestem z policji. To bardzo pilna sprawa, proszę pani. Gdzie mogę go złapać?

- O Boże, naprawdę nie wiem - spłoszyła się Stella. - Może u rodziców... Nie, u przyjaciółki. Proszę tam spróbować.

- Jak ona się nazywa? - Nie pamiętam.

- Powiedziałem, że to ważne! - przypomniał Nelson.

W słuchawce na moment zapadła cisza. - Zaczyna się na literę K, albo M. Jest pilotką samolotu, czy coś w tym rodzaju.

Nelson zmienił taktykę. Przybrał ton cierpliwej przedszkolanki.

- Czy ma pani jej telefon?

- Tak, tak... Pan Meadows czasem mieszka u niej... O, jest! - Stella odczytała cyfry.

Nelson wyłączył się, zadzwonił pod podany numer, odłożył słuchawkę. Zgłosił się facet w salonie masażu przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy. Stella pomyliła telefony.

Detektyw zaczął przestawiać zapisane cyfry. Kiedy wyczerpał wszystkie możliwości, wziął książkę telefoniczną i spróbował dopasować numery do nazwisk: G. Stein, Abraham Jones, Mark M. Flanigan, M. C. Betancourt...

Nelson wpatrzył się w ostatnie. Latynoskie. A użycie inicjałów zazwyczaj wskazywało samotną kobietę. Sieć telefoniczna bardzo przestrzegała tego, by w takich wypadkach nie zamieszczać w spisie pełnych imion. Ich brak uniemożliwiał odgadnięcie płci i chronił abonentki przed sprośnymi dowcipami.

131

Detektyw zwrócił też uwagę na dodatkową informacją w nawiasie: (Prez. Linii Lotniczych CAN). Telefon prawie się zgadzał; 724 zamiast 742, jak podała Stella.

Numer należał do osoby zamieszkałej na Key Biscayne. Nelson bez słowa wymknął się z komendy. Pincus dalej ślęczał nad maszyną.

Zarządca budynku na osiedlu Terry oświadczył, że od pewnego czasu nie widuje wiecznie spieszącej się pilotki ani jej szczupłego, spokojnego przyjaciela. Kiedy Nelson poprosił o wpuszczenie go do apartamentu Terry, mężczyzna niechętnie odprowadził go do windy, a potem do drzwi.

- Niech pan posłucha: nie chcę żadnych kłopotów. W zeszłym roku zmarła tu jedna babka...

- W tym mieszkaniu?

- Nie, nie. W budynku. Zwłoki znaleźliśmy dopiero po tygodniu.

- Coś jak trup w szafie, no nie?

- Właśnie. Dlatego wolałbym, żeby obyło się bez zamieszania. Jeśli kogoś pan tam znajdzie, niech pan to załatwi dyskretnie, dobra?

- Daj pan klucze - rozkazał Nelson.

Detektyw nie zauważył żadnych śladów obecności architekta. Nic nie wskazywało, żeby Meadows kiedykolwiek tu mieszkał. Dokładnie po sobie posprzątał, pomyślał Nelson, grzebiąc w śmieciach. Naczynia na swoim miejscu, łóżka zaścielone, nigdzie okruszków ani plam... Nelson zajrzał nawet do kosza na brudną bieliznę. Zobaczył tylko stanik, trzy małe koszulki i dwie pary majteczek.

Zarządca czekał w korytarzu. Błady, łysy człowieczek o wystających ramionach nerwowo przestępował z nogi na nogę. W końcu zawołał:

- Wszystko w porządku?

- Tak. Możesz pan wracać na dół. Za kilka minut przyniosę klucze.

- Chyba powinienem tu zostać, dopóki...

- Spadaj pan! - zdenerwował się Nelson. - Przecież nie wyniosę telewizora, na litość boską!

Jeszcze przed wejściem do pachnącej sypialni Terry nabrał przekonania, że jest na fałszywym tropie. Wysunął szufladkę nocnego stolika i nawet niczego nie dotknął. Świeże opakowanie pigułek antykoncepcyjnych, buteleczka bayerowskiej aspiryny, wazelina oraz instrukcja obsługi i karta gwarancyjna radia z budzikiem... I jakaś ciemnozielona szmatka. Wyglądała na filcową. Poczłł znajomą woń: oliwa do broni.

Octavio Nelson rozłożył ściereczkę na łóżku. Cofnął się, schylił i popatrzył na nią pod światło. Oprócz śladów smaru dostrzegł odcisnięty kształt. Rewolwer. Powiodł palcem po jego zarysach od wylotu lufy po kolbę. Złożył szmatkę i wsunął do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki.

Przyjaciółka Meadowsa trzymała przy łóżku broń, której teraz brakowało.

132

Gdy Nelson zjeżdżał windą do garażu, zastanawiał się ponuro, czy T. Christopher Meadows właśnie uczy się strzelać.

Winnie Laine, agentka biura podróży Tropie Suncoast Tours na Biscayne Boulevard, po raz pierwszy zobaczyła nieznanomego w poniedziałek.

Wspomniał o Ameryce Południowej, więc dała mu kilka folderów. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna był bardzo uprzejmy. Założyłaby się o tygodniową pensję, że nie mówi ani słowa po hiszpańsku.

Wrócił w środę i zapytał o Barranquillę. Nie wytrzymała. Przecież to zakazana dziura, wyjaśniła. Nikt przy zdrowych zmysłach tam nie jeździ. Bo-gota, to co innego; jest bardzo przyjemna o tej porze roku. Blondyn wziął następne broszury, wypytał o ceny biletów lotniczych i wyznał, że nie może się zdecydować. Po jego wyjściu Winnie zastanawiała się, jak wyglądałby w brązowym ubraniu, zamiast w szarym.

Była mile zaskoczona, gdy ponownie pojawił się w piątek. Nieśmiało przeprosił za niezdecydowanie i zaprosił ją na drinka po pracy. Odmówiła, ale udał, że nie słyszy. Uśmiechnął się i skierował do drzwi. Wtedy zmieniła

zdanie.

Poszli do baru przy porcie. Przez blisko dwie godziny Winnie odpowiadała na ciche pytania mężczyzny. Nie miała nic przeciwko temu. Wreszcie jej też udało się o coś zapytać. Dowiedziała się, że blondyn handluje sprzętem biurowym i próbuje upchnąć w Kolumbii sto używanych maszyn do pisania firmy IBM. To rynek bez dna, poinformował. Spodziewa się częstych wyjazdów i szuka najtańszego sposobu podróżowania. Jego przyjaciel, Bobby Nelson, regularnie odwiedza Amerykę Środkową i Południową.

- To nasz stały klient! - wykrzyknęła Winnie. - Jeden z najlepszych.

- Nie żartuj?

- Lata dwa razy w miesiącu, jak w zegarku. Z Miami do Bogoty, stamtąd do Medellin i do domu. - Roześmiała się. - Znam na pamięć jego trasę.

- Coś takiego!

- Każdego siedemnastego i dwudziestego ósmego - ciągnęła Winnie. -A jak długo tam zostaje? Jego żona pewnie nie jest zachwycona.

- Nie, to krótkie podróże. Najwyżej trzydniowe.

- Jakimi liniami lata Bobby? - zapytał mężczyzna.

- Avianca.

- Zadowolony z obsługi?

- Chyba tak - odrzekła Winnie. - Choć oczywiście nie bardzo jest w czym wybierać.

Blondyn dopił rum z kolą.

- W porządku. Jutro zadzwonię do szefa po zgodę i wpadnę do ciebie kupić bilety. Może skoczmy na lunch?

133

- Bardzo chętnie - zgodziła się Winnie. Mężczyzna odwiózł ją do domu, odprowadził do drzwi i pocałował na dobranoc. Nie pokazał się więcej. Pepe Falcon załatwiał wszystkie interesy w hotelach Holiday Inn, więc klienci nazywali go Botones albo Portier. Lubił to przezwisko. Prosperował coraz lepiej i odpowiednio zmieniał styl bycia. Kiedyś wystarczył mu jednoosobowy pokój za dwadzieścia osiem dolarów, potem zaczął wynajmować apartament z ładnym widokiem na wysokim piętrze. Po zainkasowaniu pieniędzy, wyprowadzał kontrahenta za próg i dzwonił po prostytutkę, czasem dwie. Też letniej nocy, gdy detektyw Ethan Bradley z wydziału zabójstw został wezwany do pokoju 713-714 w Holiday Inn Bayside w Miami, Pepe Falcon zabawił się po raz ostatni. Ktoś przystawił mu do nosa lufę małego, automatycznego pistoletu i pociągnął za spust. Po apartamencie rozprysnęło się niezbyt dużo szarych komórek, za to mnóstwo wysokogatunkowej kokainy. Detektyw Bradley napisał potem w raporcie, że przy okazji „kompletnemu zniszczeniu uległ bardzo ładny pejzaż morski wiszący na zachodniej ścianie”.

Kilka godzin później drogą międzystanową dziewięćdziesiąt pięć jechała na północ ciężarówka z trzema tonami warzyw. Kierowca zobaczył na poboczu

płonący samochód. Zahamował i wyskoczył z kabiny. Ratował ostatni model oldsmobile'a, dopóki nie opróżnił gaśnicy. Kiedy wzywał pomoc przez radio CB, zauważył na tapicerce coś dziwnego. Policjant z patrolu czekał półtorej godziny, żeby wrak ostygł. Następnie otworzył łomem bagażnik.

Wewnątrz leżały zwłoki młodego Kolumbijczyka nazwiskiem Hilarion Escandar. Polecenie przeszukania ciała otrzymał detektyw sierżant Ray Lesnick z wydziału zabójstw. Znalazł około pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów w gotówce, dwa tuziny nie oszlifowanych szmaragdów, trzy różne prawa jazdy oraz bilet lotniczy. Okazało się, że Escandar przyleciał tego wieczoru z Limy. Koroner okręgu Dade stwierdził, że dwudziestoczteroletni student uniwersytetu został zastrzelony pół godziny po wyjściu z terminalu międzynarodowego portu lotniczego w Miami.

Dwa dni później o godzinie pierwszej zero siedem, na lotnisku North Peny wylądował dwusilnikowy beechcraft. Przy samochodach czekało kilku mężczyzn. Samolot w wiśniowe pasy podkołował do nich i stanął. Z kabiny wysiadł pilot z pistoletem maszynowym Ingram.

- Przykro mi, panowie... - oznajmił komitetowi powitalnemu - ale ktoś schrzanił sprawę. Źródło wyszło.

- To niemożliwe! - krzyknął jeden z mężczyzn.

- Nie mogłem dostać ani grama! - wrzasnął pilot. - Wasza forsa jest w samolocie! - Machnął groźnie bronią. - Odsuńcie się i lepiej przez dłuższy czas do mnie nie dzwońcie.

134

Świadkiem zdarzenia był członek ochrony lotniska. Zawiadomił policję metropolitalną okręgu Dade, ale zanim przyjechał oddział specjalny, całe towarzystwo zniknęło. Beechcraft również. Octavio Nelson dowiedział się o incydencie od kolegi z okręgowego wydziału narkotyków i zaczął wierzyć, że jego informator mówił prawdę: na rynku zabraknie towaru.

Nelson czytał raport Ethana Bradley' a i zastanawiał się, po co ktoś zawracał sobie głowę zabijaniem biednego Botonesa. Ten wolny strzelec wbrew pozorom był tylko drobnym handlarzem; nie sprzedawał nawet tyle koki, żeby przez tydzień utrzymała na obrotach kapelę rockową. A ten dzieciak Escandar... Cristo! Nelson dowiedział się od jego siostry, że Hilarion zajmował się przemytem, żeby zarobić na studia medyczne. W porządku, to musiała być jakaś nauczka: spalić samochód i zostawić w nim tyle pieniędzy i klejnotów, żeby znalazły to gliny. Ale nauczka dla kogo? Ten chłopak też był tylko drobnym handlarzem.

- Robi się niewesoło - stwierdził Nelson i cisnął akta na biurko Pincusa.

- Jeden Kubańczyk, jeden Kolumbijczyk...

- Nie zapominaj o Redbircie.

- Racja; i jeden Angol.

- Plus brak koki na rynku - dodał Nelson i wstał. - Co ci mówi twój mechaniczny umysł?

- Że krzywda nie dzieje się nikomu z wielkich. Nelson wyszczerzył zęby.

- Brawo.

-1 że ci wielcy siedzą na całej turze kokainy.

- Zgadza się - pochwalił Nelson.

-A zaczną ją sprzedawać, kiedy przyjdzie odpowiedni czas i uznają, że rynek do tego dojrzał - dokończył Pincus. Nelson wyjął z szuflady garść cygar.

- Idziemy, bystrzaku. Mamy robotę.

21

Siedzieli we trzech z przodu furgonetki. Prowadził Manny. Moe trzymał łokieć za oknem, a na kolanach puszkę budweisera. Meadowsowi przypadło miejsce w środku i trochę za nimi. Ściany i podłogę pustej przestrzeni bagażowej pokrywała tania folia przyklepiona do blachy.

- Dla bezpieczeństwa - wyjaśnił Manny. - W samochodzie nie może zostać ani ziarenko.

Przez półtorej godziny jechali na zachód. Manny trzymał się z daleka od głównych tras.

135

- To paranoja, człowieku - roześmiał się Moe.

-Na czteropasmówce zawsze mnie zatrzymują - odparł Manny. - Na mój widok glinom'widocznie coś odbija.

- Ale teraz jesteśmy czyści - zauważył Meadows. Manny zerknął znacząco na współnika.

- Więc te wszystkie zasady dotyczyły tylko mnie - stwierdził zgryźliwie Meadows.

- Naprawdę myślałeś, że nie wezmę ze sobą spluwy? - Manny wyprostował się za kierownicą i wyciągnął zza paska mały, płaski pistolet automatyczny. Moe beknął i Meadows poczuł na twarzy gorący oddech przesycony piwem.

- Rzuć mi jeszcze jeden browar - poprosił Moe. Zgniół pustą puszkę i cisnął za okno. Odbiła się od zaparkowanego cadillaka.

- Dziesięć punktów - powiedział Manny.

Skręcili na zachód w Tamiami Trail, starą i niebezpieczną szosę o dwóch pasach ruchu, przecinającą mokradła Everglades. Byli zaledwie piętnaście kilometrów od Miami, wokół pustka i ciemność. Manny włączył światła drogowe i rozpędził samochód do stu dziesięciu. Moe zapalił skręta z marihuaną.

Meadows denerwował się. Bał się tej podróży przez cały dzień. Ale kiedy leżał z Patti w łóżku i czekał, aż wybije północ, uświadomił sobie, że jest podekscytowany jak nigdy dotąd. Odczuwał satysfakcję jak wtedy, gdy patrzył na budynek swojego projektu, rosnący ku niebu piętro po piętrze. To była przyjemność, lecz zbyt dokładnie wykalkulowana.

Teraz nie miał przed sobą planów architektonicznych ani podręczników.

Ominięcie blokady wymagało przebiegłości i szczęścia.

Architekt z trudem zachowywał spokój.

- Jak było w Atlancie? - zagadnął Manny.

- W lecie duszno, w zimie mokro - odparł Meadows.
- On nie pyta o pogodę - wtrącił się Moe.
- Chodzi mi o interes. Jak ci tam szło?
- Przez jakiś czas nieźle. Tamtejsi gliniarze różnią się od tych tutaj. Są...
- Gorszi - domyślił się Moe.
- Właśnie.

Manny wziął skręta od Moe i zaciągnął się łapczywie.

- Skąd wiesz, jacy są? Złapali cię kiedyś?
- Mnie nie - odrzekł szybko Meadows. - Ale kilku kumpli.
- Co tam Atlanta! - parsknął Moe. - Gliny w Missisipi to cholerni naziści.
- Opowiedz Chrisowi o areszcie w Hattiesburgu. Tę historię o psie. Meadows pochylił się do przodu. Moe zaczynał bełkotać i ledwo go słyszał przez szum silnika.
- No więc, jakieś... trzy, cztery lata temu na koncercie Allman Brothers zwinęli mnie za posiadanie.

136

- Srał ze strachu - dorzucił Manny i wręczył Meadowsowi wilgotną resztkę skręta. Architekt oddał go Moe.

- Koniec palenia - westchnął Moe i pstryknął peta za okno. - Dostałem dobrego adwokata i wyciągnąłby mnie. Założę się, że nie odsiedziałybym nawet tygodnia. Ale gliny zrobiły akurat nalot na jego farmę, gdzie ten stary palant hodował trawkę wysoką jak lucerna. Ścięli to wszystko i zostawili tylko kilka małych roślinek. Przywieźli je na komendę na pokaz.

- Żartujesz?

- Serio! - ryknął Moe. - Dla dzieciaków szkolnych, żeby wiedziały, jak wygląda marihuana. Potem defilowały przed moją celą i pokazywali im mnie jako przykład cholernego kryminalisty.

- Którym zresztą jest - dodał Manny.

-Jednej nocy... - ciągnął Moe - pies komendanta wdrapał się na parapet i zeżarł całą plantację.

Manny gwałtownie przyhamował, gdy jadący na wschód ciągnik siodłowy z naczepą przeciął środkową linię i na moment znalazł się na ich połowie jezdni. Kubańczyk zatrąbił.

- Jasny gwint! Facet chyba zasnął. Moe nie zwrócił na to uwagi.

- Rano przychodzi komendant i widzi tylko wspomnienie po trawce. Nietrudno zgadnąć, czyja to robota. Więc zamyka psa w pustej celi.

- Po co?

- Podobno bał się, że bydlę dostanie szału. Wsadził bestię za kratki, przysunął sobie krzesło, wziął smażone kurczaki i... czeka.

-I...?

-1 nic! - wykrzyknął Moe. - Pies rzygał przez dwie godziny i tyle. Po paru dniach komendant go wypuścił.

Uśmiechnięty Manny skręcił w prawo w nieoznakowaną, żwirową drogę.

- Więc co chcesz zdziałać? - zapytał Moe. Meadows nerwowo przygryzł dolną

wargę.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - W ciemności ledwo widział twarz Moe. Manny westchnął ze zniecierpliwieniem. Furgonetka podskakiwała na wybojach i Meadows zaparł się nogami o podłogę.

- Nie udawaj głupiego, człowieku - odparł Moe. - Przecież wiesz, o czym mówię. Na co liczysz?

- Chcę kupić trochę koki.

- A kto nie chce.

- Potrzebuję parę kilo.

- Co?! - huknął Manny. - Jaja sobie robisz? - Ominął wielką dziurę na drodze. W blasku reflektorów wirowały setki owadów.

-Nie rozumiem... - bąknął Meadows.

137

- W tej partii towaru nie będzie ani grama - wyjaśnił Moe. - Ostatnie kilka tygodni to najgorszy okres, jaki pamiętam. Zupełna bryndza, no nie? Manny przytaknął.

- Nawet faceci, co od lat siedzą w interesie, nie mogą dostać więcej, niż kilkadziesiąt gramów. Nie do wiary, cholera jasna.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Meadows.

- Nie jestem pewien, choć mam swoją teorię - odrzekł autorytatywnie Manny.

- Zrobiło się za gorąco. Gliny, opinia publiczna... Za dużo przemocy.

Gubernator i faceci z DE A gadali o tym na konferencji prasowej. Tyle zabójstw i tak dalej... Podejrzewam, że hurtownicy się przyczaili.

- A w Kolumbii ze sto magazynów pełnych towaru - jęknął Moe. Meadows gorączkowo myślał.

- Więc gdzie dostanę trochę koki?

- Nigdzie - odparł chłodno Manny. - Jak się uspokoi, pierwsze dostawy wezmą regularni odbiorcy. Popyt tak wzrośnie, że cena skoczy, więc dla innych niewiele zostawia.

- Jasna sprawa - dodał lakonicznie Moe.

- Przecież zapłacę - zapewnił Meadows. - Gotówką. Manny odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się ponuro.

-Chryste, człowieku! Pokażę ci osiemnastoletnich gówniarzy w cadil-lakach, którzy też zapłaciliby gotówką. Forsa nic nie znaczy.

Zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Meadows czekał, aż on i Moe wysiądą ale nie ruszyli się. Z odległości kilku kilometrów dobiegł daleki odgłos potężnego diesla przejeżdżającej szosą ciężarówki. Wokół furgonetki brzęczały chmary bagiennych komarów. Odbijały się od przedniej szyby, wpadały przez otwarte okno Moe i siadały na jego bladych, chudych ramionach. Zaczął je szaleńczo tłuc i Manny wybuchnął śmiechem.

- Pewnie nikt nie zabrał spray'u na owady? - zażartował słabo Meadows.

- Wsiadamy - rozkazał nagle Manny. Zeskoczył na ziemię i przeciągnął się. Potem przez kilka sekund biegł w miejscu. - Teraz dużo lepiej -oznajmił.

- Manny, już nie mogę wytrzymać z tymi komarami - poskarżył się Moe.

- Smakuje im białe mięso.
- Nie mamy nic na to draństwo?
- Tylko benzynę. Działa całkiem dobrze, chico. O ile nie boisz się zetrzeć kilku warstw skóry.

Meadows spacerował wzdłuż drogi i machał rękami wokół głowy. Lepiej być ruchomym celem, pomyślał ponuro. Uszy wypełniało mu brzęczenie owadów. Czuł je we włosach. Jego bawełniana, tenisowa koszulka z krótkimi rękawami przesiąkła potem. Wilgotność powietrza musiała sięgać osiemdziesięciu pięciu procent.

- Co dalej? - zapytał w końcu Manny'ego.

138

- Cierpliwości. - Kubańczyk zmrużył oczy i zerknął na zegarek. Potem spojrzął w niebo. Na zachodzie, nad horyzontem wisiały niskie, szare chmury, ale tutaj świeciły gwiazdy. Meadows z zachwytem popatrzył na rozległą, bagnistą równinę skąpaną w księżycowej poświacie. Morze traw ciągnęło się kilometrami. Daleko na północy rosła mała kępa drzew, zapewne cyprysów. Dookoła kumkały żaby, bzyczały owady i Bóg wie, co jeszcze. Hałas wydawał się narastać i niepokoił Meadowsa.

- Chyba coś słyszę - powiedział Moe. Pobiegł do furgonetki i przyniósł małą latarkę. Meadows przeszedł za nim ostrożnie około piętnastu metrów wzdłuż drogi. Żaden nie odważył się zejść na podmokły grunt. Moe wycelował snop światła i zobaczyli oposa. Zwierzę brnęło niezdarnie przez gąszcz traw trzymając w górze zawinięty, chwytny ogon. Jego ślepia lśniły zielonym blaskiem. Rzadka, szarobiała sierść przypominała Meadowsowi siwe włosy jego dziadka, gdy stary człowiek umierał w szpitalu.

- Jadłeś kiedyś mięso oposa? - zapytał Moe. Meadows pokręcił głową.

- Czarnuchy ciągle to żrą. Jak byłem mały, polowaliśmy na nie. Waliliśmy do nich z dwudziestki dwójki i sprzedawaliśmy czarnym po dolcu za sztukę. Robią z tego gulasz.

- Nigdy nie próbowałem.

- Ja też nie - przyznał Moe.

Zwierzę utknęło w gąszczu. Odwróciło łeb, rozchyliło pysk i patrzyło na intruzów. Meadows ruszył z powrotem do samochodu.

- Hej, Carson! - zawołał Moe. Meadows obejrzał się. Tamten mierzył do oposa z pistoletu.

- Odbiło ci?

- Założysz się, że odstrzelę mu ogon? Meadows stał bez mchu.

- Chodźmy, Moe. - Nie zabiję go, słowo. Meadows rozejrzał się za Mannym.

- Ten ogon wygląda jak półmetrowy kutas, no nie? Niektóre babki napaliłyby się, co?

Meadows uznał, że Moe musi być pijany, naćpany, albo jedno i drugie. Może nawet stuknięty. Dostrzegł przy furgonetce cień Manny'ego i gwizdnął, ale Kubańczyk nie usłyszał go wśród hałasu żab.

- Hej, Manny! - krzyknął Meadows. - Zobacz, co znalazł Moe!

Huknął strzał. Meadows odruchowo schylił się i odwrócił. Po chwili dostrzegł pomarańczowy błysk, gdy Moe drugi raz nacisnął spust. Poczł zapach prochu. Rozległy się szybkie kroki Manny'ego.

- Co ty robisz? - wysapał Kubańczyk. Moe wzruszył ramionami.

139

- Chyba przypadkiem go zabiłem. - Opuścił broń i uniósł latarkę. Opos leżał z wywalonym językiem i pianą na pysku.

- Ty palancie - syknął Manny.

- Jezu, przecież tutaj nikt nic nie usłyszy.

- Jak jeszcze raz wyjmiesz spluwę, tylko jeden z nas dwóch stąd wróci. Moe chciał coś odpowiedzieć, ale przechylił głowę i wskazał lufą do góry. Manny usłyszał samolot w tym samym momencie. Rzucili się do furgonetki. Roztrzęsiony Meadows pobiegł za nimi.

Kubańczyk wskoczył za kierownicę i włączył reflektory. Odgłos samolotu zbliżał się, ale Meadows nie mógł nic dostrzec. Maszyna prawdopodobnie krążyła.

Moe wciąż ścisnął w dłoni pistolet.

- Jakies sześćset metrów - szepnął.

- Tam! - Manny wycelował palec na północ. Meadows rozpoznał sylwetkę samolotu z wygaszonymi światłami.

- Widzi nas - zapewnił Moe.

- Gdzie wylądaje? - zapytał Meadows.

- Nigdzie.

Manny zgasił reflektory. Maszyna schodziła coraz niżej i niżej niczym mewa. Meadows domyślał się po kształcie, że to mały beechcraft albo dwusilnikowa cessna.

- Nie spuszczań go z oka - rozkazał Manny. Meadows podążał za samolotem bardziej słuchem, niż wzrokiem. On i Moe stali nieruchomo obok samochodu. Maszyna zeszła wkrótce tak nisko, że huk silników zagłuszył żaby. Meadows zauważył, że jest pomalowana w granatowe lub ciemnozielone pasy. Z trudem rozróżnił literę N na ogonie.

- Banzai! - wykrzyknął Manny, gdy z otwartych drzwi samolotu wypadł pierwszy pakunek. Potem szybko wyrzucono dwa następne. Silniki zawyły gwałtownie na wysokich obrotach i maszyna poderwała się ostro do góry. Odleciała na południe.

- Moe, widziałeś, gdzie wylądowały?

- Chyba tak.

Manny wziął Meadowsa za ramię.

- Idziesz ze mną Chris. Moe, wiesz, co robić. Gwizdnę, jeśli będziemy potrzebować pomocy. I schowaj tego cholernego gnata.

- Dobra, dobra... - Moe wsunął pistolet za pasek.

Manny pochylony przedzierał się przez trawę. Meadows podążał za nim. Obserwował jednocześnie grunt pod nogami i światło latarki Kubańczyka.

- Szybciej! Ruszaj się - rzucił przez ramię Manny.

Dotarli do małej polany. Woda sięgała Meadowsowi powyżej kostek. Ręce krwawiły od ostrej trawy. Manny wręczył mu drugą latarkę.

- Świeć na ziemię, nigdzie indziej - ostrzegł. - Jeśli usłyszysz coś oprócz mnie, gaś ją natychmiast. Szukamy trzech bel. Jak tylko którąś znajdziesz, 140

ciągnij ją jak najszybciej do samochodu. Jeżeli Moe zatrafi, rzucaj wszystko w cholerę i zwiewaj, gdzie się da.

Meadows cieszył się, że jest ciemno; Manny nie widział jego przerażonej miny. Mimo gorąca, architekt dostał dreszczy.

Brnęli przez mokradła piętnaście minut. Meadows stąpał niczym po kruchym lodzie. Bał się, że lada chwila nadeptnie śpiącego węża lub aligatora. Trzymał się blisko Manny'ego. Raz wydał zduszony okrzyk, bo coś otarło mu się o nogę. Zaczął szaleńczo wierzgać, żeby to odpędzić. Cokolwiek to było, zniknęło bez śladu. W świetle latarki nic nie zobaczył.

- Tam - powiedział Manny.

Dwie bele leżały dziesięć metrów od siebie. Manny dźwignął jedną za sznurki i podał Meadowsowi. Ważyła przeszło dwadzieścia kilo.

- Ile to warte? - zapytał Meadows.

- Zależy gdzie i dla kogo - mruknął Manny. - Ale niewiele. Pięć do dziesięciu patyków.

- Co?! - zdziwił się Meadows. - Więc jakim cudem twojego szefa stać na zapłacenie mi pięciu tysięcy?

- Jego nie interesuje trawka. - Manny przeszedł ostrożnie nad zwałonym cyprysem. - Mamy tutaj kokainę za pół miliona dolców. Nie widać jej, bo jest upchnięta w puszkach wewnątrz tych tobołów. Glinom nie przyszłoby do głowy, żeby tam szukać.

Meadows przyspieszył kroku.

- Gdyby nas dorwali... - ciągnął Manny - dostalibyśmy najwyżej półtora roku za posiadanie trawki. Bele poszłyby od razu do pieca i po sprawie. Mój szef to cwany gość.

- Zaczekaj chwilę... - wysapał Meadows. - Muszę złapać oddech... -Manny przystanął i położył pakunek. Meadows głośno wciągał powietrze.

- Chyba mówiłeś, że nigdzie nie ma koki? - przypomniał w końcu.

- Nie - zaprzeczył Manny. - Powiedziałem, że jest jej za mało i prawdopodobnie nie dostaniesz tyle, ile potrzebujesz.

- A nie mógłbym kupić trochę tej?

Manny nie od razu odpowiedział. Meadowsowi wydało się, że uśmiechnął się lekko.

- Ta nie jest na sprzedaż.

- Dlaczego? - nie ustępował Meadows. Serce mu waliło. Był już tak blisko.

- Bo ktoś na nią czeka, palancie. Została zamówiona i zapłacona. I nie chrzań, że w Atlancie jest inaczej. To nie pchli targ, Carson.

-Wiem, ale...

- Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co się dzieje, kiedy w przesyłce brakuje towaru? - Manny z powrotem podniósł belę.

Ruszyli w kierunku drogi. Meadows starannie rozważał możliwości. Niewiele mógł zrobić. Gdyby spróbował uciec z kokainą, zginąłby natychmiast

141

jak opos. A jeśli nawet udałoby mu się gdzieś schować, nie miał ani samochodu, ani łodzi, ani miejsca do ukrycia narkotyku.

Zastanawiał się nad rozbrojeniem obu współników i kradzieżą furgonetki wraz z towarem. Ale odrzucił ten pomysł. Tylko tego mu brakowało, żeby do tropiących go Kubańczyków dołączyli jeszcze ci dwaj.

Pozostało mu zatem posłuszne wykonywanie rozkazów Manny'ego i czekanie na lepszą okazję.

- Władujemy te dwie bele do samochodu i poszukam trzeciej - powiedział Kubańczyk.

Nagle przystanął. Dwadzieścia metrów dalej dwukrotnie odezwał się klakson furgonetki. Potem usłyszeli, jak Moe przedziera się przez mokradła.

- Jasna cholera! - zaklął Manny. Rzucił tobół i zawrócił. W biegu wysoko zadzierał nogi, żeby pokonać trawę i wodę. Meadows wpadł w panikę i poszedł w jego ślady. Zatrzymali się po pięćdziesięciu metrach. Manny osunął się na jedno kolano. Oddychał z trudem niczym starzec. Meadows przykucnął obok. Zobaczył, że Kubańczyk trzyma dziewięćmilimetrowy pistolet automatyczny.

- Cristo! - wymamrotał Manny. Meadows zauważył strach na jego twarzy. Na bagnach panowała cisza.

Architektowi waliło serce. Przeklinał się za to, że nie wziął rewolweru Terry.

Manny uniósł się w półprzysiadzie i popatrzył w kierunku żwirowej drogi.

Opędzał się od komarów.

Meadows usłyszał wolno jadący samochód. Pod oponami chrzęściły drobne kamyki. Zbliżał się. Manny przycupnął w trawie. Auto stanęło i silnik zamilkł. Dwukrotnie trzasnęły drzwi.

Rozległo się kilka głosów. Meadows zerknął z niepokojem na Kubań -czyka.

Młody przemytnik poklepał się lufą broni po policzku i rozdziawił usta w szerokim uśmiechu.

Mijały godziny. Manny zwinął się na trawie w kłębek i zasnął. Przykucnięty w ciepłym błocie Meadows bał się ruszyć. Wytężał słuch, ale na drodze było zupełnie cicho.

Łudził się, że samochodem przyjechali myśliwi. Tylko na co mogliby tu polować? Na króliki, oposy, szopy? Niewiele tutaj zwierząt. Poza tym, byłoby słychać strzały. Choćby do puszek po piwie, albo... do Moe.

Nie, to na pewno gliny. Czekają żebyśmy się pokazali. Zazdrościł Manny'emu spokojnego snu. Chętnie by mu przyłożył.

Przeleciał następny samolot, tym razem ze światłami. Migwały na zielono i czerwono. Maszyna schodziła w dół, kierując się do międzynarodowego portu lotniczego w Miami. Meadows pomyślał o Terry. Miała wrócić za tydzień. Nie

mógł się doczekać, kiedy jej wszystko opowie.

142

O ile kiedykolwiek wydostanie się stąd.

Nad ranem wyrwał go z drzemki odgłos zapalającego silnika. Spodnie nasiąkły mu bagienną wodą, ramiona swędziały, cały zdrętwiał.

Manny też się obudził. Leżał z ręką pod głową dopóki samochód nie odjechał.

- Dobra, Chris, ruszamy - wychrypiał i wyciągnął pistolet.

Skradali się do drogi. Co kilka kroków przystawali i nasłuchiwali. Nagle

Manny wyprostował się i wycelował broń w wysoki gąszcz.

- Nie ruszać się! - rozkazał głośno.

- Nie wygłupiaj się, to ja - odpowiedział Moe. Wyglądał strasznie. Komary urządziły sobie prawdziwą ucztę na jego bladej skórze. Miał pokaleczoną twarz, jakby w wielu miejscach zaciął się przy goleniu, i podarty rękaw koszuli.

Manny pomógł mu wstać i pospiesznie ruszyli do furgonetki. Meadows powlókł się za nimi. Na żwirowej drodze nie spotkali żadnego pojazdu i wkrótce wydostali się na Tamiami Trail. Skręcili na wschód, w kierunku miasta. Słońce już różowiło niebo nad Everglades i z wysokich traw podrywały się stada białych czapli.

- Co się właściwie stało, do cholery? - odezwał się w końcu Manny.

- Widzieliście tamten wóz, no nie? - odrzekł Moe. - Myślałem, że to gliny.

- A kto to był? - zapytał Meadows.

- Nie wiem. Zobaczyłem światła i dałem nura w trawę.

- Słyszeliśmy głosy - powiedział Meadows.

- Ja też; dwóch facetów i laska. Chyba walili ją przez całą noc. Manny uderzył pięściami w kierownicę.

-1 przez to spędziliśmy sześć godzin w tym zaszranym bagnie? Jezu!

-Wymamrotał coś wściekle po hiszpańsku.

Moe podrapał skaleczenie nad górną wargą.

- Słuchaj, stary, nie wiedziałem, czy mają spluwy. Co mogłem zrobić?

Poprosić ich grzecznie, żeby poczekali chwilkę, aż załadujemy do samochodu partię narkotyków? A jeśli rąbnęliby nam towar, albo zastrzelili nas, albo zapisali numery rejestracyjne?

Moe wyciągnął z chłodziarki ciepłe piwo.

- Możemy zawrócić i poszukać zrzutu - zaproponował. - Zanim całkiem się rozwidni.

- Nie ma mowy - odparł Manny. - Wystarczy jeden nisko lecący samolot i po nas.

Moe wpadł w przygnębienie.

- Alonzo się wkurzy.

Manny włożył ciemne okulary. Przypominał teraz Meadowsowi członka Tonton Macoutes z Port-au-Prince.

143

- Pogadam z nim dziś wieczorem na imprezie u Renniego. Lubisz balangi, Chris?

Meadows wzruszył ramionami. Jeszcze kilka minut wcześniej byłby gotów świętować szczęśliwe ocalenie i bezpieczny powrót do domu. Teraz dręczyła go nowa obawa: czy ten Alonzo - kimkolwiek jest - nie wskaże go jako spiskowca? Co będzie, jeśli nie uwierzy w historię Manny'ego? Może nabrać podejrzeń, że we trzech ukradli jego towar. Cała nadzieja w sprycie Manny'ego. Architekt mógł liczyć tylko na to.

- Chcesz iść z nami? - zapytał Kubańczyk.

- Pewnie - odparł Meadows. - To lepsze od nocy spędzonej w bagnie. Moe beknął.

- W porządku. Powinniśmy być tam wszyscy.

Zza horyzontu wyłoniło się słońce. Wisiało przed nimi niczym rozżarzone do czerwoności jajo. Manny opuścił osłonę przeciwsłoneczną.

-Nie pękaj, Moe. Alonzo rozumie takie rzeczy. Jeszcze nigdy nie schrza-niłem mu żadnej sprawy.

W jego słowach brzmiała pewność siebie.

- Spodoba ci się u Renniego - powiedział Moe.

22

Paskudne skaleczenie. Meadows dotknął lewego policzka i przesunął palcem po cienkiej bliźnie w kształcie litery C. Pamiętacie po nocy na bagnach.

- Zacięcie przy goleniu? - zapytał Rennie McRae. -Tak.

Młody, gruby prawnik parsknął śmiechem, aż poczerwieniał mu nos.

- Manny, kup koledze nową maszynkę do golenia! Najlepiej elektryczną. -

Wsunął do prawej dłoni Kubańczyka banknot pięćdziesięciodolarowy. -Chyba trzęsą mu się ręce.

Meadows spojrzał na Manny'ego, spodziewając się jakiejś repliki. Ale ten schował pieniądze do kieszeni.

- Wybiorę jakąś dobrą - odrzekł jowialnie. - I następnym razem sam go ogolę.

McRae roześmiał się z zadowoleniem i odplynął do innych gości. Meadows wypił drinka czterema dużymi łykami i usiadł na sofie. Przypuszczał, że w mieszkaniu jest około stu osób.

- Rennie to bardzo znany facet, Carson - powiedział Manny. - Doskonały prawnik. Tylko dzięki niemu ja i Moe chodzimy jeszcze po ulicach.

144

- To musi być prawdziwym magikiem. Manny klapnął obok.

- Spójrz na siebie, idiota. Przyprawiam cię na eleganckie przyjęcie, przedstawiam ważnym ludziom, a ty siedzisz, jakbyś miał zatwardzenie i...

- Jestem zmęczony, wystarczy? - Meadows z niepokojem przyglądał się tłumowi. Bał się, że spotka kogoś znajomego.

Manny otoczył go ramieniem.

- Tak ci dała w kość ostatnia noc?

- Ależ skąd! To było wspaniałe przeżycie. Zawsze marzyłem, żeby spędzić noc na mokradłach Everglades. Miliard komarów wysysa z ciebie krew, a ty

leżysz sobie w wodzie i czekasz, aż aligator odgryzie ci jaja. A największa przyjemność, to nie wziąć za to forsy.

Manny uniósł ręce.

- A co byś chciał? Nie ma towaru, nie ma zapłaty. - Zapalił papierosa i wyciągnął się wygodnie. - Wiemy, gdzie zostawiliśmy bele. Założę się, że moglibyśmy je znaleźć.

- Proszę bardzo, spróbujmy - westchnął Meadows. - Pewnie jest tam już ze dwudziestu pięciu agentów DEA. Tylko czekają żebyśmy się pokazali.

- Wątpię - odparł Manny. - Powiem Alonzo, że tam wrócimy. Może nawet jeszcze dziś, po imprezie.

- Jasna cholera - jęknął Meadows. - Muszę się napić.

Wstał i ruszył do baru. Wśród gości McRae'a przeważali młodzi, opaleni mężczyźni. Wyglądali na nadzianych. Kobiety były olśniewająco piękne i eleganckie. Stopy tonęły w puszystych dywanach. Apartament musiał kosztować co najmniej trzysta tysięcy. Meadows minął małą grupkę zgromadzoną wokół stolika. Ktoś pracownicze dzielił kupkę koki na srebrnej tacy. Moe czekał w kolejce na swoją działkę.

- Przez tego cholernego Manny'ego spóźniliśmy się dwie godziny - narzekał pod nosem. - Żeby nie on, dostałbym ten towar o wiele wcześniej.

Ale Manny się uparł. Choć przyjęcie zaczęło się o dziesiątej, zjawili się tu dopiero o północy.

-Trzeba dać Alonzo czas, żeby dojrzał - wyjaśnił. - Po paru porcjach o wiele łatwiej przełknie złą wiadomość.

Meadows podziwiał jego spryt i kilka innych cech. Ale najbardziej umiejętność przeżycia.

Wrócił na kanapę. Niedługo miał poznać Alonzo. Obok usiadła szczupła kobieta o długich opalonych nogach i kręconych, kasztanowych włosach.

- Cześć. Jestem Jill.

- Cześć. Chris Carson. - Meadows przełożył drinka do lewej ręki i niezgrabnie wyciągnął prawą.

- Latam na liniach Southeastern.

10 - Kokainowe wydmy

145

Meadows uśmiechnął się uprzejmie. Jezu, stewardesa! Przez moment pożałował, że nie jest na bagnach.

- Pracuję w nieruchomościach. Dopiero się tu sprowadziłem...

- Zabawne - przerwała mu Jill. - Dałabym głowę, że już się spotkaliśmy w Miami. Od kiedy masz takie długie włosy?

- Od kilku lat. - Meadows odwrócił się od niej. Gorączkowo szukał wymówki, żeby wstać i odejść.

- To było na przyjęciu na Key Biscayne...

- Nie wydaje mi się - uciął Meadows.

- Znasz Clarków?

- Nie - skłamał. - Przepraszam, ale chcę się jeszcze napić.

Meadows wymknął się z pokoju. Po szyi spływał mu pot. Próbował sobie przypomnieć Jill Jakaśtam, ale nie mógł. Gdyby się znali, pamiętałby ją. A skoro nie, musiała się pomylić. Mimo to, zdenerwował się.

Z nową szklaneczką w dłoni poszukał łazienki. Znalazł właściwe drzwi, zapukał dwa razy i wszedł.

- Buenas noches.

Meadows zaczął się wycofywać.

- Przepraszam.

- Zostań - zawołał wesoło ciemny, gruby facet z wąsami w stylu Pan-cho Villi. Siedział na sedesie z podciągniętymi spodniami i dwiema dziewczynami po obu stronach.

- Jestem Bobby - przedstawił się. - A to Candy i Maria. Wpadliśmy tu na szybki strzał. Chcesz trochę?

- Nie, ale dzięki za zaproszenie. - Meadows uprzejmym gestem uniósł drinka.

- Nie wygłupiaj się - odezwała się Maria. Wyglądała najwyżej na piętnaście lat. Była w džinsach i przezroczystej bluzce. Może z powodu lekkiego zamroczenia bourbonem, jej sutki skojarzyły się Meadowsowi z orzechami włoskimi. Dziewczyna przysunęła do twarzy małe lusterko.

- Ostrożnie - ostrzegł Roberto Nelson. Meadows postawił szklanekę obok umywalki.

- Jeden mały wdech - kusiła go Maria.

- Niech będzie. - Meadows odwrócił się instynktownie, żeby zamknąć drzwi. Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

Meadows też się roześmiał.

- Nigdy nie wiadomo, gdzie czai się DEA - zażartował. Zachowałem się jak idiota, pomyślał zły na siebie. Dzięki Bogu, są już na takim odlocie, że niewiele kojarzą.

Wziął od Roberto zwiniętą dwudziestodolarówkę, wciągnął dwie krótkie linijki i odrzucił głowę do tyłu. Roberto uśmiechnął się szeroko.

- Bueno, co?

146

- Si - przytaknął Meadows.

Po chwili koka zadziałała. Efekt był zdumiewający. Meadows usłyszał nagle bicie własnego serca. Czuł, że mógłby przepłynąć tysiąc długości basenu, biegać do upadłego, kochać się do nieprzytomności. Niesamowite wrażenie! Maria zaczęła tańczyć pod prysznicem jak w dyskotecie. Roberto przyłączył się do niej. Meadows obawiał się, że rozbiją szybę ciasnej kabiny i wypadną na zewnątrz.

- Mieszkasz w Miami? — zapytał Candy.

- Nie wysilaj się - zawołał Roberto. - To Kolumbijka, amigo. Nie mówi po angielsku.

Candy uśmiechnęła się i skinęła głową. Potem usadowiła się na kolanach Meadowsa. Na lusterku zostały trzy linijki; wciągnęła wszystkie. Zaczęła nucić jakiś stary, zapomniany przebój w rytmie salsy. Meadowsa rozboleły uszy.

Było mu gorąco. Dziewczyna nie ważyła więcej, niż czterdzieści kilogramów, ale poczuł, że musi jak najszybciej skorzystać z toalety. Pozbył się Candy i mszył do drzwi.

- Dzięki - krzyknął do Roberto.

- Nie ma za co - padła odpowiedź. Meadows dostrzegł przez mrożoną szybę różowe, tłuste pośladki Roberto. Kubańczyk miał spodnie opuszczone do kostek. Maria chichotała. Meadows wyszedł do holu.

Pierwsze drzwi były zamknięte. Zobaczył, że drugie są uchylone. Zapukał głośno.

- Proszę - zagrzmiął Rennie McRae. - Aaa... pan Carson. Niech pan siada.

Prawnik pochylał się nad szerokim, mahoniowym biurkiem. Na blat padał krąg światła jasnej lampy. Meadows usiadł naprzeciw i zaczął czekać, aż jego oczy przyzwyczają się do mroku.

Gospodarz wrócił do swego zajęcia. Ledwo rzucił okiem na gościa.

- Robię to na osobności, bo większość moich znajomych przeraża widok igły - wyjaśnił. Małą srebrną łyżeczką zeskrobał trochę kokainy z wielkiej bryły. -

Nie dlatego, że się wstydzę albo boję glin. Jestem u siebie.

W jego głosie zabrzmiało podniecenie. Meadows patrzył niepewnie, jak wyciąga z kieszeni zapalniczkę i podgrzewa proszek na łyżeczce. Ręce McRae'a zaczęły drżeć niczym w febrze. Meadows myślał, że za moment wszystko upuści.

- Jeśli miałby pan ochotę, rozpatrzę pański wniosek - zażartował prawnik. Meadows uniósł rękę.

- Nie trzeba, ale dzięki. McRae wyszczerzył zęby.

- To doskonały towar.

- Domyślam się.

147

- Siedemdziesiąt pięć procent. Oczywiście, zanim dotrze do naszych przyjaciół w Małej Hawanie... Nieważne. Po prostu umówmy się, że klienci nie dostają tego samego gatunku.

- Handluje pan tym? - zainteresował się Meadows.

- Nie, przyjacielu. Jestem adwokatem handlarzy. To nawet lepsze. Znam twarze, których nie powinienem znać i pamiętam nazwiska, które powinienem zapomnieć. Mam w pamięci daty, których nigdy nie przypomniałbym sobie pod przysięgą ale mógłbym je tu wyrecytować z absolutną pewnością.

Dlatego dostają kokainę po bardzo korzystnej cenie.

Meadows skrzywił się na widok strzykawki.

- Jestem tu nowy. Pewnie Manny panu mówił.

- Nie musiał - odparł McRae. Zanurzył igłę w rozpuszczonej kocie i wciągnął zawartość łyżeczki do strzykawki. - Znam wszystkich w Miami.

- Więc na pewno mówi pan po hiszpańsku.

- Oczywiście. Kogo pan tu zna? Tylko Manny'ego, tak? - Śmiech prawnika przypominał szczekanie dobermana. Zacisnął wiśniowy krawat wokół lewego ramienia powyżej łokcia i popatrzył surowo na Meadowsa.

- Bez obaw. Igła jest czysta jak świeży śnieg. Dostałem ją od lekarza. -McRae znów zachichotał i gładko wprowadził igłę do grubej żyły. Meadows odwrócił wzrok.

- O, tak... - westchnął prawnik. Strzykawka już leżała na biurku. Przyłożył do ranki watkę i opuścił rękaw. - Jezu, to jest to!

Meadows zaczął wstawać, ale McRae powstrzymał go gestem.

- Nie zaprosiłem pana tutaj na lekcję farmakologii - powiedział sucho.

-Słyszałem o waszej wyprawie w plener. Prawdziwy pech, co?

Meadows zacisnął zęby. Prawniki zapalił skręta z marihuaną. Nie poczęstował go.

- Manny tkwi po uszy w gównie. Ale to nie pana wina.

- Chodzi o Alonzo?

- Gorzej, bo nie tylko o niego. - Prawnicy zwilgotniały oczy; koka zadziałała. Zaciągnął się łapczywie skrętem.

- A o kogo jeszcze?

- Imiona czy nazwiska nic panu nie powiedzą; w Atlancie nie są znane.

Alonzo nic nie znaczy, to lokaj. Chodzi o braci Diego, a nawet o Ignazio.

Meadows zamrugnął. -Nie rozumiem...

- Manny zaważył sprawę trzeci raz w ciągu trzech miesięcy. A po trzech wypadkach wylatuje się z interesu. Stracił kokę wartą pół miliona. Musi pan być zorientowany, co się dzieje w Miami od kilku tygodni. Liczy się każda dostawa. Taką akcją trzeba wykonać niezwykle precyzyjnie.

- Wiemy, gdzie jest towar - parsknął Meadows. - Potrafilibyśmy go odnaleźć.

148

McRae uniósł ręce.

- Spokojnie, to nie pana wina. Mówię to, bo jest pan tu nowy. Nie chciałbym, żeby od razu wpadł pan w kłopoty. - Pochylił głowę, a potem odrzucił ją do tyłu. - Jezu Chryste, cudowne uczucie!

- Za mało wiem, żeby wpaść w kłopoty - zauważył Meadows.

- Przed przyjazdem tutaj nie dostał pan żadnych wskazówek od przyjaciół?

- Powiedzieli mi tylko, że całym interesem kręci kubański bankier.

- Ma pan sprytnych znajomych. Co jeszcze mówili?

- Żebym dziękował Bogu, że nie jestem Kolumbijczykiem.

- A to dobre! - ryknął ze śmiechem McRae. - Całkiem słusznie.

- Rennie?

Meadows odwrócił się na krześle. W drzwiach stała piękna blondynka o sennym spojrzeniu.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

- Ależ nie, kochanie - zapewnił łagodnie prawnik. - Chodź do mnie. -Posadził sobie dziewczynę na kolanach. - To Donna, panie Carson. Jedna z moich sekretarek.

- To tylko częściowa prawda - powiedziała Donna i zaczęła łaskotać McRae'a. Chichotał jak czterolatek.

Pizamowe party, pomyślał Meadows. Tylko tego mi potrzeba.

- Byłeś niegrzeczny, przyznaj się - drażniła się Donna. - Gotowałeś tutaj biały proszek.
 - Przestań... proszę cię - krztusił się prawnik.
 - To daj mi trochę.
 - Już nie mam.
 - Niedobry chłopczyk. Nie szczyp mnie w cycuszki. Zachowywali się, jakby byli sami.
 - Dawaj proszek. - Donna przechyliła się na kolanach McRae'a i wysunęła jedną z szuflad biurka.
- Meadows zamarł. Z napięciem wpatrywał się w lśniącą pękatą torbę kokainy. Co najmniej pół kilo! Prawniki zamknęły szufladę.
- Nie teraz, kochanie. Mamy gościa. Ale nie przejmuj się; twierdzi, że na pewno nie jest Kolumbijczykiem.
 - Całe szczęście. - Donna spojrzała na architekta. - Zresztą nie wygląda.
 - Dlatego jeszcze żyje - wybuchnął śmiechem McRae. - Większość moich klientów nie przepada za nimi. Zejdź ze mnie, kotku. Nie mogę oddychać.
- Meadows postanowił przycisnąć prawnika.
- O co chodzi z tymi Kolumbijczykami?
 - Cholerne, chciwe pastuchy. Zupełna wiocha! Pchają się na chłama do interesu. W Atlancie też na pewno mieliście takie problemy.

149

Meadows przytaknął.

- Czarni i biali. Przyjacielska, południowa rywalizacja.
 - Tutaj nie jest przyjacielska - odparł McRae. - Tu są Kubańczycy i Kolumbijczycy. Próbowaliśmy ich ostrzec. Kilka miesięcy temu wyrwałem im trochę towaru z jednego frachtowca. Ale wyszło nie tak i zabili miejscowego chłopaka. To doprowadziło do paskudnej sprawy w Coconut Grove i...
 - Czytałem o tym.
 - Niepotrzebna rozróżba - westchnął prawnik. - Zrobił się szum. Donna zarzuciła mu opalone ramiona na szyję i pocałowała namiętnie.
- Po chwili znów zapomnieli o Meadowsie. Architekt wstał i ruszył do drzwi.
- Dzięki za ostrzeżenie, Rennie - powiedział. Grubas na moment uwolnił się od dziewczyny.
 - Nie ma sprawy, stary. Chyba już wiesz, co robić: odetnij się od tego, i to szybko.
 - Postaram się - obiecał Meadows.
 - Żadnych wypraw w plener.

Meadows znalazł łazienkę, potem wziął kolejnego drinka i wyszedł na patio. Dwudziestoczworopiętrowe pudełko, górujące nad Brickell Avenue, pomyślał kwaśno. Zaprojektowane przez jakiegoś szwedzkiego tępaka. Widok za trzysta tysięcy dolarów. Za wodą uliczne lampy sodowe odbijały się w kopule Seaquarium, ośrodka badań podwodnych i przystani hydroplanu „Flip-per”. Na północy linia nieba błyszczała nad bulwarem. Niezbyt imponująca panorama, stwierdził Meadows. Poszukał wzrokiem wież Coral Key Bank. Po

chwili wrócił myślami do kokainy.

- Hej, Chris! Zobaczył Jill.

- Wkurzyłeś się na mnie, czy co?

- Nie, dlaczego?

- Poszedłeś po drinka i zniknąłeś. Meadows uśmiechnął się słabo.

- Po drodze zatrzymał mnie nasz gospodarz. -Aha... Szukali cię jacyś faceci.

Meadows szybko wszedł do środka. Manny i Moe siedzieli w rogu po obu stronach faceta z cygarem. Wyglądał na prymitywnego twardziela. Meadows przycupnął obok Moe, a Manny przedstawił go Alonzo.

Dwaj Kubańczycy rozmawiali ze sobą po hiszpańsku. Podśluchane zdania uspokoiły Meadowsa.

- On jest w porządku - mówił Manny. - Był z nami w nocy i nie nawalił. -Ale mieliście jakieś problemy - odezwał się po angielsku Alonzo.

- Ktoś nas zaskoczył - przyznał Moe.

- Przeszkodził nam - poprawił Manny.

150

- To moja wina - ciągnął Moe. - Nacisnąłem klakson, bo myślałem, że to gliny. Alonzo milczał.

- Dobrze zrobił - wtrącił Manny. - Przyjechał jakiś samochód. Nie widzieliśmy, kto to jest.

Alonzo strząsnął popiół na ekstrawagancki dywan Renniego McRae.

- Robiłeś to pierwszy raz, Chris? - zapytał. Meadows miał język jak papier ścierny.

- Tak.

- Nie brałeś jeszcze udziału w czymś takim?

- Nie, nawet w niczym podobnym. - Wszyscy się roześmieli, ale to nie rozładowało napięcia.

- Odzyskam ten towar, Al - zapewnił Manny po chwili. - Daj mi tylko noc lub dwie.

Alonzo pokręcił głową i Manny szybko odpowiedział po hiszpańsku. Alonzo też przeszedł na ten język.

- Nie teraz. Będzie spotkanie. Przez kilka dni ładnych interesów. Każdy bierze krótki urlop. Wielki człowiek chce skończyć z tym obłędem.

Moe szturchnął Meadowsa i znacząco wzruszył ramionami. Nie rozumiał ani słowa. Meadows wzniosł oczy ku niebu, Udając to samo. W rzeczywistości wyęczał słuch. Manny był zły.

- Co nam da jakieś spotkanie? Nic się nie zmieni, przyjacielu. Kolumbijczycy chcą tu robić interesy i przejmą nasze. Mój(twój, braci Diego... My będziemy chodzić na spotkania, a oni do banku.

- Spokój! - uciszył go Alonzo. - Od kiedy chłopak na posyłki zna się na takich sprawach.

Manny zamknął się na moment. Meadowsowi waliło serce.

- El Jefe nie dowie się, że pozwoliłeś mi wrócić po towar - znów zaczął Manny. - To wielka figura. Ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie dowie się? - zadrwił Alonzo. - Już wie, że przesyłka nie dotarła na miejsce.

Manny wstał i odszedł.

- Wybaczcie nam - przeprosił po angielsku Alonzo. - Drobną wymianę zdań. Posłuchaj, Moe...

-Tak?

- Twój przyjaciel Manny ma bardzo kiepską pamięć. Często zapomina, kto tu rządzi.

- Wiem, Al - przytaknął ponuro Moe. - Już mówiłem, że to moja wina.

- Teraz to nieważne. Dopilnuj, żeby Manny zastósował się do mojego polecenia. Na razie żadnego handlu. Przynajmniej do końca tygodnia. W weekend odbędzie się spotkanie. Na pewno zapadną ważne decyzje. - Alonzo zakaszał i wypuścił obłoczek niebieskiego dymu. - Dobrze znasz Manny'ego, Chris?

151

- Poznaliśmy się dopiero wczoraj. - Meadows wiedział, że Moe obserwuje go uważnie. - Wydał mi się w porządku.

Część gości zaczęła tańczyć przy kasecie Jimmy Buffetta. Alonzo musiał podnieść głos.

- Manny'emu czasem puszczają nerwy. Staje się impulsywny. Wystrzegaj się tego, Chris. Bądź opanowany, a trafi ci się niejedna robota.

Alonzo poklepał Meadowsa po ramieniu i architekt uśmiechnął się. Uznał, że współpracując z nimi dalej, nic więcej nie zdoła. Czas zakończyć tę zabawę.

-1 co teraz? - zapytał Moe. Alonzo wzruszył ramionami.

- Chyba wyprostuj to wszystko. Pargo con salsa verde i podzielą świat przy cafecitos. Dios, nigdzie nie dają lepiej zjeść, niż w „Cumparsi”.

- W „Cumparsi”? - zainteresował się Meadows.

-To dopiero jest restauracja, człowieku! - wychwalał dalej Alonzo. -Trzeba być Kubańczykiem, żeby ją znać. - Poglaskał się po brzuchu. — Nie ma takiej drugiej w Małej Hawanie.

Meadows potrzebował pretekstu, żeby wrócić do holu, i po kilku minutach znalazł go: Jill stała przy barze ze sprzedawcą samochodów saab. Ośmielony kokainą i bourbonem Meadows objął ją w talii i odciągnął na bok.

- Nagle znów jesteśmy przyjaciółmi? - zdziwiła się.

Zaprowadził dziewczynę pod uchylone drzwi gabinetu McRae'a i zajrzał do środka. Pusto. Głos prawnika dochodził z salonu, gdzie rozpoczęły się chóralne śpiewy.

- W porządku - mruknął Meadows. - Nareszcie sami. - Zamknął drzwi i przekręcił klucz. Jill stała na baczność i wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Nie rozumiem cię - szepnęła gwałtownie. Meadows pocałował ją w rękę.

- Rozbierz się. Mamy mało czasu.

Pospiesznie zdjęli ubrania i położyli się na dywanie. Meadows kochał się beznamiętnie, mechanicznie. Wędrował myślami od Mono do Terry, to znów

od Octavio Nelsona do Sandy Tilden. Po dziesięciu minutach było po wszystkim. Przez chwilę leżeli obok siebie spoceni, oddychając szybko. Do ich ciał przyłgnęło długie włosie dywanu.

- Koniec przyjemności - odezwała się ironicznie Jill. - Czas do łazienki.

Zniknęła, zanim Meadows zdążył wciągnąć spodnie. Podbiegł bez koszuli do biurka prawnika. Znalazł kokainę w górnej szufladzie z lewej strony. Chwycił plastikową torbę i wtedy w głębi zobaczył broń. Wzdrygnął się, jak na widok grzechotnika.

Wahał się, czy nie zabrać chromowanego pistoletu, ale zrezygnował; pewnie był zarejestrowany, a więc łatwy do wytopienia.

152

Okręcił torbę z kokainą, żeby ją szczelnie zamknąć, i zgrabnie zawiązał na supeł. Przypominała teraz wielkością piłkę do softballa. Ważyła wystarczająco dużo, by przy mocnym rzucie wybić szybę.

Za zaciągniętymi zasłonami na wprost biurka znajdowały się oszklone drzwi na mały balkon. Meadows wyszedł na zewnątrz w wilgotne, nocne powietrze. Przechylił się przez balustradę i poszukał wzrokiem dogodnego miejsca.

Siedemnaście pięter niżej dostrzegł żywopłot, a za nim kawałek ziemi pokryty darnią. Pod palmą stała ławka zwrócona ku zatoce Biscayne.

Gdyby torba wylądowała za daleko od budynku, mógłby ją zauważyć ktoś idący wzdłuż wody. Pozostał zatem żywopłot. Meadows wiedział, że jeśli chybi, będzie musiał natychmiast opuścić przyjęcie i odzyskać towar.

Sprawdził, czy na dole nie ma przechodniów. Nikogo. Do jego uszu dochodziły tylko odgłosy samochodów na bulwarze i przytłumiona muzyka z mieszkania. Wychylił się i upuścił torbę z kokainą prosto na krzaki. Nie widział, gdzie upadła, ale usłyszał szelest.

Odwrócił się i zrobił krok w stronę szklanych drzwi. Nagle zamarł. Za zasłonami zamajaczyła czyjaś postać. Kręciła się wokół biurka. Meadows usłyszał męski głos i rozpoznał prawnika. Serce podskoczyło mu do gardła. McRae przyszedł po następną działkę!

Gospodarz przyjęcia opadł na krzesło i zaczął przetrząsać szuflady.

Meadows widział przez szparę w zasłonach łysinę na czubku jego głowy. A także swoją koszulę, skarpetki, i buty w rogu pokoju. Modlił się, żeby adwokat nie rozejrzał się.

- Jasna cholera! - zaklął pod nosem McRae.

Meadows wstrzymał oddech. Prawnik dotarł już do górnej lewej szuflady. Z hałasem położył na blacie chromowany pistolet. Był wściekły. Wtem zerwał się z krzesła.

- Jezu Chryste! - ryknął.

Zaraz zobaczy moje rzeczy, pomyślał Meadows. Przeszuka gabinet... Miał nerwy napięte do ostateczności. Nagle jego uwagę przykuł duży, szklany przycisk do papierów w kształcie jabłka.

McRae stał tyłem do balkonu. Meadows wsunął się do pokoju i podbiegł do niego. Prawą ręką chwycił go za spocony kark i popchnął. Grubas uderzył

kolanami w biurko i z jękiem padł twarzą na blat.

Meadows przyciskał mu głowę do biurka. Lewą ręką zrzucił pistolet na podłogę i złapał szklane jabłko.

- Co jest, do ciężkiej cholery? - wymamrotał prawnik, próbując przekręcić szyję, żeby zobaczyć napastnika.

Ale Meadows nie puszczał. Niezgrabnie uniósł przycisk i walnął adwokata w skroń. Wiedział, że nie zadał mocnego ciosu.

McRae zdołał chwycić go za przedramię, więc uderzył jeszcze raz. Jabłko rozprysło się, a prawnik upadł na dywan. Miał zamknięte oczy i krwawił.

153

Meadows jakimś cudem uniknął skaleczenia dłoni. Podeszedł do drzwi i przekręcił klucz.

McRae jęczał chrapliwie. Meadows z trudem przekręcił go na brzuch i zawiązał mu oczy chusteczką.

Po szybkich oględzinach upewnił się, że rany są powierzchowne i prawnik przeżyje. Miał tylko zdartą skórę. Oddychał głęboko i prawie regularnie.

Meadows ubrał się w pośpiechu. Ręce tak mu się trzęsły, że ledwo poradził sobie z zapięciem koszuli. Potem jeszcze raz przyjrzał się adwokatowi, zgasił światło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W salonie minął Jill i objął ją w talii. Znów rozmawiała ze sprzedawcą samochodów.

Moe drzemał pod szklanym stolikiem do kawy. Meadows potrząsnął jego ramieniem, ale bez skutku. Rozejrzał się za Mannym i zauważył go na sofie z Alonzo.

- Muszę lecieć - oznajmił.

- Ja chyba też się zmyję - odrzekł Manny. - Koka się skończyła... Idę z tobą.

- Trafię do wyjścia - zapewnił Meadows. - Nie przeszkadzaj sobie. Alonzo wstał.

- Już wszystko obgadaliśmy. Nie będę go zatrzymywał. Miło było cię poznać, Chris.

- Wzajemnie.

- Zabiorę Moe - powiedział Manny. Meadows mszył do drzwi.

- Dobra, zaczekam na dole.

Budynek miał dwie windy; po jednej na każdym końcu korytarza. Meadows przypuszczał, że Manny i Moe wybiorą tę bliżej mieszkania McRae'a. Gdyby udało mu się zjechać samotnie, zyskałby trzy do czterech minut przewagi. Zdążyłby odnaleźć i ukryć kokainę. Gdyby Manny musiał nieść Moe, miałby jeszcze więcej czasu.

Winda stała na dziesiątym piętrze. Meadows wcisnął guzik i niecierpliwie czekał. Nasłuchiwał, czy nie otwierają się drzwi apartamentu prawnika. Gdy wreszcie wszedł do kabiny, kilkakrotnie wdusił przycisk „Zamknięte”.

Na parterze przebiegł hol i wypadł na parking. Schylił się i szybko okrążył budynek. Po stronie nabrzeża zadarł głowę i poszukał wzrokiem okien McRae'a. W gabinecie z balkonem wciąż było ciemno.

Zaczął przeszukiwać krzaki w strefie zrzutu. Łuna miejskich świateł na horyzoncie wystarczająco oświetlała teren.

Torba z koką leżała wśród liści i korzeni. Meadows podniósł ją i sprawdził, czy nie pękła. Przycisnął ją do ciała na wysokości pasa i swobodnym krokiem poszedł na parking.

154

Zerknął w górę i natychmiast przyspieszył. Ktoś zapalił światło w gabinecie. Meadows skręcił za róg i puścił się pędem do samochodu.

Octavio Nelson naciągnął poduszkę na głowę niczym hełm. Wstawaj, llamos - przynagliła żona.

- Za dziesięć minut - mruknął detektyw.

- Już. Dzwoni twój brat. Lepiej podejdź do telefonu.

Nelson powlókł się do kuchni po kawę. Roberto może zaczekać te cholerne kilka minut. Co się stało, że zawraca mi głowę o dziewiątej rano w wolny dzień? A przede wszystkim, po co w ogóle dzwoni?

Roberto nawet się nie przywitał.

- Wpakowali pocisk w mój samochód, Octavio.

- Co za strata! W tego bajeranckiego merca?

- Jezu, wysłuchaj mnie! Wychodzę rano z domu, a w drzwiach od strony kierowcy jest dziura wielkości kuli do kręgli. Zmieściłaby się w niej moja pięść. Musieli walnąć z działka. Przed moim domem, Octavio!

- Chcesz, żebym sporządził raport?

- Nie, hermano - zaskomlał Roberto. - Potrzebuję twojej pomocy. Myślą, że rąbnąłem im trochę towaru.

- Towam? - zapytał z rozbawieniem Nelson. - To znaczy kokainy?

- Tak. Na balandze u jednego prawnika. Miał w biurku pół kilo czy coś koło tego. Ktoś mu to gwizdnał. Podejrzewają mnie.

- A zrobiłeś to?

- Chryste, skąd! Nie jestem taki głupi, Octavio. Znam tych facetów. Widuję się z nimi codziennie. Nigdy nie wyciąłbym im takiego numeru. Wiem, co potrafią, jak ktoś ich skubnie.

Nelson pociągnął łyk gorącej kawy.

- Widocznie ci nie ufają Roberto.

- Byłem w tamtym pokoju najwyżej dwie minuty. Z panienką. To wszystko.

- Brzmi jak książkowy romans - zauważył Nelson.

- Jezu! Oni nie żartują, Octavio. Zabiją mnie. Przyjedź i zobacz, jak wygląda mój samochód.

Nelson poczuł się bardzo zmęczony. Omal nie odłożył słuchawki.

- Czego ode mnie chcesz?

- Muszę zniknąć z miasta na kilka dni. Potrzebny mi transport na lotnisko.

- Wezwij taksówkę.

155

- To kiepski pomysł. Oni pewnie obserwują dom. Taryfa ich nie zniechęci.
- Ach, tak? Ale policyjna eskorta, owszem? Rozumiem. - Nelson aż się zagotował. - Gdzie jesteś?
- W domu. -Sam?
- Prawie - odrzekł Roberto Nelson.
- Spław ją. Przyjadę za dwadzieścia minut.
- Tak po prostu?
- Nigdzie nie wychodź - rozkazał Octavio Nelson. Wyłączył się i dopił mocną gorącą kawę.

Akta muszą być prowadzone porządnie. Inaczej są do niczego.

Wilbur Pincus tak między innymi wyobrażał sobie zorganizowaną pracę policyjną. Dlatego zawsze przepisywał swoje notatki na maszynie. W mieszkaniu miał około czterdziestu notesów z zapiskami służbowymi.

Trzymał je w kartonowym pudełku w szafie ubraniowej. Ich zawartość dawno zredukował do zwięzłych maszynopisów.

Z wyjątkiem jednego notesu. Na niebieskiej okładce widniały cyfry 10-17-80 i litery WP. Zapisana była zaledwie połowa kartek, ale ich treść dotyczyła tylko jednej sprawy.

Pincus znał fakty na pamięć. Gdyby kiedykolwiek doszło do rozprawy sądowej, prokurator stanowy nie musiałby go ciągnąć za język. Oczywiście nie spodziewał się, by to w ogóle nastąpiło.

Chodziło o sprzedaż czterech kilogramów kokainy. Zdarzenie miało miejsce na parkingu przy podmiejskim pasażu handlowym oddalonym o piętnaście minut drogi od Miami. Octavio Nelson dostał cynk od jednego ze swoich telefonicznych informatorów. Nie wiedział, na ile pewna jest wiadomość, więc nie poprosił o wsparcie.

Pincus i Nelson czekali półtorej godziny. Co pewien czas zmieniali punkt obserwacyjny i krążyli wokół parkingu dodgem Nelsona. Przyjechał ciemnoczerwony furgon. Wysiadł z niego mężczyzna. Podeszedł do niebieskiego chev-roleta malibu, wyciągnął z kieszeni kluczyki i otworzył bagażnik. Wyjął granatową torbę sportową adidasa, zatrzasnął kufer i wrócił do swojego samochodu.

- Idziemy - zdecydował Nelson i sięgnął do klamki. Detektywi szybko przecięli parking i podeszli do furgonetki.
- Buenos dias - powitał kierowcę Nelson.
- Buenos diaz. Nelson błysnął odznaką.
- Chciałbym z panem porozmawiać.

156

- Proszę bardzo - odrzekł mężczyzna. Wyglądał najwyżej na dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Był w dżinsach i wiśniowej koszulce tenisowej od Diora. Miał bardzo wysoko wygolone baczki i ślad zarostu nad górną wargą.

- Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy? - zapytał Nelson.

- Przykro mi, ale niestety nie mam go przy sobie. - Chłopak wzruszył ramionami i roześmiał się z przymusem.

- Szkoda. Jak się pan nazywa? -Aristidio Cruz.

Nelson zwrócił się do Pincusa.

- Wilbur, zacznij sprawdzać w pobliskich sklepach, do kogo należy niebieski malibu. Ja jeszcze chwilę porozmawiam z panem Cruzem.

Pincus pomyślał, że bardziej sensownie byłoby obserwować chevroleta i zaczekać na właściciela. Ale nie odezwał się. Wyjął notes i mszył wzdłuż pasażu. Zapisał:

Przesłuchany D. Petri, mężczyzna rasy białej, ur. 04.03.50. Właściciel „Danny's Pizza Shack”. Twierdzi, że nic nie wie o chevroletcie na parkingu.

Przesłuchana Susan Lesser, kobieta rasy czarnej, ur. 03.12.48. Sty listka w „Pep's Poodle Emporium”, tel. 555-4457. Twierdzi, że niebieski malibu stoi na parkingu od co najmniej dwóch dni. Nie zna właściciela.

Przesłuchana Joy Burns, kobieta rasy białej, ur. 08.08.52. Pracownica butik; wykonuje nadruki na koszulkach. Twierdzi, że Chevrolet pojawił się na parkingu co najmniej dwa dni temu. Jest tego pewna, bo zauważył go jej przyjaciel, kiedy tamtego dnia odbierał ją z pracy.

Pincus wyszedł z pasażu, żeby przekazać partnerowi, czego się dowiedział. Wtedy zobaczył, że ktoś leży na chodniku obok ciemnoczerwonej furgonetki. Zaczął biec.

Później zapisał:

Na parkingu leżał Aristidio Cruz, mężczyzna rasy białej, data urodzenia i adres nieznane. Miał na głowie ranę, która obficie krwawiła. Był nieprzytomny i gwałtownie oddychał.

Kapitan Nelson oświadczył, co następuje: kiedy poprosił w/w o dowód tożsamości, ten raptownie otworzył drzwi furgonetki, które uderzyły kapitana w pierś i ramiona. Kapitan Nelson nakazał Cruzowi wysiąść z samochodu i podnieść ręce do góry, ale w/w zaatakował go pięściami.

Kapitan Nelson kilkakrotnie uderzył Cruza, żeby go unieszkodliwić, co nie poskutkowało. Kapitan wyjął wtedy latarkę służbową kel-lite i został zmuszony do uderzenia nią kilkakrotnie w/w, by móc nałożyć mu kajdanki.

Kapitan Nelson polecił mi wezwać karetkę pogotowia. Podczas przeszukania furgonetki o nr. rejestr. JOG-737Fl. znaleziono: jedną rakietę tenisową, 157

trzy piłki tenisowe, dwa ręczniki, trzy papierosy z marihuaną oraz torbę sportową adidas z zawartością czterech kilogramów białego proszku w plastikowych woreczkach (późniejsze badanie wykazało, że substancja była mieszaniną kokainy i lidokainy).

Zatrzymany Cruz został odwieziony do Centrum Medycznego Flagler. Zarzuty przeciwko niemu to stawianie czynnego oporu przy aresztowaniu oraz posiadanie niedozwolonej substancji w celu jej dystrybucji.

To wszystko Pincus starannie zapisał w niebieskim notesie. Ale niezupełnie taka wersja znalazła się w oficjalnym protokole aresztowania. I nie całkiem to usłyszała komisja wydziału wewnętrznego.

- Wyświadczyć mi przysługę - poprosił Nelson tamtego popołudnia po odjeździe

karetki. - Łowcy głów będą pytać, czy nadużyłem przemocy. Powiedz im, że widziałeś, jak facet mnie zaatakował.

- Przecież nie widziałem.

- Posłuchaj, to najważniejsze aresztowanie handlarza koką w tym miesiącu. Ten Cruz to śmieć. Mogę ci pokazać stertę akt...

- Chłopak ma najwyżej dwadzieścia lat - zaprotestował Pincus.

- To nieważne - odparł Nelson. - Czeka mnie kupa roboty i szkoda mi czasu na te bzdurne przesłuchania „w sprawie użycia siły”. Dlatego proszę cię o małą przysługę.

Nie pracowali razem na tyle długo, by rozumieć się bez słów. Jeszcze nie istniała między nimi ta osobliwa zawodowa więź „wszyscy w tym siedzimy”. Pincus był ostrożny, ale również zielony.

- To żadna sprawa - ciągnął Nelson. - A któregoś dnia ty będziesz potrzebował takiej samej pomocy z mojej strony. Tak to już jest.

- W porządku - zgodził się w końcu Pincus. - Tylko nie rozumiem jednego. Jeśli ten Cruz rzucił się na ciebie, to jak zdążyłeś pobiec do samochodu po latarkę?

Nelson posłał koniec cygara.

- Wziąłem ją zaraz po twoim odejściu, zanim na mnie skoczył. Zapytałem go, czy mogę zajrzeć do furgonetki. Zgodził się, dlatego przyniosłem latarkę.

- A potem cię zaatakował?

- Zgadza się.

Więc Pincus dwukrotnie skłamał. Umieścił w raporcie to samo, co później odpowiedział facetowi z wydziału wewnętrznego: „Widziałem, jak zatrzymany Cruz zaatakował kapitana Nelsona, to znaczy zaczął go bić, gdy oficer przystępował do czynności... „

Cruz przedstawił zupełnie inny przebieg wydarzeń, ale nikt w wydziale nie przejął się tym. Aresztant mógł złożyć zeznania dopiero po trzech miesiącach, kiedy opuścił szpital i odzyskał zdolność mówienia. Przez ten czas prawie wszyscy zapomnieli o sprawie.

158

Ale nie Pincus.

Na przestrzeni kilku nast^Pnych miesięcy dodał parę szczegółów i uwag do tego, co wcześniej zapisał w niebieskim notesie:

Służbowa latarka poliC?Jna kel-lite; waga 2,9 kg.

Karta zdrowia Cruza podpisana przez doktorów Jacobsena i Krewa z wydziału neurologii Uniwersytetu w M^mi? obrażenia urazowe głowy spowodowane kilkoma uderzeniami

12.12.80. Zarzut czynne%° °Poru Przy aresztowaniu przeciwko Cruzowi oddalony przez Biuro Prokuratora Stanowego okręgu Dade bez sprzeciwu Nelsona.

02.01.81. Proces CruzP o posiadanie kokainy odroczony z powodu hospitalizacji jego obrońcy.

04.07.81 Ugoda w spfífW*eposiadania przez Cruza niedozwolonej substancji

w zamian za maksy-1™ dwuletni wyrok.

09.08.81. Cruz zwolnic areszt zaliczony na poczet kary.

Jeszcze długo po zamJ0"10"1 sprawy Pincus zastanawiał się, dlaczego w słoneczne popołudnie Octavio Nelson potrzebował latarki do przeszukania furgonetki Cruza.

Gdy pewnego dnia po raz kolejny przeglądał w domu notatki, uznał, że nadszedł czas, by rozpakow^ac walizkową maszynę do pisania Smith-Corona. Dostał ją od rodziny w nagi'006-za ukończenie akademii policyjnej. Przepisał na niej treść notesu, dodając ^ochą szczegółów, które w trakcie pisania przyszły mu do głowy. Wszelki^ błędy starannie poprawiał korektorem.

Akta muszą być prow^0116 porządnie. Inaczej są do niczego.

Octavio Nelson zmiażdżiM brata wzrokiem.

- Nie działa, no i co z ^8°?

- Jest ponad trzydzieści1 stopni.

- Klimatyzacja w tym ^samochodzie wysiadła trzy lata temu - odparł Nelson. - Jak ci nie pasuje, mc?zesz wysiąść i zamówić sobie limuzynę.

Roberto Nelson odwrócił głowę-' spojrzał na zatokę Biscayne. Przez chwilę podziwiał kolorowe żagl^ jachtów regatowych sunących na północ. Wolał nie patrzeć na brata. Obawi»ał się- kolejnej kłótni.

- Gdzie jest Suzanne? - zapytał ostro Octavio.

- W Nowym Jorku - ?xk2^ Roberto. - Albo w Montrealu.

- Wie, że wyjeżdżasz?

- Zostawiłem jej wiad^mość- Wroce- Przed k°ńcem tygodnia.

- Dokąd się wybierasz^

- W interesach - Robt^rto Nelson jęknął w duchu. Przed nimi unosił się zwodzony most na szosie MacArthura. Na przepłynięcie czekała w porcie 159

Miami ogromna barka w asyście trzech dymiących holowników. Roberto został uwięziony sam na sam z bratem na co najmniej piętnaście minut. Wiedział, co teraz będzie.

- Widziałeś się ostatnio z mamą? -Nie.

-Wygląda lepiej.

- To dobrze. - Roberto sięgnął do radia na desce rozdzielczej, ale brat chwycił go za nadgarstek.

- Zostaw to. Jeśli czegoś tutaj słuchamy, to tego... - wskazał policyjny odbiornik firmy General Electric. Był wyłączony. - Jesteś w tarapatach, hermano. Zgadza się?

- Si, un poquito.

- Pytałem, dokąd się wybierasz?

- Nie uciekam, jeśli o to ci chodzi. Pewnie tak myślisz, co? Gliny zawsze mają jakąś teorię, nie?

Octavio Nelson roześmiał się pogardliwie. Co za drażliwy facet, ten jego brat. A jaki dumny. I taki tajemniczy...

- Mama ciągle o ciebie pyta - powiedział.

- I co jej mówisz?

- Kłamię.

Roberto Nelson odwrócił się gwałtownie i po raz pierwszy spojrzał bratu prosto w oczy.

- Co jej mówisz? - powtórzył.

- Że jesteś doskonałym przedsiębiorcą. Prawdziwym specem od importu i eksportu.

Roberto zarumienił się i odwrócił głowę.

- Wiesz, jaka ona jest. Czasem zastanawia się, skąd jej mały synek wzięł pieniądze na taki dom. Mówię jej, że sprzedajesz ratanowe meble za miliard dolarów rocznie. Że jesteś najlepszy w Miami.

Most opadł. Octavio uruchomił silnik i ruszył. Do samochodu wpadło trochę świeżego powietrza. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Kiedy Nelson podjeżdżał długim łukiem do międzynarodowego portu lotniczego, widok pięciu wielkich garaży przypomniawszy mu o Meadowsie. Gdzie on jest, do cholery? Jeśli włóczy się ze spluwą... Wczoraj detektyw znowu dzwonił do mieszkania przyjaciółki architekta na Key Biscayne i do jego domu w Coconut Grove. Nikt nie odbierał telefonu. Meadows zszedł do podziemia i Nelson martwił się, w jakich okolicznościach wypłynie.

Pomyślał o czymś innym. Co to za se?ora Lara, która dzwoniła dwukrotnie w ciągu ostatnich dni? Mówiła, że to pilne, ale nie zostawiła telefonu. Podobno chodziło o coś, co chciałby wiedzieć. Hm... Chciałby wiedzieć mnóstwo rzeczy, począwszy od...

- Tu będzie dobrze.

160

-Co?

- Możesz mnie wysadzić tutaj - odrzekł Roberto.

Nelson podjechał do krawężnika i zatrzymał się pod pomarańczowo-białym szyldem Avianca Airlines. Roberto wysiadł i przez chwilę zmagając się z tylnymi drzwiami samochodu. Wreszcie otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

Ostrożnie podniósł z siedzenia podróżną torbę na garnitury i starannie ją wygładził. Zatrzasnął drzwi i tak gwałtownie nachylił się do okna pasażera, że omal nie spadły mu okulary przeciwsłoneczne.

- Dzięki za podwiezienie.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Nelson.

- Po powrocie zadzwonię do ciebie z lotniska - obiecał Roberto.

- Lepiej wezwij taksówkę - warknął detektyw. - Koniecznie z klimatyzacją.

Mężczyźni rozstali się. Roberto poszedł po bilet, jego brat odjechał do domu. Była dokładnie jedenasta dwadzieścia osiem przed południem.

Godzina została starannie zapisana w niebieskim notesie Wilbura Pincusa, który siedział w swoim samochodzie w pobliżu zatoki bagażowej Eastern Airlines i z napięciem obserwował scenę pożegnania.

Spróbuję jeszcze raz - powiedziała Terry. Wsunęła stopy w drewniaki i

przebrnęła przez gorący piasek do automatu telefonicznego przy starej latarni morskiej. Lekka bryza kołysała palmami kokosowymi. Był wysoki przyptyw i woda iskrzyła się w słońcu. Idylliczna sceneria. Ale Terry to nie obchodziło.

- Con el capitan Nelson, por favor.

- Es el que habla.

Terry przeszła na angielski.

- Trudno pana złapać, kapitanie. Mówi senora Lara.

-A tak, dostałem pani wiadomości, senora, ale byłem bardzo zajęty. To tu, to tam, i tak w kółko. A pani nie zostawiła swojego numeru. Czym mogę służyć?

- Mam pewne informacje.

- O... - zdziwił się Nelson.

- O kimś, kogo pan szuka. -Tak?

- W barrio nazywają go el Jefe.

11 - Kokainowe wydmy

161

- Czy to może biznesmen?

-Niech pan nie udaje głupiego! Oboje wiemy, co to za biznes. -Bueno. Słucham.

- Nie przez telefon. -A jak?

Terry zaczynała się niecierpliwić.

- Jeśli zdecyduję się z panem rozmawiać, to w absolutnej tajemnicy.

- Oczywiście.

- Spotkajmy się.

- Proszę bardzo.

- Dziś o ósmej wieczorem w głównym pasażu handlowym w Southland. Niech pan przyjdzie sam.

- Dobrze. Jak panią poznam?

- Wystarczy, że ja pana poznam.

- Bueno.

- Jeszcze jedno, kapitanie. -Tak?

- El Jefe zabił mojego brata. Chcę, żeby za to zapłacił.

Chris Meadows leżał na plecach i prażył się w popołudniowym słońcu. Terry ściągnęła cienką koszulkę okrywającą jej białe bikini i popatrzyła na niego z czułością. Z długimi włosami wyglądał inaczej i zmienił się na twarzy. Może pozostało w nim coś z łagodnego architekta, ale teraz przesłaniał go niebezpieczny twardelec. Terry wzdrygnęła się z zachwytem i położyła obok.

- Połknął haczyk - oznajmiła. Meadows nie otworzył oczu.

- W porządku. - Mógł udawać, że drzemie, ale ona wiedziała swoje.

Rozmyślał. Planował każde posunięcie z taką dokładnością jakby projektował budynek.

- Tyle razy powtarzałam sobie, co mam mu powiedzieć, że mogło to wypaść trochę teatralnie. Ale chyba nieźle się spisałam.

- Mhm.

- Na pewno przyjdzie. I to sam.
- Świetnie.
- Sądząc po głosie, ten twój kapitan Nelson to bardzo egzotyczny mężczyzna. Szalenie podniecający. W kimś takim mogłabym się naprawdę zakochać.

-Fakt.

Terry gwałtownie usiadła.

- Chris! Mówię do ciebie. Traktujesz mnie jak powietrze. Meadows uniósł jedną powiekę.

162

-Ależ, Terry... - mruknął. Jego ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że nie zamierza powiedzieć nic więcej.

- Nie wiesz, co to znaczy być ignorowanym, dopóki nie zignoruje cię lew - parsknęła bardziej z zazdrością niż z rozdrażnieniem. - Idę popływać. Kawałki pasowały do siebie całkiem dobrze. Meadows uznał, że nie będzie to najpiękniejsza konstrukcja, jaką dotąd zaprojektował, lecz zapewne stworzona z największym zaangażowaniem. Nic zachwycającego, ale też nie domek z kart. Nie przetrwa długo, jednak wytrzyma burzę rozpętaną przez jednego człowieka. A to wystarczy.

Wciąż brakowało ostatniego ważnego łuku, ale wiedział, że z czasem rozwiąże ten problem. Architekt T. Christopher Meadows sobie poradzi. Minęły zaledwie dwa dni od ucieczki z przyjęcia u prawnika do mieszkania Terry. Wpadł tam spocony i podniecony, ściskając torbę skradzionej kokainy. Terry czekała rozespana i ponętna. Miała na sobie tylko męską koszulę z długimi rękawami. Była wściekła.

- Jest trzecia nad ranem, Chris! Gdzie się podziewałeś? Dlaczego nie zastałam cię tu po powrocie? - Stała potargana w progu ciemnej sypialni i trzymała ręce na biodrach. Na szeroko rozstawionych nogach przypominała boksera. Przyglądała mu się podejrzliwie, jakby nie mogła się zdecydować, czy rzucić mu się na szyję, czy mu przyłożyć. - Coś ty zrobił z włosami? Co się stało z twoją twarzą? Co jest w tej torbie?

- Masz jeszcze jakieś pytania, czy już mogę powiedzieć „witaj w domu”?

Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś kiedy wracasz, ale cieszę się, że cię widzę.

- Sama nic nie wiedziałam do dzisiejszego popołudnia. Mów, co się dzieje, carajo.

- To długa historia.

Meadows szybko wszedł do maleńkiej kuchni. Terry ruszyła za nim. Otworzył lodówkę i pogrzebał w zamrażalniku. Foremki z lodem, kurczak, jakieś zawiniątko w folii wyglądające na rybę, chyba pół tuzina paczek mrożonych warzyw. Wyciągnął tę na samym spodzie. Brukselka. Doskonale. Wyrzucił zawartość pudełka do zlewu, wepchnął do środka kokainę i wsunął na poprzednie miejsce. Terry patrzyła na to wytrzeszczonymi oczami. Nie odzywała się.

Meadows odetchnął z zadowoleniem.

- A teraz pocałuj mnie mocno i zrób kawę.

- Nie mam ochoty na kawę i nie pocałuję cię, dopóki nie zaczniesz się zachowywać z sensem. Co włożyłeś do pudełka?

- Kokainę.

Na moment odebrało jej mowę.

- Kokainę? - wykrztusiła w końcu.

163

- Już mówiłem, że to długa historia. Proszę cię, zrób kawę. - Kiedy Meadows szedł pod prysznic, by zmyć z siebie smak kradzieży i stewardesy, towarzyszył mu brzęk naczyń i ordynarny monolog po hiszpańsku. Po wyjściu z łazienki Meadows opowiedział szczegółowo o swoich przygodach, które nazwał żartobliwie „surrealizmem przetrwania”. Nie wspomniał jedynie o Patti i Jill. Jeśli Terry coś podejrzewała, to nie dała po sobie poznać. Przerwała tylko raz, żeby zaproponować przeniesienie się do łóżka, gdzie będzie im wygodniej. Potem dalej słuchała w milczeniu. Gdy nad Atlantykiem wstawał świt, westchnęła.

- To do ciebie niepodobne, querido. Ani trochę.

- To tak, jakby nagle złapała cię straszliwa burza. Uciekasz i rozglądasz się za jakimś schronieniem, ale wszędzie mokro. Nagle zdajesz sobie sprawę, że nic się nie stanie, jeśli zmokniesz. Może nawet ci się to spodoba.

- Brrr! - Terry wzdrygnęła się przesadnie i szczelniej owinęła prześcieradłem.

- Co teraz zamierzasz?

- No cóż... - odrzekł w zamyśleniu Meadows. - Mam już prawie wszystkie potrzebne materiały, więc chyba zacznę stawiać dom dla se?or Bermude-za i jego przyjaciół. To będzie wyjątkowa budowla.

- Gdybyś był latino, miałbyś łatwiejsze zadanie - zauważyła Terry.

- Dlaczego?

- Po prostu zabiłbyś ich. Poczuliłbyś się naprawdę dobrze. Meadows roześmiał się.

- Wolę to zrobić po amerykańsku. Przysunęła się bliżej.

- Bueno, mi amor. - Delikatnie przesunęła palcami po jego piersi, potem kilka razy wokół pępka. - Zrobisz to po swojemu, aja ci pomogę - szepnęła. - Ale teraz ty mi pomożesz, prawda? Tylko nie bądź zbyt delikatny.

Meadows uniósł ręce nad głowę i przekręcił się na plecy na białym ręczniku. Czuł przyływ adrenaliny. Wszystko układało się dobrze, tylko musiał bardzo uważać. Żonglował zbyt wieloma kulami jednocześnie. A raczej granatami. Gdyby któryś upuścił, nastąpiłaby eksplozja. Ale jedynym wyjściem było podjęcie takiego ryzyka.

Manny, Moe oraz głupiutka Patti mogli być niebezpieczni. Chris Carson zniknął z ich życia bez pożegnania. Jaki wniosek z tego wyciągnęli? Że chudy, nerwowy nowicjusz z Atlanty ukradł kokę Renniemu McRae? Czy prawnik zdołał dostrzec jego twarz? A może wydedukowali to dopiero później, kiedy wyparował z nich alkohol i kokaina? Czy będą go szukać? Zapewne. Trudno przewidzieć, z jakim skutkiem. Nieważne. To płotki. A on poluje na rekina. Potrzebuje tylko trochę czasu. Jeśli znajdą go zbyt wcześnie, tym

gorzej dla nich.

164

Meadowsa niepokoiła również kokaina. Leżała w lodówce jak zdechły szczur. Prędzej czy później zacznie śmierdzieć. Nie chciał narażać Terry i gnębiło go to. Ale na razie nie wymyślił lepszej kryjówki. To też nieważne. W głębi duszy wiedział, że Terry jest twardsza i silniejsza, niż on kiedykolwiek będzie. I jeszcze Nelson. Jego Meadows nie mógł ignorować. Musiał stanąć z nim twarzą w twarz. Detektyw stanowił fundament, na którym architekt budował swoją zemstę. Ale czy można mu ufać? Pewnie nie. Kubański gliniarz zadba przede wszystkim o własny interes. Meadows obawiał się spotkania z nim. Popatrzył na liście palm kokosowych szeleszczące na wietrze. Poprzedniego wieczom spacerował po pustej plaży Key Biscayne z Terry i Arthurem. Terry uważała, że Nelson dotrzyma słowa i zapomni o sprawie Mono. Arthur wręcz przeciwnie.

- Nelson to kawał podstępного sukinsyna - oświadczył. - Wykorzysta wszystko, co o kimś wie, żeby osiągnąć swój cel.

- Jest Latino - zaprotestowała Terry. - Wywiąże się z umowy.

- Tylko wtedy, jeśli tak będzie mu wygodniej - odparł Arthur.

Meadows słuchał tej dyskusji jednym uchem. Przyznawał rację Arthurowi, ale się nie odzywał. Mono to pestka w porównaniu z jego planem. Nelson się o tym przekona. Nawet, jeżeli okłamał Arthura, teraz zrozumie, że już nie warto zajmować się zabójstwem Sosy.

Meadows miał nadzieję, że przygotował dobrą przynętę i posłuży się detektywem tak, jak Nelson posłużył się nim w domu pogrzebowym. W mieszkaniu Terry leżały portrety Wieśniaka, Kalafiorowatego Ucha i uśmiechniętego, dwulicowego sukinsyna z różą w kłapie. Wytworny Jose Bermudez i tajemniczy el Jefe to ta sama osoba; Meadows był tego absolutnie pewien. Nie wiedział tylko, czy Bermudez to również „Ignazio”. Przypomniał sobie krótki wykład McRae'a. Prawnik wymówił to imię z takim szacunkiem, jakby chodziło o prezydenta albo samego Boga. A zatem el /a/e-Bermudez-Igna-zio? Imię nieważne, jak w przypadku Mono. Bez względu na to, jak facet się nazywa, Meadows go zniszczy.

Główną rolę odegrają rysunki. Nelson rzuci się na nie niczym głodny miecznik. Meadows zdradzi mu nawet nazwiska, bo w zanadrzu ma jeszcze coś. Wie, że Bermudez spotka się w Miami z Kolumbijczykami, żeby przypieczętować sojusz. Dowiedział się o tym u McRae'a. Alonzo twierdził, że nastąpi to wkrótce.

Ale kiedy? Nie ustali tego, dopóki nie znajdzie brakującego łuku. Zajmie się tym jutro. Dwugodzinne poszukiwania telefoniczne, które prowadził tego ranka, nie dały rezultatu. Alonzo z całą pewnością wymienił nazwę „Cum-parsi”. Ale restauracja nie figurowała w książce telefonicznej. Nie znali jej też w biurze numerów.

- „Cum-parsi”... -powtarzał sobie Meadows. Może jednak źle usłyszał. Choć musi być blisko. Sprawdził pod Cu, Ca, i Co. Nawet pod G i Q. Bez skutku.

Jutro spróbuje inaczej. Zapyta w którymś z dużych hoteli albo zadzwoni do Clary Jackson z „Journala”. A jeśli to nic nie da, będzie jeździł po całej Małej Hawanie, aż wypatrzy lokal. Potem to już tylko kwestia pokrycia budowli dachem.

Meadows wstał i ruszył przez piasek tam, gdzie pływała Terry. Z daleka wyglądała jak biała plamka na tle niebieskiego morza.

25

Meadows wybrał na miejsce spotkania duże centrum handlowe. W razie potrzeby mógł tu łatwo zniknąć w tłumie. Wielki pałac z gipsu i plastiku stał przy skrzyżowaniu dwóch dróg na południe od miasta. Przypominał ogromną kasę sklepową. Monstrum łączyło się z dwoma przysadzistymi supermarketami wrośniętymi w asfaltową nawierzchnię. Między nimi biegł szeroki, cztery-stumetrowy pasaż ze szklanym dachem i mniejszymi sklepami po bokach. Koncentrowało się tutaj życie sąsiedzkie podmiejskiej klasy średniej. Znudzone gospodynie domowe przesiadywały na ławkach z kochankami; zawałowcy przemierzali dla zdrowia całą długość kwiecistego dywanu na podłodze; długonogie nastolatki, których ojcowie kradli samochodowe kołpaki na parkingu, toczyły ciche pojedynki z pryszczatymi detektywami sklepowymi o kasety magnetofonowe. Meadows nie cierpiał tego miejsca, ale postanowił wykorzystał je jak Nelsona, Terry i siebie do zniszczenia Bermudeza. Wiedział, co znaczy wewnętrzny przymus działania, choć dotąd poznał go jedynie podczas nocy spędzonych przy rysownicy. Teraz to uczucie było głębsze, pochłaniało go bez reszty. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek otrząśnie się z niego.

- Mam lekką tremę - wyznała Terry. Przechadzali się pod rękę po zatłoczonym pasażu. Meadows zatrzymał się i spojrzał na nią. Była w dżinsowej spódnicy, białej bluzce i sandałach. Wyglądała zachwycająco.
- Czym się denerwujesz? Narysowałem ci jego podobiznę. Przystojny Latino. W tym tłumie będzie się wyróżniał jak goryl. - Meadows uśmiechnął się. - Poza tym, moja śliczna, natychmiast zwróci na ciebie uwagę. Na pewno pomyśli, że jeśli nie jesteś tajemnicząseworą Larą, to do diabła z nią.
- Nie gadaj głupstw. Może w ogóle nie będzie chciał ze mną rozmawiać.
- Bez obaw. Zobaczysz.
- Powiedzmy - odrzekła niepewnie Terry. - Ale czuję się tak, jak kiedyś na wielkim szkolnym przedstawieniu tuż przed podniesieniem kurtyny.
- Założę się, że kiedy poszła w górę, wypadłaś doskonale. Kogo grałaś?
- Pizarro.
- Tego konkwistadora?

166

- To była szkoła dla dziewcząt, boludo.

Właściciela księgarni „Book Baron” widocznie ruszyło sumienie, że sprzedaje szmatławą literaturę, bo z tyłu dobudował małą salę zarezerwowaną dla

floridianów. Meadows wpadał tu czasem. Teraz stał samotnie przy książkach, gdy usłyszał głos nadchodzącej Terry.

i dlatego każdy wie, że Bóg musi być Brazylijczykiem. To oczywiste. Bo kto naprawia nocą wszystkie błędy, które popełniamy w dzień?

Octavio Nelson roześmiał się. Ale kiedy wkroczył do małej sali, jego uśmiech wyglądał sztucznie.

Wyciągnął do Meadowsa rękę.

- Hola, amigo. Co słyhać w branży wykładzin podłogowych? Meadows nic nie rozumiał. Jakie wykładziny podłogowe? O czym on gada? Mieli porozmawiać o wymierzeniu sprawiedliwości. Nagle go olśniło. Młoda Latina. Piękna i natrętna. Zmarła ciotka i różaniec. Nelson chciał go zbić z tropu, sukinsyn.

- Więc tak prowadziłeś obserwację: kobieta w żałobie. Nawet nie było jej pod ręką, kiedy potrzebowałem pomocy - parsknął Meadows.

- Mnie też nie było - przyznał Nelson. - Bardzo przepraszam. Dostałem wiadomość, że jeden z moich ludzi został postrzelony i musiałem odjechać. Nie mogłem czekać.

- Jasne. O kogo chodziło? O Pincusa?

- Niestety nie - mruknął detektyw. - O Garcję. Pracował w przebraniu.

Odstawiał Wyatta Earpa przed kelnerką w barze z pączkami i postrzelił się sam. Pewnie mi nie wierzysz?

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, w końcu Meadows westchnął.

- Niech to szlag trafi. Chyba ci wierzę. To brzmi zbyt głupio na kłamstwo.

-Przeszył Nelsona wściekłym spojrzeniem. - Wiedziałeś, że mogą mnie tam zabić. Jak to by wyglądało w twoich aktach, gdybyś dopuścił do śmierci świadka?

Detektyw wytrzymał jego wzrok.

- Przeprosiłem cię.

-1 uważasz, że to wystarczy? - zadrwił Meadows. - Pojechałeś niań-czyć jakiegoś idiotę, aja czekałem, kiedy dostanę nożem w żebra! Nelson udał, że ogląda tytuły na półkach.

- To się zdarza. Więc jak ci się podoba pływanie między rekinami? Meadows uspokoił się.

- Nie jest tak źle. Ja szybko pływam.

- To dobrze. A co masz mi do powiedzenia?

- Najpierw chcę usłyszeć, co ze sprawą Mono. Nelson roześmiał się trzymając cygaro w zębach.

- Conio. To już zamierzchła przeszłość. Twój kumpel Prim nie przekazał ci wiadomości? Nikogo nie obchodzi, kto załatwił tego palanta.

-A Pincus? Jego to obchodzi.

167

- Zapomnij o nim.

- Musicie być cholernie zajęci - zauważył ironicznie Meadows. - Zabójstwa, kradzieże. Brakuje kokainy. W mieście pewnie nic nie zostało.

- Widzę, że odrobiłeś pracę domową.

Terry z roztargnieniem przerzucała książkę o orchideach. Meadows podejrzewał, że korci ją żeby zapytać, co to za historia z wykładzinami podłogowymi i jakąś kobietą. Przysiągł sobie, że jeśli teraz się wtrąci, przyłoży jej.

- Czy dwaj kolesie Mono ciągle na mnie polują?

- A skąd! To znaczy, gdyby spotkali cię na ulicy i rozpoznali, załatwiliby cię dla zasady. Ale nie szukają cię. - Nelson parsknął. - Mają co innego do roboty. Ledwo starcza im na wszystko czasu. I powiem ci, że spisują się lepiej od Mono. Pistolet, nóż, garota... Co tylko chcesz.

- Już wiesz, co to za jedni?

- Jeszcze nie.

- A ten wielki szef? Jak go nazywasz? El Jefe? Nelson pokręcił głową.

- Jezu! Nic ci nie wychodzi - zadrwił Meadows. - Masz złą passę.

- Przestań, Chris! - wtrąciła się Terry. - To nie fair. Zamiast Meadowsa odpowiedział Nelson.

-No se preocupe, se?orita. Ma rację. Bywało lepiej. - Zwrócił się do architekta. - Skończyłeś wyżywać się na mnie?

- Powiedz mi coś o Ignazio - zażądał Meadows. Nelson gwizdnął.

- Teraz mi zaimponowałeś. Tak ulica nazywa el Jefe. Skąd się to wzięło, nie mam pojęcia.

- Czy ktoś wie, kto to jest?

- Nikt, kogo przymknąłem. Naprawdę staję na głowie, żeby się tego dowiedzieć. Próbowałem wydusić to z kilku gnojków, ale bez rezultatu.

- Prawie ci wierzę - odparł ponuro Meadows.

Z trudem powstrzymał się od ujawnienia nazwiska. Miał wielką ochotę wykrzyknąć je w twarz temu zawziętemu gliniarzowi, który tak go zastraszył i upokorzył.

Ale nie uległ pokusie.

- Chcę ci powiedzieć kilka rzeczy. Dlatego Terry zadzwoniła do ciebie w moim imieniu. Uważam, że im mniej nas oficjalnie łączy, tym lepiej.

Nelson z zaciekawieniem uniósł brwi.

- Wiem, kim są nowi zabójcy - ciągnął Meadows. - I chyba wiem, kim jest twój tajemniczy Ignazio.

Detektyw włożył ręce do kieszeni. Milczał. Postanowił zachować sarkazm na później.

- Byli w domu pogrzebowym, jak powiedziałeś - mówił dalej Meadows. - Widziałem wszystkich.

168

Nelson nie wytrzymał.

- Dlaczego nie dałeś mi znać? Por Dios! Meadows uśmiechnął się.

- Ty nie zaczekałeś na mnie, więc ja nie czekałem na ciebie. Nelson zrobił groźną minę. Zacisnął pięści i postąpił krok naprzód. Meadows cofnął się.

Terry głośno wciągnęła powietrze. Nagle rozległ się głos.

- Czy dostanę Rzekę traw Marjorie Stoneman Douglas?

Kobieta miała około siedemdziesiątki, cerę koloru wilgotnego tytoniu, wydatne usta oraz siwe, kręcone włosy. Meadows nie spojrzał na nią, ale założyłby się, że jest w adidasach.

- Nie - warknął Nelson. Kobieta zwróciła się do Meadowsa.

- Pan tu pracuje, młody człowieku? -Nie.

- O, Boże! Muszę mieć tę książkę na wtorkowe spotkanie naszego damskiego kółka dyskusyjnego. Esther mówiła, że swoją kupiła tutaj.

- Na pewno nie tu - oznajmił Nelson.

-Niech pani spróbuje na zewnątrz - doradził Meadows.

- Ale to dział floridianów, prawda? Terry zachowała się wspaniale.

- Zgadza się, proszę pani, ale niestety chwilowo nie mamy tej książki.

Powinna być w przyszłym tygodniu. Z przyjemnością odłożę jedną dla pani.

- Och, to za późno. - Kobieta zerknęła dziwnie na obu mężczyzn i wyszła tak cicho, jak weszła. Jej krótka wizyta częściowo rozładowała napięcie.

- Więc o co chodzi, amigol

- Między innymi o naszą długą, pijacką rozmowę pewnej nocy na moim ganku. Wydaje się, jakby od tamtej pory minęła cała wieczność.

- Pamiętam.

- Powiedziałeś, że zabiłbyś el Jefe, gdybyś go dopadł. Odrzekłem, że tak nie można, ale teraz cię rozumiem. Prawo jest zbyt łagodne dla takich, jak on.

Lub może wręcz bezsilne. Jednak innego nie mamy, prawda? Bez niego nie różnilibyśmy się od tamtych.

Nelson nie odezwał się. Terry patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Poznasz prawdziwe nazwisko Ignazio - obiecał Meadows. - Zamierzam oddać go w twoje ręce. Ale załatwię to po swoim, comprendel

- Jak? - warknął Nelson.

- Zobaczysz. Dostaniesz jego, dowód przeciwko niemu i Kolumbijczyków.

- Wielkie dzięki. Mam ci pożyczyć odznakę? - zadrwił detektyw. -Nie przewiduję użycia przemocy, ale w odpowiednim momencie będzie mi potrzebne zbrojne wsparcie. Liczę, że potrafiśz to szybko zorganizować.

Niedopałek cygara upadł na zielone linoleum.

169

- Jesteś stuknięty, człowieku. Nie wierzę ci. Do jasnej cholery, kiedy poznałem cię w szpitalu, nie odróżniałeś koki od wiórków kokosowych! Przed domem pogrzebowym sikałeś ze strachu w spodnie. A teraz chwalisz się, że możesz dostarczyć mi sukinsyna, którego ścigam od prawie dwóch lat? Gadasz, jakby postrzelili cię w głowę, nie w nogę.

Terry znów się wtrąciła.

- On mówi prawdę, kapitanie. De veras.

Nelson przeniósł na nią wzrok. Jest w to zamieszana? Działają razem?

Sięgnął do kieszeni na piersi po nowe cygaro.

- Posłuchaj - zwrócił się łagodnie do architekta. - Wiem, przez co przeszedłeś

i doceniam to, że chcesz pomóc. Ale ci ludzie pożąra cię żywcem. Jeśli wiesz, kim są, powiedz mi. Zajmę się nimi, a ty znikniesz z miasta.

Meadows westchnął zniecierpliwiony.

- Nie ma mowy.

- Bez obaw, zrobimy to zgodnie z przepisami. Odczytam im ich prawa po angielsku i po hiszpańsku. Wszystko według regulaminu. W porządku?

- Czy powiedziałem, że o to mi chodzi?

Nelson mruknął coś z rozdrażnieniem. Przeczesał palcami włosy i posłał koniec cygara.

- Umowa jest taka - oznajmił zdecydowanie Meadows. - Przez tydzień nie będziesz się wtrącał. Dasz mi na to słowo honoru.

- To niemożliwe. Burmistrz naciska. Zabójstwa odstraszą turystów. Ujawnij nazwiska i biorę się do roboty.

- Żadnych nazwisk. Dostarczę ci rysunki. Na takiej podstawie nie możesz nikogo aresztować, bo to nie dowód, prawda?

Nelson mocno zagryzł cygaro. Żałował, że w księgami nie ma gdzie splunąć.

- Za tydzień... - ciągnął Meadows - dostaniesz to, czego chcesz. Portrety doręczę ci niedługo. Nie przyniosłem ich dzisiaj, bo nie wiedziałem, czy się dogadamy.

- Powtarzam: jesteście stuknięty. Oboje jesteście.

- Zaczekaj, a przekonasz się, że miałem dobry pomysł. Potem wszyscy to uczymy. Pójdziemy do „La Cumparsita”.

- Zaskakujesz mnie. Niewielu Anglo zna to miejsce. Dobra, umowa stoi. Pomożesz mi zgarnąć Ignazio i oblejemy to. Ja stawiam.

- W porządku - uśmiechnął się Meadows. Nareszcie. Poczł się tak, jak zapewne Terry na widok pasa startowego po całonocnym locie. Instrumenty świecą się na zielono, podwozie wypuszczone, można lądować.

- Nie zdradzisz mi absolutnie nic z tego, co planujesz? - zapytał Nelson. - To ułatwiłoby mi przygotowania.

- Dowiesz się za kilka dni.

- A tak na wszelki wypadek, gdzie cię znajdę?

170

- Nigdzie. Na razie lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. O ile zależy ci na karierze, oczywiście. Jeśli potem prokurator o coś cię zapyta, będziesz mógł powiedzieć, że nic nie wiedziałeś. Kiedy przyjdzie czas, se?ora Lara zadzwoni do ciebie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - odrzekł z obawą Nelson.

- Spokojna głowa.

- Uważaj z bronią - dodał detektyw. Zauważył, że architektka zatkało.

- Z jaką bronią? - wykrztusił wreszcie Meadows.

- Z rewolwerem kaliber trzydzieści osiem. Naprawdę bądź ostrożny.

Meadows przełknął z trudem ślinę. Terry wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Nagle wręczył Nelsonowi jakiś pakunek.

- Masz tu lekturę do poduszki.

Nelson był oszołomiony. Rozboliła go głowa. Niczego sobie nie obiecywał przed wizytą w centrum handlowym. Przypuszczał, że se?ora Lara to jakaś wariatka albo wściekła żona, która gdzieś przeczytała, że gliniarze są dobrzy w łóżku. Owszem, okazała się bardzo atrakcyjną kobietą. A architekt zupełnie go zaskoczył. Zamki na lodzie. Czy on oszalał? Jednak Meadows nie sprawiał wrażenia chorego umysłowo, a propozycja była wielce kusząca. Detektyw westchnął i sięgnął do schowka na tablicy rozdzielczej policyjnego plymoutha po aspirynę. Potem zapalił wewnętrzną lampkę i rozwinął pakunek od Meadowsa.

Książka nosiła tytuł: Połów rekinów w wodach Florydy. Nelson już miał ją rzucić na tylne siedzenie, gdy wyczuł pod okładką złożony papier.

Znalazł trzy rysunki: Wieśniaka, Kalafiornijskiego Ucha oraz znanej osobistości. Kiedy rozpostarł portrety na kierownicy, zdał sobie sprawę, że drżą mu ręce.

Leżeli w łóżku. Terry skubała ucho Meadowsa.

- Uważam, że jesteś genialny, querido. Tylko po co dałeś mu rysunki?

Naprawdę sądzisz, że dotrzyma obietnicy i przez tydzień nic nie zrobi?

- Oczywiście, że nie. Być może zaaresztuje Wieśniaka i Kalafiorowate Ucho. I dobrze. Ale w ciągu tych kilku dni nie dopadnie Bermudeza. To nie takie proste. Facet jest prawie nietykalny.

Terry milczała przez chwilę.

- Czy rewolwer, o którym wspomniał Nelson, to moja broń? - zapytała w końcu.

-Tak.

- Skąd o niej wiedział?

171

- Zastanawiałem się nad tym. Podejrzewam, że był tutaj, kiedy ty latałaś, aja ukrywałem się w Fort Lauderdale.

- Skoro zna mój adres, może nas tu znaleźć.

- Owszem, choć wątpię, by chciał nas teraz szukać. Ma zbyt wiele na głowie. Raczej zaczeka na dalszy rozwój wypadków.

Terry wzdygnęła się.

- On mnie przeraża, Chris.

- Jest groźny, to fakt. Ale przynajmniej chwilowo nie musisz się go obawiać.

- Jak myślisz, czy uwierzył, że chcesz oddać Bermudeza w ręce sprawiedliwości?

- Mam nadzieję. - Meadows nie wypowiedział głośno następnego zdania: „Ja sam prawie w to uwierzyłem”.

Palce Terry maszerowały niczym żołnierze po wewnętrznej stronie uda Meadowsa.

- Czasami ty też mnie przerażasz, querido - szepnęła.

Jose Bermudez wcisnął dwudzieste piętro i sięgnął do wewnętrznej kiesze ni jasnej marynarki. Przemówienie było na swoim miejscu. Jedna z sekretarek musi je przepisać do południa. Jeszcze raz nacisnął guzik z cyfrą

dwadzieścia. Drzwi windy zaczęły się zasuwać. Nagle zatrzymali się. W szparze ukazała się wielka, czarna ręka. Bermudez pospiesznie wcisnął otwieranie.

- Przepraszam, nie zauważyłem pana.

- Nie szkodzi. - Do kabiny wkroczył czarnoskóry olbrzym. Nosił elegancki, ciemny garnitur, białą koszulę i srebrzysty krawat. Miał symetrycznie przyciętą fryzurę afro. Palec wielkości małej maczugi wduśił przycisk z cyfrą dziewiętnaście.

Bermudez przyglądał się swemu porannemu towarzyszowi podróży.

- Proszę mi wybaczyć... - zagadnął - ale nie mogę się powstrzymać od pytania, czy jest pan zawodowym piłkarzem.

Arthur Prim uśmiechnął się nieśmiało.

- Tak myślałem! - rozpromienił się Bermudez. - Gra pan w Dolphin-sach, zgadłem?

- W Steelersach - odrzekł Arthur.

Jego wzrok powędrował ku brązowej teczce bankiera. Patrzył na nią przez kilka sekund, potem przeniósł spojrzenie na wskaźnik pięter nad drzwiami. Winda zbliżała się do szczytu budynku.

172

- To dobra drużyna - stwierdził Bermudez. Arthur przytaknął.

- Choć ja kibicuję Dolphinsom - ciągnął bankier. - Mam wejściówkę na cały sezon. Od dwóch lat nie przepuściłem żadnego meczu.

-Tak?

Drzwi windy otworzyły się na dziewiętnastym piętrze. Bermudez nagle postawił teczkę i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Jose Bermudez. Miło było pana poznać. Arthur uścisnął mu dłoń.

- Terry Bradshaw - odpowiedział i wysiadł.

Kolorowy sen prawie się nie zmieniał. Co noc zaczynał się od błękitnego oceanu.

Meadows pływał leniwą żabką daleko od brzegu. Głowę trzymał nad wodą. Na pustej plaży widział tylko dwie osoby: małą dziewczynkę z jasnymi włosami do ramion i pięknie opaloną kobietę w ciemnym kostiumie kąpielowym. Trzymały się za ręce i biegały po piasku. Chichot dziewczynki i głośny śmiech kobiety dźwięczały w uszach architekta jak muzyka. Wpłynął na płytszą wodę i dotknął nogami dna. Wstał, zawołał je i radośnie zamachał rękami.

Przystanęły i pomachały mu. Dziewczynka coś krzyknęła. Meadows przyłożył dłoń do prawego ucha, żeby pokazać, że nie słyszy. Pobiegły w kierunku wody i dziewczynka znów krzyknęła. Tym razem przyłożyła zwinięte dłonie do ust.

Meadows wciąż był za daleko, żeby rozróżnić słowa. Zaczął wychodzić na brzeg. Cofające się fale omywały mu nogi.

- Chwileczkę! - zawołał, ale zagłuszył go szum silnika.

Spojrzał w niebo. Nie było na nim samolotu. Popatrzył na plażę i zobaczył czerwonego ford mustanga. Samochód pędził wzdłuż wody. Spod grubych opon przyskała piasek.

- Uważajcie! - krzyknął Meadows do matki i córki. Ale nie odrywały od niego oczu, uśmiechając się i machając rękami.

-Uciekajcie, samochód! Do wody, prędko!

W dłoni dziewczynki nie wiadomo skąd pojawił się lód. Trzymała go wysoko i przywoływała gestami Meadowsa, żeby po niego przyszedł. Brnął do niej, rozchlapując wodę. Odgłos jego kroków ginął w ryku silnika. Mustang był w odległości stu metrów i szybko się zbliżał. Za przednią szybą Meadows widział ciemne sylwetki dwóch mężczyzn.

Nagle złapał go prąd morski. Podnosił rękami nogi z dna i szedł mozolnie ku plaży. Już wiedział, że nie zdąży.

Czy one nie widzą samochodu?

173

Kobieta i dziewczynka przyglądały mu się z zaciekawieniem. Uśmiechały się. Myślały, że się wygłupia, żeby je rozśmieszyć.

Meadows prawie wyszedł na brzeg, gdy wtem stracił równowagę. Podcięła go jakaś niewidzialna przeszkoda i upadł. W oczach zastygł mu przerażający widok matki, córeczki i pędzącego na nie mustanga.

Z ust Meadowsa wyrwał się straszliwy krzyk i ucichł, kiedy głowę przykryła woda.

Uciekajcie...

Meadows wynurzył się. Kobieta i dziewczynka leżały we krwi. Czerwony ford stał pięćdziesiąt metrów dalej. Dwaj mężczyźni rozkładali na plaży kanarkowy ręcznik.

Wbił palce w twarde, mokry piasek i wypętlął z wody. Płakał. Podniósł się chwiejnie i dowlóknął do ciała.

Zielone oczy dziewczynki przypominały jego własne. Patrzyły w palące słońce. Z nosa obficie płynęła krew.

Roztrzęsiony Meadows opadł na kolana. Przechylił się na bok i uderzył głową o piasek. Napełnił nim dłonie i uniósł je do góry. Na twarz i włosy posypały się białe kryształki.

- Kokaina - powiedział głośno i zamknął oczy. Kokainowe wydmy. Usłyszał odgłos zapalającego silnika...

Jak zwykle obudził się spocony. Poszukał ręką Terry, ale jej połowa łóżka była pusta. Wzdrygnął się, wstał i poczłapał do kuchni. Usłyszał jej głos.

Rozmawiała przez telefon. Usiadł na twardym krześle przy stole i spróbował otrząsnąć się z koszmarne snu.

- Tak, se?orita, czy to „La Cumparsita”? - szczebiotała Terry. - Bueno.

Dzwonię w imieniu pana Bermudeza... Tak, tak, jestem jedną z jego sekretarek... O tak, ma kilka.

Prawdziwy zawodowiec, pomyślał z dumą Meadows. Jest świetna.

- Se?or Bermudez chciałby potwierdzić rezerwację na dzisiejszy wieczór... Co?! Tylko niech mi pani nie mówi, że znów coś pomylił... O, Boże... Tak, na pewno. Ma pani rację. Si. Bardzo dziękuję.

Terry wyłączyła się.

- Chcesz sok pomarańczowy? - zapytała. Meadows skinął głową.

- To jutro - wyjaśniła Terry. - O ósmej. Miałaś rację. Rezerwacja jest na jego nazwisko. - Otworzyła lodówkę i zaczęła wyjmować jedzenie na śniadanie. Meadows nie widział jej twarzy. Słyszał tylko głos.

- Wszystko dokładnie tak, jak mówiłeś - mruzczała pod nosem.

Wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. Rozbudził się na dobre.

174

Młoda, czarna kobieta za kontuarem rozpromieniła się na jego widok.

- Nie widziałam cię kawał czasu, Chris. Meadows uśmiechnął się.

- Fakt. Wyglądasz wspaniale, Sally. Wzruszyła ramionami.

- Bieganie chyba mi pomaga. Gdzie się podziewałeś? Nie było cię w mieście?

- Wyjeżdżałem i wracałem - odrzekł niedbale Meadows. Chciał dodać, że został ranny w nogę, ale ugryzł się w język.

- Jaką masz sprawę?

- Chodzi mi o kubańską restaurację przy Dwudziestej Siódmej Alei, niedaleko Siódmej ulicy. Nazywa się „La Cumparsita”. Chcą się rozbudować i prosili mnie o zrobienie nowego projektu całości. Problem w tym, że zgubili dokumentację.

- Kto jest właścicielem?

- Zmieniali się już ze dwa razy. Pewnie w zamieszaniu zaginęły plany.

- Właśnie od tego są przyjaciele w wydziale budownictwa - roześmiała się Sally. - Powtórz adres.

Wróciła po pięciu minutach z plikiem pożółkłych papierów. Zawijały się na brzegach, gdy próbowała rozłożyć je na blacie. Meadows odszukał potrzebne dokumenty.

- Mogę zrobić ci kopie - zaproponowała Sally. - Nie policzę ci nawet tych ustawowych dwunastu dolców.

Meadows udał zaskoczenie.

- Aż tak zdrożało? Trudno, jakoś wytrzymam. Tylko czy to nadal trwa dwa tygodnie?

- Co najmniej. Ale mogę cię przesunąć na początek listy oczekujących.

- Jesteś cudowna - ucieszył się Meadows. - Problem w tym, że muszę to mieć dzisiaj.

- Twoim klientom aż tak się spieszy? - zdziwiła się Sally.

- Nie, to mnie się spieszy, Sal. Chcę odwalić tę nudną fuchę jak najszybciej i zająć się czymś bardziej ekscytującym.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek projektował restaurację - zauważyła.

- Po prostu nie chwalę się tym, jak niektórzy faceci z branży. - Meadows przeniósł plany w głąb pokoju i rozpostarł na długim stole. Żeby się nie

zwijały, przycisnął je na górze teczką, a na dole szklaną popielniczką. Położył na kolanach blok kreślarski i zaczął je kopiować ostro zatemperowanym ołówkiem. Nie umiał właściwie oceniać wymiarów, więc używał suwaka logarytmicznego, by zachować odpowiednią skalę.

Na widok daty skrzywił się; plany sporządzono siedemnastego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Trudno przewidzieć, ilu zmian dokonano od tamtej pory wewnątrz budynku.

175

Część restauracyjna lokalu miała około stu siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Wzdłuż wschodniej ściany ciągnął się sześciometrowy bar. Kuchnia przypominała celę: dziewięć na trzy.

Południową część zajmowały toalety, a między nimi znajdowało się wyjście awaryjne. Obok widniało pomieszczenie metr na metr. Meadows domyślał się, że to spiżarnia albo jakiś schowek.

Skopiował każdy szczegół, włącznie z parkingiem i wejściem do restauracji od strony ruchliwej Dwudziestej Siódmej Alei. Kiedy skończył, odniósł Sally papiery.

- Miło było znów cię zobaczyć, Sal - powiedział.

- Mnie też - odrzekła. - Dobrze ci z takimi włosami. Meadows zaczerwienił się.

- Kopie mam ci wysłać do biura? - zapytała.

- Słucham?

Sally roześmiała się.

- Chyba nie będziesz pracował z tym... - wskazała jego szkic.

-A, to... - zmieszał się Meadows. - Nie, nie. Po prostu... przyjrę się temu, zanim nadejdą plany. Ostatnio dużo pracuję w domu. Skinęła głową. Meadows skierował się do drzwi.

- Przyślij kopie do biura, Sally. Jak zwykle.

Jose Bermudez pociągnął łyk chablis i skrzywił się. Żona delikatnie szturchnęła go w łokieć.

- Proszę cię... - szepnęła bezbłędną angielszczyznę. - Udawaj, że ci smakuje.

- Przecież to kozie siki - mruknął bankier. Odstawił kieliszek i uśmiechnął się przez stolik do burmistrza Rubena Carrollo. Po lewej stronie burmistrza siedział komisarz okręgu, po prawej delegat Uniwersytetu w Miami. Miejsce obok zajmował wydawca „Miami Journal”, J. B. Deene, a dalsze redaktor, którego nazwiska Bermudez nie pamiętał. Sami dygnitarze, pomyślał.

- Pańskie przemówienie gotowe? - zagadnął Carrollo. Bankier skinął głową i poklepał się po kieszeni na piersi.

- Zawsze trochę się denerwuję, kiedy mam wystąpić przed takim tłumem.

Burmistrz mrugnął porozumiewawczo.

- Lepiej niech pan się przyzwyczai. Donna Bermudez rozpromieniła się.

Z podium hotelowej sali bankietowej zabrzmiał głos przysadzistego mężczyzny o czerwonej twarzy

- Panie i panowie, proszę o uwagę... - Za jego plecami, na zielonej kurtynie wisiał proporzec Towarzystwa Dobroczynnego Okręgu Dade z napisem:

„Przyłącz się do Nas!”.

176

- Mam zaszczyt przedstawić człowieka, którego wystąpienie rozpocznie nasz uroczysty lunch z okazji...

Bermudez nadział na widelec miniaturowego pomidora ze swojej sałatki i wsunął w całości do ust. Rozejrzał się i zauważył, że połowa osób już ziewa. Carrollo nachylił się ku niemu nad stolikiem.

- Wiedziałem, że doskonale pan sobie poradzi podczas wizyty w Waszyngtonie.

- Dziękuję - odrzekł bankier. - Powiedziałem tylko prawdę.

- Oczywiście.

- Nie mogę zabronić ludziom deponowania pieniędzy w moim banku. Jak by to wyglądało, gdybym pytał każdego klienta, skąd ma gotówkę?

Carrollo pokręcił głową i sięgnął po wino.

- Uważam, że te przesłuchania to skandal. Po tym wszystkim, co pan zrobił dla tutejszej społeczności!

Bermudez podniecił się.

- Uprzedziłem ich, żeby nie żądali rzeczy niemożliwych. Jestem biznesmenem, bankierem, a nie jakimś cholernym agentem z wydziału narkotyków!

-...i oczywiście zawdzięczamy mu powstanie Śródmiejskiego Ośrodka Społecznego... - grzmiał facet na mównicy - a także w dużej części oddziału dla dzieci chorych na białeczkę w szpitalu Flagler Memoriał.

- Jezus! - szepnęła Donna Bermudez. - Masz sałatę na garniturze. - Mąż łypnął na nią i strzepnął listek.

- Panie i panowie, oto Dobroczyńca Roku Okręgu Dade, pan Jose Bermudez! Bankier wstał, pomachał we wszystkich kierunkach, po czym przeszedł między stolikami na podium. Zaczekał, aż zamilkną oklaski, i wyjął kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Przeżywamy w Miami trudny okres - zaczął. - Niepokoje społeczne, znaczny spadek liczby turystów, bezprecedensowa przemoc na ulicach. Niektórzy z moich bliskich przyjaciół zastanawiają się nad opuszczeniem południowej Florydy. Ale mówię im to, co teraz powiem wam: właśnie w ciężkich chwilach jesteśmy sobie nawzajem najbardziej potrzebni. Temu służy nasze Towarzystwo Dobroczynne, przyjaciele...

- Bardzo dobre przemówienie - pochwalił burmistrz Carrollo, zwracając się do Donny Bermudez. - Mąż sam je napisał?

- Tak. Siedział nad nim całą noc. To dla niego niezwykle ważne.

- To prawdziwe szczęście, że mamy wśród nas takiego człowieka - odrzekł ciepło burmistrz.

a będąc hojnymi, pracując ręka w rękę, możemy zlikwidować wiele bolączek trapiących naszą społeczność, jak rasizm, poczucie wyobcowania, bezprawie...

W głębi sali, przy wahadłowych drzwiach, z których co chwilę wyłaniali się

kelnerzy, stali dwaj mężczyźni.

12- Kokainowe wydmy

177

- Więc to jest ten twój facet? - zapytał pierwszy. Drugi głośno przełknął.

-Tak.

- Nie wygląda na zabójcę. Ale z drugiej strony, kto wygląda?

- Zapamiętaj dobrze jego twarz.

- Bez obaw.

Burmistrz dotknął dłoni Donny Bermudez.

- Czy Jose wspominał pani, że zamierzam kandydować na gubernatora? Pani Bermudez przestała słuchać przemówienia męża i popatrzyła na Carrolla.

- Tak. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pana wesprzeć. Może pan na nas liczyć - zapewniła uroczyście. Burmistrz wziął głęboki oddech i położył rękę na sercu.

- Już kończy - odezwał się pierwszy mężczyzna w głębi sali. - Spadamy stąd.

- Żałował, że w ogóle przyszli.

Jego towarzysz nie poruszył się. Chłonał każde słowo Bermudeza. Co za ironia, pomyślał.

- A nikt nie wie lepiej od tych z nas, którzy uciekli tu przed tyranią, co znaczy wolność, życiowa szansa, współczucie... - ciągnął bankier.

- Chodźmy, Chris... - zniecierpliwiał się pierwszy mężczyzna - bo jeszcze mnie rozpozna.

- Ale mnie nie zna, Arthur - odrzekł drugi mężczyzna. - Jak nie znał Sandy.

Mógłbym podejść teraz do niego...

- Nawet o tym nie myśl.

pociągnąć za spust i rozwalić mu łeb, a on nie wiedziałby, dlaczego -

dokończył Meadows. -Nie skojarzyłby mnie z nikim ani z niczym. W tym tkwi cały urok tej sytuacji.

Na zewnątrz Arthur Prim pomaszerował prosto do samochodu. Meadows wskazał brązowego cadillaka seville przed hotelem.

- Zobacz, jak ten sukinsyn zaparkował swoją landarę. Zupełnie zablokował podjazd dla taksówek!

- Wyluzuj, człowieku.

Od chodników Miami Beach bił żar. Przecięli jezdnię w towarzystwie grupki starszerek z otwartymi parasolkami przeciwsłonecznymi. Gdy doszli do wynajętego thunderbirda, Meadows natychmiast otworzył okna, żeby wypuścić z wnętrza gorące powietrze. Stali obok samochodu i czekali, aż temperatura w środku trochę się obniży.

- Teraz rozumiem twój problem - odezwał się Arthur. - Żaden glina nie uwierzyłby, że tamten facet ma coś na sumieniu.

- A ty? - zapytał Meadows.

- Ja tak.

- Nawet po tym, co zobaczyłeś i usłyszałeś w sali bankietowej?

- Zwłaszcza po tym. Nie na darmo wychowałem się w Liberty City. Znałem ostatnich sukinsynów, którzy potrafili wmówić człowiekowi, że są księżmi. Do dziś jestem przekonany, że niektórzy nimi byli.

- Ten facet to morderca.

Arthur przestał się śmiać. Wgramolił się na siedzenie pasażera.

- Wiem.

Meadows usiadł za kierownicą i pojechał na zachód, do miasta. Nie udało mu się złapać w radiu stacji nadającej muzykę klasyczną.

Arthur otworzył schowek pod deską rozdzielczą i zobaczył rewolwer Terry.

- Po co go tu wozisz?

- Lepiej tutaj niż pod siedzeniem - mruknął Meadows. - Gdyby zatrzymały mnie gliny, spluwa na podłodze wyglądałaby bardziej podejrzanie.

Arthur oparł głowę na zagłówek i wzniósł oczy ku niebu.

- Boże, miej nas w opiece - westchnął.

- O Jezuu, a co dałaby mi broń w bagażniku? - zniecierpliwiał się Meadows.

- Ciągłe ćwiczysz?

- Tak. - Po trzech popołudniach spędzonych na strzelaniu Meadows czuł ból poniżej prawego łokcia. Na dłoni miał odciski. Ale zrobił wyraźny postęp. Bez problemu trafiał w puszki po piwie. Smith & Wesson kaliber trzydzieści osiem może jeszcze nie został jego bliskim przyjacielem, lecz z pewnością przestał być obcym.

- Na tej imprezie w hotelu chyba nie było żadnego z tamtych mięśniaków?

- Nie - odparł Meadows. - I nie spodziewałem się ich. Bermudez nie jest taki głupi.

- Domyślam się - powiedział Arthur. - Na podstawie twojego opisu pewnie rozpoznałbym sukinsynów.

Meadows zerknął na niego i uśmiechnął się.

- Trudno byłoby ich nie zauważyć.

Przeciął Szosę Wenecką biegnącą po grobli w kierunku stałego lądu i pojechał drogą międzystanową na południe, w stronę Coconut Grove.

- Dziękuję, że zająłeś się moim domem. Arthur wzruszył ramionami.

- Posprzątałem, co się dało, osuszyłem basen... Jasna cholera, w życiu nie widziałem takiego burdelu.

Meadows zacisnął szczęki. Arthur wyglądał przez okno. Patrzył w niebo.

Wokół wieży starego, śródmiejskiego sądu krążyło kilka myszołowów, które wzięły się nie wiadomo skąd o tej porze roku. Od czasu do czasu siadały na gzymsie nad aresztem.

Arthur spojrzał poważnie na przyjaciela.

- Są inne sposoby załatwienia tego, Chris. - Miał ostatnią szansę, żeby o tym wspomnieć.

- Chcę to zrobić po swoimemu.

- Ludzie giną codziennie, człowieku. Wypadki samochodowe, samobójstwa, utonięcia po pijaku...

Meadows pokręcił głową. -Nie.

Arthur klepnął go w kolano.

- Dobra, niech będzie po twojemu.

Meadows skierował thunderbirda na zjazd ku cienistej Bayshore Drive.

Zastanowił się przelotnie, czy nie przejechać obok domu, żeby choć rzucić na niego okiem, ale zrezygnował. Szkoda czasu, pomyślał.

Wokół roilo się od biegaczy i rowerzystów. Było ich więcej niż samochodów.

Meadows zwolnił i opuścił szybę. Od zatoki wiała przyjemna bryza. Na wysokości Dinner Key kołysała się na kotwicach flotylla sunfishów z nagimi masztami.

- Wysadź mnie tutaj - odezwał się Arthur.

- Mogę cię podrzucić do Grand Avenue.

- Nie trzeba, przejdę się. Stęskniłem się za ludzkim towarzystwem.

Arthur wygramolił się z samochodu na następnym skrzyżowaniu. Wyszedł na jezdnię, nie zważając na ruch, i oparł się o dach nad oknem kierowcy.

Meadows domyślał się, że olbrzym chce mu coś powiedzieć, ale usłyszał nie to, czego się spodziewał.

- Zapowiada się niezła zabawa.

- M hm.

Sportowy samochód za thunderbirdem zatrafił. Arthur wypiął się i poklepał po tyłku.

- Każdemu cholernemu palantowi strasznie się spieszy. Mnie też. Trzymaj się, Chris. Lecę po zakupy.

- Do jutra wieczorem - odrzekł Meadows i wcisnął gaz.

Po uroczystym lunchu Donna Bermudez zaplanowała zakupy. Meble na patio przy basenie wymagały wymiany. Musiała znaleźć takie, które nie popękają na słońcu.

- Dobrze - zgodził się Jose Bermudez. - Wsiądę przy banku, a ty pojedziesz do Mayfair. Będiesz miała kilka godzin dla siebie.

- A nie mógłbyś wziąć wolnego popołudnia? - Opuściła osłonę przeciwsloneczną od strony pasażera i przyjrzała się sobie w małym lusterku.

- Niestety nie. Muszę załatwić kilka telefonów. - Ustawił klimatyzację seville'a na najniższą temperaturę. Kołnierzyk koszuli miał tak mokry, jakby zlał go deszcz.

- Wygłosiłeś wspaniałe przemówienie - powiedziała z dumą Donna.

-Burmistrz uważa, że jesteś naprawdę kimś.

- To idiota - odparł Bermudez.

180

-Ależ Jose!

Bankier wsunął rękę pod sukienkę żony.

- Ile mogę dziś wydać? - spytała.

- Nie za dużo. Ale kup coś ładnego. Uśmiechnęła się, gdy poczuła jego dłoń

w majteczkach.

- Nie zapomnij o jutrzejszym wieczornym przyjęciu u Rubenów.

- Nie będę miał czasu. - Bermudez cofnął rękę. Drogę zatarasował im miejski autobus. Bankier zastanawiał się, co widzieli pasażerowie w ostatnim rzędzie.

- Jak to? Szykowałam się na to od dawna. Bermudez westchnął z udanym niezadowoleniem.

- Przylatuje klient z Ameryki Południowej. Muszę się z nim spotkać. Ma u nas wielomilionowe konto.

-A później?

- Przepraszam, ale obawiam się, że to potrwa do późna.

- Więc opuścisz kolejną kolację - stwierdziła zła.

- Niestety. Ten stary dureń uparł się, żeby pójść do pewnej restauracji w Małej Hawanie. Żarcie dają tam podłe, ale upatrzył sobie jedną kelnerkę.

- Jezu! I z tego powodu nie będziesz na eleganckim przyjęciu? - wycedziła. Bermudez zacisnął zęby.

- Powinnaś mi współczuć, kochanie. Czeka mnie wyjątkowo nudny wieczór. Samolot linii Avianca z Bogoty i Medellin powinien był wylądować w Miami o szesnastej trzydzieści, ale miał godzinne opóźnienie z powodu złej pogody. Roberto Nelsonowi nie robiło to różnicy. Nikt na niego nie czekał.

Odrzutowiec omijał niewielką burzę nad zachodnią Jamajką gdy Roberto wreszcie przekonał atrakcyjną, ciemnowłosą stewardesę, by zapisała mu na serwetce swoje imię i telefon.

- Mieszka pani w Bogocie, prawda? -Tak.

- Często tam latam - powiedział.

- O? Więc jest pan biznesmenem? Roberto wyszczerzył zęby.

- Zgadza się. - Pogratił sobie w duchu umiejętności imponowania innym; zawsze opłacał się podróżować pierwszą klasą. Stewardesy są tu mniej zajęte i bardziej skore do nawiązywania nowych znajomości niż w klasie turystycznej.

181

- Dziś nocuje pani w Miami? - zapytał, zastanawiając się, czy Suzanne już wróciła.

- Niestety nie. Po dwóch godzinach wracamy do Kolumbii - odrzekła z wystudiowanym żalem. - Na pewno nie chce pan nic zjeść ani wypić? Tylko pan nie jadł jeszcze kolacji.

Roberto poklepał się po brzuchu.

- Naprawdę dziękuję. Trochę mnie mdli. Lepiej zaczekam, aż postawię nogę na twardym gruncie. - Dziewczyna współczująco skinęła głową i podeszła do innego pasażera.

Mdłości! A kto by ich nie miał? Chodzi o moje życie, pomyślał Roberto. Ten hijo de puta McRae i jego cholerna kokaina. Nazwać mnie złodziejem! Ilekroć wspominał tamtą rozmowę, kipiał z gniewu.

- Nie rąbnałem tej koki, Rennie. Nie jestem taki głupi.

- To już drugie kłamstwo - odparł opuchnięty i posiniaczony prawnik. -Dalsza dyskusja jest bez sensu. Masz tydzień, żeby to odkręcić.

-Nie wziąłem jej!

McRae zbył to machnięciem ręki.

- Zwrócisz towar i zapomnę, że rozwaliłeś mi głowę. A teraz wynocha z mojego gabinetu, zanim cię zastrzelę.

- Chrzań się - powiedział Roberto i wyszedł.

Potem przedziurawili drzwi jego mercedesa i żarty się skończyły. Tylko idiota nie potraktowałby poważnie takiego ostrzeżenia.

- Coś panu przyniosłam - odezwała się stewardesa imieniem Illeana.

Trzymała plastikową tacę ze szklanką wody i tabletkami alka-seltzer.

- Jest pani kochana, ale chyba wytrzymam do lądowania.

- Mamy też dramamin. Roberto dotknął jej dłoni.

- Naprawdę dziękuję.

Marzył o podwójnej szkockiej, ale to byłby szczyt głupoty. Żołądek zaczynał mu się wywracać na drugą stronę.

Inspektor celny W. K. Junior Hillings podszedł do wysokiego, atletycznie zbudowanego blondyna i klepnął go lekko w ramię. Mężczyzna czytał wiadomości sportowe w „Miami Journal”. Złożył gazetę i wetknął pod pachę.

-Tak?

- Właśnie wylądował.

- Dobra, chodźmy.

Hillings zaprowadził Wilbura Pincusa do biura z widokiem na zatłoczoną halę kontroli celnej na najniższym poziomie budynku międzynarodowego portu lotniczego w Miami. Pierwsi pasażerowie lotu numer sześć linii Avian-ca ustawiali się w kolejce za stewardesami z samolotu BOAC z Londynu.

182

Pincus usiadł. Doskonale widział wszystkie rzędy ludzi i podróżnych z pomarańczowo-białymi nalepkami Avianca na bagażu.

Roberto Nelson przewiesił torbę na garnitury przez plecy. Już nie dbał o to, czy ubrania się pogniotą. Załatwił interes. Kolejka wolno posuwała się naprzód. Zerknął na zegarek: piąta czterdzieści pięć. Skręcało go w żołądku. Pomyślał kwaśno, jakie nieprzyjemne będą następne dni. Ale potem zje całego prosiaka.

- Przepraszam pana... - Mężczyzna w mundurze z małą, srebrną odznaką dotknął jego ramienia. - Bardzo proszę ze mną dobrze?

- Oczywiście - odrzekł uprzejmie Roberto. - Tylko nie chciałbym stracić miejsca w kolejce.

- Och, proszę się nie martwić... - uspokoił go Junior Hillings. Roberto pomaszerował za nim do małego, dusznego pokoju, gdzie czekali dwaj inni inspektorzy. Hillings zamknął drzwi.

- Chcielibyśmy sprawdzić pański bagaż.

- Czy mogę wiedzieć dlaczego?

- Rutynowa kontrola - odparł potężny rudowłosy mężczyzna. Wziął torbę

Nelsona i położył na stole. Roberto wzruszył ramionami i usiadł na krześle.

- Proszę wstać - rzekł Hillings. - Przeprowadzimy również rewizję osobistą. Roberto łypnął na niego złym okiem. Stał się pochyłony twarzą do ściany, szeroko rozstawił nogi i unióśł ręce nad głową.

- Mam nadzieję, że to prawidłowa pozycja - rzucił drwiąco przez ramię.

- Tak, oczywiście - odrzekł uprzejmie Hillings. - Tylko proszę zdjąć ubranie.

Roberto poczerwieniał i odwrócił się gwałtownie.

- O, nie!

Trzeci inspektor, szczupły Murzyn z bicepsami jak bochny chleba, postąpił krok naprzód i nadał się niczym bokser.

- Panie Nelson... - westchnął Hillings - jeśli nie będzie pan współpracował, czeka nas masa kłopotów i papierkowej roboty.

- Jestem obywatelem amerykańskim!

- Naturalizowanym - poprawił Hillings, machając paszportem Roberto. - Ale to bez znaczenia. Prawo zezwala nam na zrobienie rewizji osobistej Nancy Reagan, jeśli mielibyśmy na to ochotę.

- Niech pan się rozbiera - rozkazał rudy inspektor.

- Żądam adwokata. Hillings wzruszył ramionami.

- Traci pan tylko czas. Możemy tu pana trzymać przez kilka dni. Roberto wzdrygnął się; to byłaby katastrofa.

- W porządku - zgodził się po chwili. Grubymi, krótkimi palcami zaczął odpinać guziki białej, jedwabnej koszuli. - Ale załatwcie to możliwie szybko. Jest sobota i umówiłem się na spotkanie. Chyba rozumiecie?

183

Kilka sekund później na stole leżała koszula, skarpetki, dżinsy, pas z wężowej skóry oraz długie buty. Do plastikowej torby trafił złoty zegarek kwarcowy, ciężka bransoleta z inicjałami RN i trzy sygnety, w tym jeden ze szmaragdem. Zostały zapieczętowane. Czarny inspektor obejrzał łańcuszek na szyję z wisiorkiem w kształcie żyłki z czternastokaratowego złota. Pokazał go Hillingsowi.

Roberto znów stanął pod ścianą w poprzedniej pozycji. Tym razem nagi. Zaciskał zęby, a do oczu napływały mu łzy. Na plecach czuł gorący oddech rudego inspektora. Dostał gęsiej skórki.

Celnik obejrzał mu uszy i zajrzał do środka. Pomacał go pod pachami, po czym wytarł ręce papierowym ręcznikiem.

- Proszę cofnąć się o krok i mocno pochylić - polecił.

Roberto prawie jęknął. Pomyślał ze złością o Octavio. Nigdy nie wybaczy tego bratu gliniarzowi.

Rudy inspektor rozchylił mu pośladki i sprawdził odbytnicę. Roberto zakręciło się w głowie od tej piłkarskiej pozycji. Celnik wyraźnie się nie spieszył.

- Nie czuję się zbyt dobrze - poskarżył się Roberto.

- Zaraz skończymy - zapewnił Hillings.

Roberto skulił się odruchowo, gdy inspektor dotknął jego moszny, by unieść jądra.

- Jezu! - wrzasnął. - Uważaj pan!
- To wszystko - oznajmił Hillings. - Może się pan ubrać i usiąść. Otwarta torba na garnitury leżała na stole. Roberto niezgrabnie wciągnął dżinsy. W pośpiechu przydeptał je i szarpnął tak mocno, że omal nie urwał siedzenia. Było mu gorąco. Na wąsach czuł słony pot. Czarny inspektor obejrzał szeroki krawat w kwiaty. Potem położył go na blacie i wygładził.
- Chyba warto to rozpruć - zwrócił się do Hillingsa. Ten wziął krawat do ręki i pokręcił głową.
- Nie trzeba. Coś jeszcze? -Nie.
- Sprawdziłeś buty?
- Obcasy są w porządku zameldował Murzyn.
- Panie Nelson, czy zgłasza pan coś do oclenia przy ponownym wjeździe do Stanów Zjednoczonych?
- Macie moją deklarację, którą wypełniłem w samolocie, więc znacie odpowiedź.
- Kupił pan ten krawat w Kolumbii?
- Nie, u J. C. Penney'a w Miami Beach. Przykro mi, jeśli nie jest w waszym guście.
- Przepraszam na chwilę - powiedział Hillings i wyszedł.
Pincus spacerował po biurze na końcu korytarza. Było mu tak duszno, że wyjątkowo pozwolił sobie na rozluźnienie krawata i rozpięcie kołnierzyka.
184

- Nelson jest czysty - poinformował go Hillings.
Pincus oparł się rękami o biurko, przewracając oprawione zdjęcie czyjejś żony i dzieci.
- Sprawdziliście...
- Sprawdziliśmy wszystko, Wil. Usta, uszy, odbył...
- A włosy?
- Chryste - westchnął Hillings. - A co można schować we włosach? Daj spokój, człowieku. Jeszcze odróżniam łupież od kokainy. Bawię się w to przez pięć zaszranych dni w tygodniu. Powtarzam: facet jest czysty. Musimy go zwolnić, bo podał nas do sądu.
- Jasna cholera - mruknął Pincus. - To się nie trzyma kupy. Zobaczył przez szybę, jak Roberto Nelson idzie przez halę z bagażem na ramieniu.
Pincus wyprostował się.
- Lepiej już pójdę. Dzięki za przysługę, Junior. Byłem pewien, że facet coś przemyca, przysięgam.
- Nie ma sprawy, Wil. A kim on właściwie jest? Jakimś śmieciem czy ważniakiem?
- Trochę jednym i drugim.
Pincus zauważył, że Roberto wychodzi na zewnątrz, więc przyspieszył kroku. Podwójne drzwi zasunęły się. Pincus po chwili też je przekroczył i znalazł się

na podziemnym podjeździe dla taksówek i autobusów. Roberto zniknął. Wzdłuż krawężnika kłębił się hałaśliwy tłum. Próbowali porozumieć się z bagażowymi w różnych językach. Pojazdy z trudem lawirowały w gęstym ruchu. W powietrzu unosił się odór potu.

Pincus podejrzewał, że Roberto będzie szukał najkrótszej kolejki do taksówek. Detektyw przedzierał się naprzód i wypatrywał znajomej sylwetki z brązową torbą na ramieniu.

Po pięciu minutach zrezygnował. Roberto już pewnie odjechał. Ale Pincus znał jego adres. Wiedział, gdzie go znaleźć.

A jeśli ktoś czekał na Roberto? To ważne, pomyślał Pincus. Mógł po niego przyjechać brat.

Detektyw zawrócił do swojego samochodu. Przebiegał właśnie ryzykownie między pojazdami wyjeżdżającymi z lotniska, gdy usłyszał krzyk młodej kobiety.

Rzucił się w tamtym kierunku. Wrzaski odbijały się echem od betonowych powierzchni. Pewnie kradzież torebki, pomyślał. Wyciągnął z kieszeni odznakę i uniósł wysoko. Miał nadzieję, że ochrona portu lotniczego zobaczy ją, zanim zacznie strzelać do biegnącego mężczyzny.

Po dźwiękach klaksonów zorientował się, że jest jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca zdarzenia. Ludzie na postoju taksówek stali w nierównym kręgu. Pincus zastanowił się, czy nie wyjąć broni, ale zrezygnował. W zamieszaniu jakiś wariat mógłby spóbować mu ją wyrwać.

185

Detektyw przepychał się przez tłum. Ledwo dyszał.

-Policja... Proszę mnie przepuścić... Policja... Proszę się odsunąć...

- Wezwać karetkę! - krzyknęła kobieta. - Kogoś potracił samochód.

Pincus wydostał się na otwartą przestrzeń i machnął odznaką przed nosem ochroniarza. Tamten wskazał mu postać leżącą na chodniku przy taksówce. Detektyw przyklęknął obok Roberto Nelsona i sprawdził puls. Wyczuł słabe tętno. Przewrócił ofiarę wypadku na plecy.

Roberto miał na wpół otwarte oczy i niemal komicznie trzepotał powiekami. Z ust ciekła mu spieniona ślina i osiadała na starannie przyciętych wąsach. Był rozpalony niczym w gorączce.

- Proszę pana, to nie ja zrobiłem - usiłował wytłumaczyć ze łzami w oczach chudy, haitański taksówkarz. - Przysięgam. To nie ja. On po prostu upadł mi przed maską.

Pincus uciszył go gestem i skinął głową.

- Czy jest tu lekarz? - zawołał. Nikt się nie zgłosił. Ochroniarz pobiegł po pomoc.

Detektyw nachylił się do prawego ucha Nelsona.

- Roberto, słyszysz mnie? Jestem policjantem. Słyszysz mnie?

Roberto poruszył ustami, lecz wydobył się z nich tylko bulgot. Zesztywniał, a potem zaczął się rzucać na chodniku. Pod jego ciałem zgrzytał żwir i drobne kamyczki. Pincus rozpostarł mu ramiona i z całej siły przydusił go do ziemi, ale

drgawki nie ustały.

- To padaczka - stwierdził ktoś z tłumu.

Nagle Roberto znieruchomiał. Przestał gwałtownie oddychać i wywrócił oczy do góry.

- Mój Boże - szepnęła jakaś kobieta.

Wilbur Pincus wiedział, że to na nic, ale rozpaczliwie ugniatał klatkę piersiową Roberto, dopóki nie przyjechała karetka. Sanitariusze pochwalili go, że dobrze się spisał. Niestety, wysiłki były daremne.

28

Miał na imię Victor. Odznaczał się wielkim apetytem i dobrym gustem kulinarnym. Niektórzy twierdzili, że jest Baskiem; inni, że Grekiem. Nikt nie wiedział, skąd wziął się w Miami, ale było jasne, że to nie jego pierwsza życiowa przystań. Biegłe władał angielskim, greckim, francuskim, kantońskim oraz bliżej nieokreśloną odmianą hiszpańskiego; możliwe, że argentyńską.

186

Był łysy jak kolano i ważył około stu czterdziestu kilogramów. Uwielbiał trufle, małże i chłopców. Zazwyczaj w takiej kolejności, choć pozostawało to tajemnicą między nim, a kubańskimi młodzieńcami, którzy przewijali się przez jego kuchnię.

Nie zasłynął szerzej w Miarni z powodu cichej konspiracji w gronie kubańskich zawodowców odwiedzających „La Cumparsitę”. Nie zależało im, żeby do barrio pchały się tłumy Anglosasów, jak niegdyś do modnego wśród białych Harlemu.

Albo znało się ten lokal, albo nie. Klienci woleli, by tak zostało i Victor nie zamierzał nic zmieniać. Menu było napisane po hiszpańsku, ale czytali je tylko nowicjusze. Wszyscy inni zdawali się na Victora. Obsługiwał gości osobiście. Przemierzał salę w bordowym, aksamitnym smokingu i polecał specjalność wieczoru. Niektórzy uważali, że samo to jest warte astronomicznych cen.

Restauracja była mała, ale Victor oparł się pokusie powiększenia jej. Zarabiał wystarczająco dużo na bogatych klientach, a kuchnia zaspokajała resztę jego potrzeb.

Victor urodził się w Szanghaju w rodzinie białych rosyjskich emigrantów. Posługiwał się panamskim paszportem wątpliwego pochodzenia - odwiedził wszystkie zakątki świata, zgłębiając wszędzie tajniki miejscowej kuchni. Właścicielem „La Cumparsity” został dzięki krótkiemu związkowi z pewną Austriaczką, która miała więcej pieniędzy niż rozumu. W restauracji prezentował całą zdobytą wiedzę kulinarną.

Swoje marzenia realizował w cichym zaułku osłoniętym drzewami od zgiełku ruchliwej Ósmej Południowozachodniej ulicy. Lokal odgrodził od parkingu ścianą sosen, do wejścia prowadziła tylko wąska, brukowana alejka. Wnętrze podzielił na dwie części o różnym charakterze.

Lewą stronę zajmował ciemny, dyskretny bar. Ciągnął się od drzwi do tylnej

ściany budynku. Korzystali z niego kochankowie i klienci, oczekujący na miejsce w restauracji.

Główna sala z dwunastoma stolikami stanowiła dumę Victora. Łączyła nastrój ekskluzywnego klubu z atmosferą obfitości i jakości. Na wzór francuski stały tu wiklinowe kosze z kolorowymi owocami i warzywami. Ich widok witał gości, wchodzących przez dębowe drzwi z małym szyldem z brązu.

W oszklonej chłodni na lewo leżały wielkie porcje wołowiny i baraniny, wisiały też kaczki. Victor podpatrzył to w Buenos Aires. W akwarium na prawo pływały świeże ryby i homary. Pomysł wziął się z Hongkongu. Uśmiechnięty szef kuchni w wysokiej czapce wyławiał siatką wskazane przez klientów okazy. Dla wyjątkowych gości robił to sam Victor. Akwarium kosztowało majątek, a utrzymanie przy życiu stworzeń morskich nie było łatwe, ale opłacało się.

187

Restauracja miała elegancki i subtelny wystrój: cynowe dzbany i puchary, angielskie kryształ, adamaszkowe obrusy; na stolikach srebrne świeczniki; wygodne, wyściełane krzesła z wikliny.

Victor potrafił genialnie wykorzystywać rośliny. Używał ich do celów dekoracyjnych oraz do zapewnienia klientom prywatności. Tego wieczoru odgrodził stolik w najdalszym kącie sali ścianą doniczkowych palm. Tutaj miał siedzieć Jose Bermudez.

Victor cenił sobie ogromnie jego życzliwość. Dzięki niej aprobowwała go cała kubańska elita. Bermudez przychodził czasami z rodziną lubił się pokazać. Stawiał szampana przyjaciółom lub brandy jakieś zakochanej parze. Kiedy indziej - jak dziś - wolał dyskrecję. Zarezerwował duży stolik, ale tylko dla dwóch osób. Wyjaśnił, że zaprosił zagraniczną osobistość, której przychylność może przynieść Miami miliony dolarów. Uprzejmie wysłuchał propozycji Victora, po czym zamówił to, co zwykle: cocktail z homarów, sałatkę palmową, potrawkę cielęcą w sosie śmietanowym oraz lafite bordeaux rocznik siedemdziesiąty i wodę mineralną. Potem ser danish bleu, angielskie biszkopty i gruszkę. Na koniec koniak courvoisier i kawę.

Victor rzucił okiem na listę sobotnich rezerwacji. Bez wątplenia jedynym VIP-em będzie Bermudez. Reszta to zwykli, stali goście. Z dwoma wyjątkami: niezbyt uprzejmy mężczyzna nazwiskiem Gomez prosił o stolik dla czterech osób, a bardzo miła se?ora Lara dla dwóch. Powiedziała, że lokal polecił jej meksykański dyplomata, który bywa tu raz na miesiąc z kochanką. Poprosiła o miejsce przy oknie. Załatwi się. Victor uśmiechnął się do smutnej ryby w akwarium i poszedł do kuchni, żeby przyjrzeć się nowemu pomy-waczowi. Chłopiec dopiero co przyjechał z Kuby. Jeszcze trochę nieśmiały, biedaczek. Jose Bermudez zastanawiał się, czy istnieje doskonała róża. Zamówił tuzin, żeby wybrać odpowiednią, ale nie znalazł idealnej. Każda miała jakąś drobną wadę. Musi zmienić kwiaciarnię. W końcu wziął możliwie najładniejszą i wpiął w klapę. Żółta ozdoba trochę rozweseliła ciemnoszary garnitur. Bankier uśmiechnął się z zadowoleniem do lustra w holu. Był gotów do eleganckiej

kolacji, która wreszcie, po latach pobytu w obcym kraju, pozwoli mu zrealizować plany.

Prawa rynku. Jak ci gringos uwielbiają o tym gadać. W szkołach biznesu, w bankach. Idiotas. Utoną jak bezbronne kocięta. Będą się kurczowo trzymać prywatnej przedsiębiorczości niczym ostatniej deski ratunku. Dumie. Nic nie rozumieją. Nawet po tym, co zrobili im Arabowie w swoich idiotycznych burnusach. Wolna konkurencja jest tak przestarzała, jak demokracja. Dwudziesty pierwszy wiek będzie erą karteli, nowych monopolii. Światem zawładną silni, dalekowzroczni i bezlitośni ludzie. Między innymi on, Jose 188

Bermudez. Zacznie już dziś, od kolacji ze steranym życiem kolumbijskim patriarchą.

Na razie musi się z nim liczyć. Starzec jest potężny, sprytny i niebezpieczny. Póki co trzeba go traktować jak równorzędnego partnera. Ale za rok lub dwa Bermudez stanie się silniejszy i pożre go. Potem wszystko potoczy się szybko niczym przewracające się domino. W ciągu pięciu lat zdobędzie wyłączność na dostawy kokainy do Stanów Zjednoczonych. Za pieniądze z narkotyków kupi sobie miejsce w amerykańskim senacie. A później, kto wie? W kraju wolnej przedsiębiorczości nie ma rzeczy niemożliwych. Bankier zobaczył w lustrze swój szeroki uśmiech.

Dziś Kolumbijczyk nie będzie mógł narzekać. Zgodnie z obietnicą Bermudez położył kres kokainowej rywalizacji w Miami. Sprawa była gładka jak skóra dziewczyn od kwiatów z andyjskiej doliny i gwałtowna niczym ich seks. Zginęło dość ludzi, by odstraszyć pozostałych. Starzec też dotrzymał słowa. Jeśli w Miami została jakaś kokaina, to tylko ze starych zapasów. Teraz należy jedynie ustalić nową cenę i uruchomić uzgodnione kanały przerzutowe.

Bermudez, podobnie jak stary człowiek, zamierzał trzymać się jak najdalej od handlowej strony przedsięwzięcia. Zwerbował grupkę młodych, wykształconych Kubańczyków, wystarczająco prężnych i spragnionych sukcesu, by sobie z tym poradzić. Zespół nowoczesnych menedżerów będzie słuchał głosu tajemniczego Ignazio. Bermudezowi pozostanie okazjonalne podejmowanie decyzji i krótkie wizyty w dyplomatycznych bankach w Panamie i na Bahamach.

Bermudez przystanął na moment na kolistym, żwirowym podjeździe. Z przyjemnością przesunął palcami po swoich inicjałach na drzwiach czekoladowego cadillaka seville. Uwielbiał ten samochód; dawał mu poczucie siły.

Przejechał do śródmieścia po starego człowieka. Po drodze przyszło mu do głowy, że monogram na aucie wygląda może trochę pretensjonalnie. To dobre dla nowobogackich. Każę go zamalować. Wkrótce taka autoreklama przestanie mu być potrzebna.

Mężczyzna z kalafiorowatym uchem pociągnął z butelki solidny łyk ciemnego rumu.

- Nie włożę tego - oświadczył. - Nie byłem tak ubrany od pogrzebu matki.
- Musisz, hermano - nalegał Wieśniak. - To eleganckie miejsce.
- Gównu mnie to obchodzi.
- Trzeba dobrze wypaść przed Kolumbijczykami. Mamy się nimi zająć, kiedy Ignazio będzie gadał z ich szefem. Potrzebuje nas tam.
- Al diablo con los colombianos.

189

- To teraz nasi kumple. Ignacio kazał nam porządnie wyglądać. Powtórzył to dwa razy. - Wieśniak wygładził swój brązowy, błyszczący garnitur. -Vamos.
- Mierda. Pokaż mi, jak się wiąże ten cholerny krawat.
- Wystarczy tego makijażu, Chris. Wyglądam jak prostytutka. -1 o to chodzi. Jeszcze trochę wokół oczu. I zdejmij rajstopy.
- Dlaczego?
- Bo przez rozcięcie w sukience widać, gdzie się kończą. To psuje cały efekt.
- Nadawałbyś się na alfonsa.
- Gdzie ten Pincus, do cholery?
- Nie ma go, kapitanie - odpowiedział głos w interkomie. - Dzwonił, że jest chory.

Gównu prawda, pomyślał ze złością Octavio Nelson. Cwaniaczek coś kombinuje. Na pewno z DEA.

- To ilu nas zostało?
- Jeśli pan też jedzie, to dziewięciu.
- Jasne, że jadę.

Za nic nie przepuszczę niespodzianki przygotowanej przez T. Christo-phera Meadowsa, uśmiechnął się w duchu Nelson. Zwłaszcza, że na pewno ma rację.

Od spotkania z Meadowsem minęły trzy dni. Nelson pracował prawie na okrągło. Udostępnił dwa rysunki architekta gliniarzom, kapusiom i kilku odważnym świadkom. Czuł, że za dzień lub dwa pozna nazwiska ludzi z portretów. A potem znajdzie i zgarbie sukinsynów.

Podobiznę Jose Bermudeza przechowywał jak najcenniejszy skarb. Nikomu jej nie pokazał. Początkowo nie wierzył, że bankier to Ignazio i el Jefe w jednej osobie. Znał luźno Bermudeza niemal od chwili, gdy obaj przybyli do Stanów. Podziwiał go. Żaden emigrant tak się nie wybił.

Tamtego wieczoru w Southland, w ciemnym wnętrzu wozu policyjnego, Nelson uznał, że Meadows się pomylił. Wskazał nie tego człowieka. Ale przez ostatnie trzy dni dowiedział się o bankierze tyle, że całkowicie zmienił zdanie. Gracze w domino powiedzieli mu, że Bermudez ma małe biuro na tyłach fabryczki cygar niedaleko banku. Było rzekomo miejscem konspiracyjnej działalności przeciwko reżimowi Castro. Detektyw domyślał się jednak, że bankier używa go do mniej patriotycznych celów.

Później przyjaciele w barrio poinformowali Nelsona, że Bermudez prowadzi interesy w Kolumbii. Detektyw natychmiast uświadomił sobie, że biura

190

banku Bermudeza sąsiadują z kancelarią prawniczą zabitego adwokata nazwiskiem Redbirt, który handlował kokainą.

Ale najwięcej Nelson zawdzięczał swojej żonie Angeli. To ona wygrzebała ze stosu starej prasy w pralni numer „Miami Journal” sprzed tygodnia. Gazeta donosiła o przesłuchaniach przed Senacką Komisją Bankowości.

Prowadzono dochodzenie w sprawie napływu pieniędzy ze sprzedaży narkotyków do banków południowej Florydy. Połowa bankierów z Miami pojechała do stolicy kraju, żeby bronić swych majątków i ratować własne tyłki. Jose Bermudez też się tam udał, by wyjaśnić pochodzenie dziewięćdziesięciu pięciu milionów dolarów w gotówce, które zasiliły jego bank w okresie zaledwie dwunastu miesięcy.

Rysunek Meadowsa wiązał wszystko razem. Im dłużej Nelson o tym myślał, tym wyraźniej dostrzegał, że jedno pasuje do drugiego. Kto może się lepiej zamaskować niż prominent? Oby tylko Meadows dotrzymał dziś obietnicy. Wystarczy, że Bermudez znajdzie się w tym samym miejscu, co tamci dwaj. Wtedy Nelson będzie miał pewność.

Detektyw dałby wiele, żeby się dowiedzieć, co planuje szalony architekt. Przy jego poszanowaniu dla prawa i porządku raczej nie posunie się do użycia przemocy. A może znów go zaskoczy? Nelson zastanowił się przez chwilę, czy mógłby zapewnić Meadowsowi skuteczną ochronę, gdyby ten spokojnie podszedł do bankiera i strzelił mu w głowę.

Sięgnął przez biurko do interkomu.

- Już prawie ósma. Ruszamy.

- Jesteśmy gotowi, kapitanie. Ale Reilly chce o coś zapytać. -Tak?

- Chodzi mi o tych ludzi w środku, na których mamy uważać. Skąd oni są? Dobre pytanie, pomyślał Nelson.

- Powiedzmy, że z zaprzyjaźnionych służb.

Doktor Harry Appel był już czternaście przecznic i osiem minut drogi od kostnicy, gdy przy jego pasku odezwał się pager. Udało mu się wyjść z pracy wcześniej, ale teraz nadzieje na udany sobotni wieczór prysły. Pogratulował sobie w duchu, że z nikim nie umówił się wiążąco. W tym zawodzie trudno przewidzieć, czy zdąży się na randkę.

Zawrócił ryzykownie przed płatnym wjazdem na trasę szybkiego ruchu do lotniska i po dziesięciu minutach znów znalazł się w biurze. Kiedy wkładał czysty fartuch laboratoryjny, pojawił się doktor Frank Cline.

- Przepraszam, że wezwałem cię z powrotem, Harry. Ale nie mogę sobie poradzić z jednym przypadkiem.

- Jest tylko jeden? Dzięki Bogu. Myślałem, że mamy kolejny kwartet. Może jednak wyjdę stąd o ludzkiej porze.

191

Appel sięgnął do szarki po tytoń do fajki. Cline dopiero dwa lata temu uzyskał specjalizację, ale Appel bardzo go cenił. Dobrzy patolodzy trafiali się coraz rzadziej.

- Przywieźli tego faceta z lotniska - opowiadał Cline, gdy schodzili do kostnicy. - Myśleli, że potrąciła go taksówka, ale to nie to.

- Żadnych obrażeń urazowych?

- Żadnych. - Cline otworzył przed szefem drzwi i przepuścił go. Potem podszedł za nim do stołu sekcyjnego. Obok siedział sztywno detektyw Wil-bur Pincus. Appel skinął mu przyjaźnie ręką.

- Chryste, Wil, co cię tu sprowadza? To jakiś VIP? Pincus nie odpowiedział. Miał twarz szarą jak popiół.

- Widział ten wypadek - wyjaśnił cicho Cline. - Nie bardzo chce o tym mówić. Zdaje się, że śledził tego gościa od samolotu. Appel pobieżnie obejrzał zwłoki, potem wziął formularz wypełniony przez kolegę.

- Roberto Justo Nelson - przeczytał głośno. - Adres wskazuje, że mieszkał na Hibiscus Island.

- Zgadza się - mruknął Pincus.

- Raport toksykologiczny jeszcze nie gotowy, Frank?

- Posłałem próbki godzinę temu. Laboratorium ma dziś kupę roboty.

- Pogoń ich trochę. Nie chcę trzymać tu Pincusa dłużej, niż to konieczne. Appel zauważył, że młody detektyw zachowuje spory dystans od ciała. Cline wyszedł do telefonu.

Appel zwrócił się do Pincusa.

- Ten facet to informator?

- Nie, brat Octavio Nelsona.

- Jasna cholera... - westchnął ciężko patolog i włożył do ust nie zapaloną fajkę. - Dlaczego go śledziłeś?

- Handlował koką.

- Nelson jest w to zamieszany?

- Chyba tak - odparł ponuro Pincus. - Zaistniały pewne dziwne okoliczności... Appel uniósł posiniąte ramiona Roberto i przyjrzał się żyłom.

- Gdzie jest Nelson? - Na obserwacji.

- Zawiadomiłeś go? Pincus zbladł.

- Jeszcze nie.

Appel znów westchnął i wciągnął lateksowe rękawiczki chirurgiczne. Wrócił Cline. Zameldował, że laboranci wzięli się wreszcie za próbki krwi. Appel zaczął badać narządy Roberto. Pincus odwrócił krzesło. Drewniane nogi zapiszczały na kaflach, jakby ktoś przejechał kredą po tablicy.

192

- Miał konwulsje, Wil?

- Tak. Jakby dostał ataku padaczki. Rzucił się i ślinał. Potem serce przestało bić. Próbowałem masażu klatki piersiowej dopóki nie przyjechała karetka. Ale na próżno.

- Przyleciał z zagranicy? - zapytał Appel, wyciągając niemal metrowe jelito.

- Tak. Z Kolumbii.

Appel zwrócił się do Cline'a:

- Spójrz na to, Frank. - Obaj mężczyźni pochylili się nad otwartą jamą brzuszną Roberto. Pincus wpatrywał się w glazurę na ścianie i powtarzał sobie w myślach przemowę do partnera. Zgromadził mnóstwo amunicji: fałszywy protokół holowania, podwiezienie brata do biura linii Avianca na lotnisku... Octavio będzie musiał wiele wyjaśnić. Niestety, nie istniał bezpośredni dowód jego udziału w nielegalnych interesach Roberto. Łączyły ich tylko więzy krwi. Pincus uważał, że to dużo. Ale ludzie z wydziału wewnętrznego mogą uznać, że to nic. A jeśli to od niego zażądają wytłumaczenia, dlaczego szpiegował kapitana? Niech tam, pomyślał. Zawsze ma jeszcze ostatnią broń: Aristidio Cruza. Młody, naiwny detektyw zdąży odpokutować za dawne grzechy. A jego spóźniona szczerłość może nawet zostać uznana za akt odwagi.

- W porządku. Wygląda na to, że mamy wszystkie - oznajmił w końcu Harry Appel.

- Nie do wiary... - westchnął Frank Cline.

- Łatwo je przeoczyć. Chyba że się wie, czego szukać. Appel podszedł do Pincusa ze stalową tacą.

- Oto winowajcy.

Detektyw przełknął z trudem i zmusił się do odwrócenia wzroku od ściany. Zobaczył kolorowe, napęczniałe woreczki. Były zakrwawione i mokre od płynów ustrojowych.

- Prezerwatywy - wyjaśnił Appel. - Siedemnaście sztuk. - Rozciął jedną skalpelem. Potem obrócił ją w dłoni i wydłubał ze środka szczyptę wilgotnej pasty o barwie kości słoniowej. Uniósł ją do światła. - Zgadnij, co to.

- Kokaina! - wykrzyknął Pincus.

- Owszem. Dla pewności sprawdzą to jeszcze nasi kochani laboranci. Część tego świństwa musiała dostać się do krwioobiegu Nelsona.

- To śmiertelne?

- W dużych ilościach, oczywiście. Mogą się zdarzyć różne rzeczy. Zazwyczaj wariuje mózg i przestaje wydawać płucom polecenia, żeby pracowały.

Następuje gwałtowna niewydolność oddechowa. Jeśli to gościa nie wykończy, to arytmia serca na pewno. Po prostu organizm ludzki nie jest stworzony do wchłonięcia tak silnego środka pobudzającego. To tak, jakbyś

13 - Kokainowe wydmy

193

włączył toster na sto dziesięć woltów do gniazdka na dwieście dwadzieścia. Spali się.

- Myślałem, że to był atak padaczki czy coś takiego - wyznał nieśmiało Cline.

-

- Taka śmierć to specjalność przemytników - odrzekł Appel. - Nie zdążył dotrzeć do domu i wydalić tego. Zabójcze zatwardzenie, Wil.

- Podejrzewałem, że coś przewozi - powiedział Pincus. - Poprosiłem celników na lotnisku, żeby zrobili mu rewizję osobistą.

- Szkoda, że nie lewatywę - odparł Appel. - A teraz lepiej zadzwoń do

swojego partnera.

- O, nie - zaprotestował Pincus. Jego twarz przypominała kolorem świeże zwłoki. - Nie ja, doktorze.

Victor z irytacją szarpał bródkę w stylu Van Dycka. Chłopiec drażnił się ? z nim. Albo ulegnie mu dzisiejszej nocy, albo wróci na ulicę.

Stary zegar wskazywał ośmą dwadzieścia pięć. Mała sala restauracyjna była prawie pełna. Brzęk kryształów i szmer głosów uspokoiły Victora.

Przynajmniej kolacja przebiega gładko.

Nie zamówiono jeszcze kilku głównych dań. Trzeba wepchnąć klientom pozostałe w akwarium ryby. Prawdopodobnie nie dożyją jutra. Cholerne bestie.

- Hej! - Okrzyk oburzył Victora jak przekleństwo w operze. Kilku gości uniosło głowy. Znów ten Gomez i jego towarzystwo. Victor nie wiedział, co to za ludzie, ale przysiągł sobie, że więcej ich tu nie wpuści. Czterech prostaków. Powinni zamiatać ulice, zamiast siedzieć w eleganckim lokalu. Zle dopasowane garnitury i spiczaste buty. Wyglądało na to, że dopiero się poznali. Po przyjściu krążyli wokół siebie niczym psy.

-Hej, grubasie!

Victor pospieszył do stolika.

- Słucham pana uprzejmie.

- Chcemy coś zjeść. Ale już. - Facet w przekrzywionym krawacie mówił okropnym, gardłowym hiszpańskim.

- Mogę zaproponować rybę z grilla w sosie maślanym z czosnkiem? Smakuje wybornie.

- Żadnych ryb - odparł ciemny mężczyzna z wąsami.

- Mamy też doskonałą cielęcinę.

- Nie. Podaj pan kurczaki. Arroz con polio. I dużo czarnej fasoli. Victor zastanowił się. Czy oni myślą, że są w taniej jadłodajni?

194

- Chyba możesz pan przyrządzić arroz con polio!

- To dość niezwykle zamówienie, ale oczywiście dostaną panowie to, czego sobie życzą.

- No to gra. Tylko pospiesz się pan, bo jesteśmy głodni. Victor odwrócił się, żeby odejść.

-1 więcej piwa - dorzucił Wąsaty.

- Dla mnie jeszcze jedną szkocką z kolą - odezwał się po raz pierwszy typ w błyszczącym brązowym garniturze.

- Służę panom - odrzekł Victor. Kalkulował, o ile zawyżyć ich rachunek, żeby nie doszło do awantury.

-1 dla tamtej pani to samo - facet wskazał piękną samotną Latiną przy stoliku pod oknem. Miała opiętą sukienkę z rozcięciem niemal do pasa.

- Ta dama czeka na męża - odparł lodowato Victor.

- Podaj jej drinka, grubasie.
- To mój deser - oświadczył Wieśniak, gdy Victor się oddalił.
- Ja zobaczyłem ją pierwszy - sprzeciwił się Wąsaty.
- Ale uśmiechnęła się do mnie - wtrącił się Kalafiorowate Ucho. -A co z jej mężem? - zapytał czwarty mężczyzna. Był chudy i nosił sygnet ze szmaragdem.
- Pieprzyć jej męża.
- Lepiej ją.

Wybuchnęli śmiechem. Victor zatrząsł się z gniewu.

Kiedy ubrany na czerwono kelner podał kobiecie whisky, podziękowała mężczyznom powłóczyłym uśmiechem i pożądliwie przesunęła językiem po pełnych, czerwonych wargach.

- Jest nasza - ucieszył się Wieśniak. - Podzielimy się nią.

Stary człowiek z wprawą zanurzył kawałek homara w gorącym maśle.

- Wspaniale, Ignazio. Naprawdę doskonałe. Muszę ci pogratulować.

- To dobry lokal. Szkoda, że nie zabrałeś żony.

- Może następnym razem.

- Wolaleś wziąć tamtych dwóch? - Bermudez wskazał salę za ścianą palm, skąd dochodziły śmiechy.

- Pepina i Alberto? Rzadko ruszam się bez nich. Trochę nieokrzesani, ale poczciwi.

Jasne, pomyślał bankier. Chcesz pokoju, szykuj się do wojny. Stary, przebiegły sukinsyn.

- Chyba dobrze się bawią w towarzystwie twoich ludzi.

- Na to wygląda.

- Powinni się lepiej poznać, żeby mieć do siebie szacunek. Zawodowcy z tej samej branży zawsze znajdują wspólny język, nie sądzisz?

195

- Oczywiście.

- A my, Ignazio? Kiedy wymienimy informacje?

- Jutro. Może przyjdiesz do banku o dziewiątej? Wszystko przygotowałem.

- Świetnie. Ja też mam coś dla ciebie.

- Obiecuję, że przez cały dzień nikt nam nie przeszkodzi. Stary człowiek uśmiechnął się lekko.

- A w jakiej sprawie mam jutro przyjść do banku, Ignazio?

- Przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć. Chcesz zbudować nowe zakłady tekstylne w Cartagenie, a my jesteśmy zainteresowani sfinansowaniem tego przedsięwzięcia. Papiery są gotowe i możemy podpisać umowę. Za dziesięć dni zerwiemy współpracę, bo nie dojdziemy do porozumienia w kwestii zastawu hipotecznego.

- Genialnie to wymyśliłeś, Ignazio.

Octavio Nelson dawno się tak nie denerwował. Ostatni raz tamtego popołudnia, gdy z przestrzelonym ramieniem kulił się przy skale i modlił, by patrol Ba-tisty zmęczyło prażące słońce. Swędziały go dłonie i czuł ucisk w

żołądka.

Wielki cadillac Seville Bermudeza stał na parkingu. Tylko tyle zobaczył w ciemności podczas pierwszego potajemnego rekonesansu. Ale co dzieje się w restauracji? Czy jest tam Meadows? Nelson nie widział, żeby wchodził. Kto jeszcze przebywa w środku? Co robią? Gdyby architekt zdradził mu choć część swego planu, posłałby do lokalu kogoś z ukrytym nadajnikiem.

Nelson ominął krąg światła padający z okna „La Cumparsity” i podkrał się wzdłuż lewej ściany do drzwi baru.

- Reilly, masz zegarek z sekundnikiem?

- Tak, kapitanie.

- Na pewno wiesz, co robić?

- Spokojnie, nie jestem głupi. Dokładnie minutę po waszym wejściu, ja i Bloom blokujemy te drzwi. Wypuszczamy tylko naszych, zgadza się?

- Ile osób?

-Trzy. Dwóch facetów i jedną laskę. Proszę się wyluzować, kapitanie. Przez pana tylko się denerwuję.

- W porządku, Reilly. Przepraszam.

Nelson wrócił przed główne wejście do restauracji, żeby czekać na sygnał od Meadowsa.

Jezu, oddałbym życie za cygaro, pomyślał.

- Zobaczcie, jaki popapwany czarnuch - uśmiechnął się krzywo Wieśniak.

Jego towarzysze odwrócili się w stronę drzwi.

196

W progu stał wielki Murzyn. Mierzył przeszło dwa metry. Na głowie miał ogromny, różowy kapelusz z szerokim rondem i strusim piórem, nosił garnitur i buty w identycznym kolorze. Na jego szerokiej piersi wisiał ciężki, złoty medalion. W restauracji zapadła cisza.

- Dobry wieczór wszystkim - odezwał się przybysz i ruszył do stolika przy oknie. Podszedł do samotnej Latiny, pocałował ją mocno w policzek i przesunął palcami po kolanach kobiety. Potem klapnął naprzeciw niej. Natychmiast podbiegł do niego Victor. Dziwny wieczór, pomyślał.

- Mój dobry człowieku... - zaczął nowy gość. - Poproszę o poncz w kolorze mojego garnituru i kawę w kolorze moich pięknych oczu.

Victorowi zakręciło się w głowie. Przy stoliku Gomeza napięcie sięgnęło zenitu. Dwaj mężczyźni w rogu sali nie zwracali na nic uwagi. Rozmawiali o interesach.

-Arthur! - syknęła Terry - Skąd wzięłeś te ciuchy?!

- Chris kazał mi się rzucać w oczy. Terry stłumiła chichot.

- Która godzina?

Arthur włączył wyświetlacz kwarcowego zegarka i zerknął na czerwone cyfry.

- Do startu zostało dokładnie pięć minut. Usiądź wygodnie i ciesz się jazdą.

- Denerwuję się.

- Czym? Kiedy Chris Meadows coś zaprojektuje, konstrukcja jest solidna.

Wszystko będzie dobrze, kochanie.

- Tamci faceci to zwierzęta, świnie.

Arthur spojrział na czterech mężczyzn. Patrzyli na niego wrogo. Uśmiechnął się i pomachał im ręką. Gest mógł oznaczać zarówno pozdrowienie, jak lekceważenie.

- Na boisku w college'u dawałem sobie radę z większymi mięśniakami. Nie tacy próbowali mnie zatrzymać. Wypij z mojej szklanki. To ich jeszcze bardziej wkurzy.

Victor miał ręce po łokcie zanurzone w sałacie, gdy zaskoczył go głos za plecami. Odwrócił się gwałtownie. Wokół poleciały dwie garście listków i kawałki świeżo pokrojonego ogórka.

- Przepraszam, nie chciałem pana przestraszyć - powiedział wysoki blondyn o chłodnych, zielonych oczach. Miał na sobie szarą roboczą koszulę z emblematem okręgu Dade na kieszeni.

- Kim pan jest? - warknął Victor. - Co pan tu robi?

- Nazywam się Kelly i jestem z wydziału budownictwa. Dostaliśmy telefon, że w pańskiej części tego budynku mogą wystąpić problemy ze strukturą

197

nośną. Podobno wygięła się jedna z belek stropowych. Pukałem kilka razy, ale nikt nie odpowiadał. A drzwi do kuchni były otwarte.

- Mam lokal pełen ludzi - odparł opryskliwie Victor. - Niech pan przyjdzie jutro po południu.

- Pan jest właścicielem? - zapytał inspektor.

- Oczywiście.

- Dziś rano ktoś z pańskiego personelu powiedział mojemu koledze, żeby przyjść wieczorem. Więc jestem. Nie będę przeszkadzał gościom i nie zabawię długo.

Victor wytarł ręce ścierką. Jakże znów problemy ze strukturą nośną? Nikt mu o tym słowem nie wspomniał.

- Panie inspektorze... - zaczął pojednawczo. - Może zje pan tu z nami kolację, wypije kieliszek dobrze schłodzonego wina i uzgodnimy bardziej odpowiedni termin?

- Proponuje mi pan łapówkę?

- Oczywiście, że nie - oburzył się Victor. - Ale mam zobowiązania wobec moich gości i inspekcja nie wchodzi dziś w rachubę.

- Jak pan chce, cwaniaczkę. Oświadczam, że budynek grozi zawaleniem i wydaję nakaz natychmiastowego zamknięcia lokalu.

-Ależ... ależ... - Victor zrozumiał, że musi ustąpić - prosię bardzo, niech pan sprawdza, co trzeba. Na pewno wszystko jest w porządku.

Chris Meadows potrząsnął głową jak przystało na zniecierpliwionego biurokrate, i pchnął uchylne drzwi prowadzące z kuchni na tyły sali. Skręcił ostro w lewo i odmierzył siedem kroków. Zgodnie z planami trafił do małej, męskiej toalety. Na szczęście pustej.

Zamknął się w jedynej kabinie i otworzył drogą, brązową teczkę z szyfrowymi zamkami. Wyjął z niej małą, plastikową torbę na pranie. Zdjął szarą koszulę i

wepchnął do torby.

Z teczki wyciągnął żółtą koszulkę z napisem „Brawo Ja” na piersi. Włożył ją na siebie i wsunął na nos lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Za pasek spodni wetknął chromowany rewolwer.

Sprawdził, czy w teczce niczego nie brakuje, po czym wytarł ją starannie wewnątrz i na zewnątrz papierem toaletowym. Torbę z koszulą ukrył w zbiorniku spłuczki. Potargał włosy i zerknął na zegarek. Już czas.

Położył rękę na klamce, gdy usłyszał, że ktoś wchodzi do toalety. Zaklął cicho i postanowił zaczekać.

Po trzydziestu sekundach zniecierpliwził się. Po minucie zaczął się wiercić. Po półtorzej nie wytrzymał. Ile można mieć płynu w pęcherzu? Jeśli dalej będzie czekał, aż tamten skończy oddawać mocz, runie cały misterny plan uzgodniony z Terry i Arthurem.

Wyszedł z kabiny i stanął twarzą w twarz z Kalafiorowatym Uchem.

Zabójca właśnie odwrócił się od pisuaru i manipulował przy suwaku spodni.

Jeszcze nie zdążył go podciągnąć. Na metr cuchnął piwem. Meadowsowi
198

wydawało się, że dostrzegł w przekrwionych oczach błysk. Czy tamten go poznał? Nie był pewien, ale wolał nie ryzykować.

Upuścił teczkę, wyszarpnął rewolwer i wbił lufę w krocze zabójcy. Kalafiorowate Ucho cofnął się odruchowo i zgiął z bólu.

- Na podłogę, macho - wycedził Meadows. - Albo już nigdy nie użyjesz tego narządu.

Oszołomiony facet osunął się na kolana. Meadows uderzył go ze złością w zdeformowane ucho. Zabójca krzyknął i upadł na brzuch.

Meadows odwrócił rewolwer i z taką siłą zdzielił go kolbą w skroń, że poczuł własny cios w ramieniu i szyi. Kalafiorowate Ucho znieruchomiał.

Nie żyje, czy tylko stracił przytomność? Nieważne. Meadows odzyskał równy oddech. Znowu zerknął na zegarek.

- Jeszcze nie, Arthur - szepnął błagalnie. - Wstrzymaj się kilka sekund.

Wetknął rewolwer za pasek i sprawdził w lustrze swój wygląd. Podniósł teczkę. Przekręcił zamek w drzwiach toalety, żeby zatrasnęły się za nim, po czym wszedł do sali restauracyjnej. Arthur go nie zawiódł.

Wszyscy patrzyli na czarnego olbrzyma. Stał przy stoliku pod oknem na szeroko rozstawionych nogach i gestykułował. Pawie pióro przy kapeluszu kołysało się. Był najwyraźniej na fali.

- Karczmarzu! - wołał donośnym barytonem. - Wino dla dziewic i napój miłosny dla damy mego serca!

W końcu sali Meadows znowu skręcił w lewo i nie zauważony przeszedł dziewięć kroków do stolika w rogu. Ominął zastonę z palm, usiadł i postawił teczkę obok krzesła.

- Sie masz, Ignazio - powiedział. - Przepraszam, że się spóźniłem, stary. Jeśli nie zostało już nic do żarcia, nie ma sprawy. Wystarczy mi coś do picia.

Jose Bermudez zamarł z otwartymi ustami i widelcem z kawałkiem cielęciny

w powietrzu. Trwał tak przez dłuższą chwilę.

- Pan wybaczy, ale to jakaś pomyłka - odezwał się w końcu. Meadows sięgnął przez stół do srebrnej tacy i urwał kawałek bagietki.

- Pomyłka? Żarty sobie robisz? - parsknął, plując okruchami.

- Kto to? - zapytał po hiszpańsku Kolumbijczyk.

- Nie wiem. Meadows roześmiał się.

- Jak to, nie wiesz? Daj spokój, Jose... to znaczy Ignazio; wybacz, wymknęło mi się. - Jednym haustem wypił wino bankiera. Bermudez zbladł.

- Niech pan natychmiast zostawi nas w spokoju... - zażądał - albo wezwę policję.

- Policję? Dobry numer. Co z wami, panowie? - Meadows przesunął okulary na czubek głowy. - Przyniosłem towar i chcę dostać forszę. Proste, nie?

199

- Ja wychodzę - oświadczył Kolumbijczyk i wytarł usta haftowaną serwetką. Bermudez nie wiedział, co robić.

- Zaczekaj, proszę cię. To pomyłka.

- Pomyłką było to, że tu przyszedłem - odparł stary człowiek i zaczął wstawać od stolika. - Jesteś tak głupi, jak ci chciwi kowboje, którzy dla ciebie pracują. Bankier zmroził Meadowsa wzrokiem.

- Zapłacisz mi za to głową. - Klasnął dwukrotnie.

- Violeta! - zawołał stary Kolumbijczyk.

Oba wezwania utonęły w nagłym zgiełku. Przy stoliku pod oknem wybuchła awantura.

- Suka! - ryknął czarny olbrzym. - Ayuda! Socorro! - wrzasnęła Latina.

- Cholerna dziwka! - Policía!

Na oczach wszystkich Murzyn dusił Latynoskę. Kelner upuścił płonące naleśniki. Gruba kobieta krzyczała. Kubański biznesmen w średnim wieku pospieszył z pomocą. Trzej zabójcy zerwali się z miejsc, przewrócili stolik i rzucili się na ratunek. Nie usłyszeli swoich szefów.

Na zewnątrz, ukryty za rozłożystą palmą Nelson wpatrywał się z napięciem w restaurację. Nagle obok pojawił się jeden z jego detektywów.

- Wzywają pana pilnie przez radio, kapitanie. Nelson nie odrywał wzroku od lokalu.

- Nie teraz. Jestem zajęty.

- Chodzi o pańskiego brata i detektywa Pincusa. Podobno to bardzo ważne. Nelson stłumił jęk. Ci dwaj obchodzili go w tej chwili najmniej.

- Posłuchaj, Mike... - mruknął ze złością. - Wrócisz do wozu i powiesz centrali, że mnie nie znalazłeś, jasne? A potem wyłączysz to zakichane radio.

- Tak jest, kapitanie.

W „La Cumparsita” Terry wiała się bezradnie w stalowym uścisku Arthura. Nagle olbrzym przestał groźnie mamrotać.

- Będą tu za sekundę - szepnął. - Zrób to teraz. Nie mamy już czasu.

Rozluźnił chwyt. Terry poleciała do tyłu i wpadła na frontowe okno.

Przycisnęła otwartą dłoń do szyby, zwinęła w pięść i rozprostowała.

Octavio Nelson odebrał sygnał. Z wrażenia zapomniał angielskiego.

- Vamos! - krzyknął. - Vamos!

Arthur delikatnie popychał Terry do frontowych drzwi. Pierwszego napastnika stuknął łokciem w podbródek. Drugiego zwał z nóg kopniakiem różowego buta. Szczyrzył zęby jak wariat. Dziecinna zabawa. Żadnego porządnego obrońcy w tej drużynie.

Victor był bliski apopleksji. Musi wezwać pomoc. Rujnują go. Skierował swe wielkie cielsko do telefonu przy drzwiach. Słabo widział przez łzy

200

rozpaczy, i po drodze wpadł na akwarium. Runęło pod nim na miękki, beżowy dywan.

Meadows udawał, że nie docierają do niego odgłosy zamieszania.

- Posłuchaj, Ignazio. Nie wiem, co jest grane, ale chciałeś towar, więc go przyniosłem. Spodziewam się, że w poniedziałek z samego rana przelejesz na moje konto tyle, ile mi się należy. Jak zawsze. Potem ewentualnie pogadamy o następnej dostawie. Ta knajpa przestaje mi się podobać.

Rzucił na stolik drogą brązową teczkę i wstał.

Wyglądała identycznie jak ta, z którą Bermudez co rano chodził do pracy.

Pod rączką miała nawet momogram JLB. Arthur wynalazł ją w sklepie z importowaną galanterią skórzaną w Southland Mail.

Bankier i stary Kolumbijczyk patrzyli na nią w osłupieniu. Meadows popchnął ją dalej. Teczka potrafiła karafkę z winem i dotknęła piersi Bermudeza. Ten chwycił ją wściekle, i w tym momencie do stolika podszedł Octavio Nelson.

- Buenas noches, se?ores - przywitał się cicho.

30

Prowadziła Terry. Arthur siedział obok i rechotał. Na tylnym siedzeniu Meadows zmieniał krzykliwą koszulkę na niebieski, bawełniany pulower.

- Nie zapomnij stanąć przy budce telefonicznej - powiedział.

- Jeszcze ci mało? - uśmiechnęła się. Pomyślała, że chyba do końca życia będzie pamiętała widok grubasa przewracającego się razem z akwarium.

- Ciasto jest dobre, ale brakuje mu trochę lukru. Meadows przygotował ćwierćdolarówkę i wybrał numer.

- „Miami Journal”, dział miejski.

- Z Clarą Jackson proszę.

- Łączę. - Po trzech sygnałach odezwał się znajomy głos.

- Clara? Mówi twój zaprzyjaźniony informator. Nelson z wydziału narkotyków właśnie robi nalot na restaurację „La Cumparsita” przy Siódmej Południowozachodniej. Jeśli masz pod ręką fotografa, jeszcze zdążysz.

Meadows wyłączył się. Może trochę przesadził. Może Nelson rozegra to ucziwie. Ale wolał się zabezpieczyć.

- Cholera! - wykrzyknął Arthur. - Nie miałem takiej radochy od czasu, kiedy dołożyliśmy „Notre Dame”.

- Trafiłeś na kiepskich zawodników - odrzekł Meadows. Był wykończony.

- Fakt, zostało mi sześć sekund - przyznał Arthur. - W strefie końcowej. Dwie

zielone koszule trzymały się mnie jak ryby-piloty.

201

- Kiedy otworzą teczkę, Chris? - zapytała Terry.

- Niedługo. Zabiorą ją do komendy. Oczywiście Bermudez wszystkiemu zaprzeczy, ale daliśmy Nelsonowi kilka haków na niego.

Teczkę przygotowali bardzo starannie i przebiegle. Pod podszewką ukryli dwie kartki zapisane na anonimowej maszynie firmy IBM.

Jedna zawierała imiona i nazwiska, które Meadows poznał: Manny, Moe, Alonzo, McRae... Brakowało tylko Parti Atchison. Druga była listą ostatnich ofiar kokainowej przemocy. Widniało na niej kilka pozycji; każda przekreślona czarną linią.

W zapinanej na suwak przegródce znalazł się odręczny list po hiszpańsku do Queridissimo Josecito od pewnej seksowanej damy imieniem Carmen, która mogła być tylko jego kochanką. Kiedy Meadows pierwszy raz go przeczytał, podniecił się jak diabli.

- To jakieś fantazje - mruknął. Terry uśmiechnęła się podejrzanie.

- Żadne fantazje, querido. To historia.

Meadows włożył do teczki książkę Bankowość lat osiemdziesiątych. Wyciął brzytwą kwadrat we wszystkich czterystu dziesięciu kartkach i umieścił tam paczkę skradzionej koki.

Na końcu dołożyli jeszcze rachunek za dwanaście złotych róż. Arthur nalegał. Nelson istotnie zabrał teczkę na posterunek, ale nie otworzył jej przez dwie godziny. Najpierw musiał załatwić zwolnienie trzech Kolumbijczyków.

Okazało się, że papiery mają w porządku. Władze imigracyjne nie interesowały się nimi, więc ich wypuścił. Nie mógł im nic zarzucić. Dwóch Kubań-czyków chwilowo zatrzymał.

Wstrząśnięty Jose Bermudez wracał z restauracji do domu swoim cadillakiem Seville. Nie rozumiał, jak mogło dojść do katastrofy. Jechał na kolację w nastroju zwycięzcy, a wyszedł z „La Cumparsity” jako pokonany.

Nie ma mowy, żeby teraz odzyskał zaufanie podejrzliwych Kolumbijczyków. Na pewno myślą że wciągnął ich w pułapkę. Tyle, że wpadł w nią razem z nimi. Kto ją zastawił?

Nie policja. Octavio Nelson przeprosił go serdecznie i obiecał, że znajdzie młodego Anglo w żółtej koszulce.

Jednak byłoby lepiej, gdyby detektyw nie obejmował go włochatą łapą na parking, gdy zabierano trzech skutych Kolumbijczyków. Widzieli to. Głupio wyszło.

Bankier zastanawiał się, czy nie powinien był pojechać na posterunek ze starym człowiekiem. Zostać z nim, żeby pokazać, że nie maczał w tym palców. Nie, to zaszkodziłoby jego wizerunkowi. I tak dość się namęczy z reporterami.

202

Kiedy podjeżdżał pod dom, postanowił zainstalować w domu lepszy system

alarmowy i wynająć godnych zaufania ochroniarzy.

Octavio Nelson nie był dobry w otwieraniu zamków. Z teczką uporał się dopiero o jedenastej wieczorem, używając śrubokręta, który znalazł w policyjnej szafce. Usiadł w szatni na szarej ławce i zaczął oglądać zawartość.

- Dobra robota, amigo - mruknął z krzywym uśmiechem. - Ale mój sposób jest lepszy.

Usłyszał kroki i zatrzasnął teczkę. Zza rogu wyszedł Wilbur Pincus i stanął jak wryty. Popatrzył na Nelsona zaczerwienionymi oczami.

- Nareszcie cię znalazłem - powiedział ochryple. - Mam złe wieści.

Następnego ranka, gdy Meadows jeszcze spał, Terry siedziała po turec-ku w nogach łóżka i przeglądała „Miami Journal”. Artykuł Clary Jackson wypatrzyła na czwartej stronie w wiadomościach lokalnych. Tytuł brzmiał: „Koka i Kolumbijczycy w rękach policji”.

Detektywi z wydziału narkotyków dokonali w sobotę wieczorem nalotu na popularną restaurację „La Cumparsita” w Małej Hawanie.

Korzystając ze wskazówek informatora, dziewięciu agentów krótko po dwudziestej wtargnęło do lokalu przy Ósmej Południowozachodniej. Rzecznik prasowy policji Jim McWilliams ujawnił, że przechwycono czterysta gramów wysokogatunkowej kokainy. Narkotyk znajdował się w brązowej tezcze.

Zatrzymano dwóch Kubano-Amerykanów i trzech Kolumbijczyków.

Obcokrajowców przekazano Urzędowi Imigracyjnemu, który odmówił ujawnienia ich nazwisk.

Kubańczykom postawiono zarzuty posiadania niedozwolonej substancji i nie zarejestrowanej broni palnej oraz stawiania czynnego oporu przy aresztowaniu. Według rzecznika policji obaj oskarżeni podali się za Juana Fernandezę.

W zajęciu uczestniczył znany emigracyjny bankier narodowości kubańskiej Jose Bermudez. Po krótkim przesłuchaniu został zwolniony.

Po powrocie do domu oświadczył naszemu reporterowi, że jadł kolację w towarzystwie przyjaciela, gdy do lokalu wpadła policja. - Nie wiedziałem, co się dzieje - powiedział. - Chyba po prostu znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Detektywi spisali się doskonale - dodał.

-Szybko dokonali aresztowań i nikt nie ucierpiał. Należą się im słowa uznania. Nie udało nam się dotrzeć do właściciela restauracji Victora Volstoka, by usłyszeć jego komentarz.

203

Terry wściekła się tak, że obudziła Meadowsa.

- Puścili go! - wrzasnęła. - Ten sukinsyn Nelson nie zgarnął go! Hijo de puta!

Meadows wziął gazetę. Nie wyglądał na zaskoczonego. Zadzwoił telefon.

Sięgnął przez łóżko po słuchawkę.

- Wykiwali nas, bracie - powiedział Arthur.

- Właśnie o tym czytam - odrzekł Meadows.

- Ten twój kumpel gliniarz to palant.

- Wyluzuj, człowieku.

- Bermudez dał mu w łapę - wtrąciła się Terry. - Otworzył portfel i Nelson pękł.

Meadows położył palec na ustach. Zaczerwieniła się i zamilkła. -1 co teraz? - zapytał Arthur. Meadows uśmiechnął się pod nosem.

- Nie wiem. Zagramy potem w szachy?

31

Cztery dni później na małym wzniesieniu nad sztucznym jeziorem pojawił się otwarty grób. Był pierwszą mogiłą na nowym cmentarzu katolickim na obrzeżach Everglades. Odpowiednie miejsce wiecznego spoczynku dla tak ważnego człowieka, jak Jose Bermudez.

Przyszło wielu żałobników. Biznesmeni i przywódcy miejscowej społeczności. Urzędnicy i robotnicy. Jeden kongresmen i burmistrz. Nabożeństwo żałobne odprawił biskup. Zjawilo się mnóstwo Kubańczyków i prawie tyle samo Anglo, bo dynamiczny mężczyzna leżący teraz w dębowej trumnie przerzucił most nad przepaścią między dwiema narodowościami w Miami.

Ludzie kładli wieńce, odmawiali modlitwy, ronili łzy i odjeżdżali. W końcu zostali tylko trzej starcy. Było samo południe, ale stali w palącym słońcu z gołymi głowami.

- Taki młody, taki młody... Que descanse en paz - mamrotał Pedro i załamywał kościste ręce pociemniałe po sześćdziesięciu latach zwijania cygar. Jakby stracił syna.

- Dziwne są wyroki boskie - parsknął Raul. Jak zwykle, najmądrzejszy okazał się Jesus.

- Opłakując go, należy rozumieć pewne sprawy - odezwał się cicho.

- Co masz na myśli? - zapytał Raul.

- To nie był wypadek. Takie rzeczy nie zdarzają się tak ostrożnym ludziom, jak on. A czy nasza fabryczka przypadkiem spłonęła trzy dni wcześniej? Jeśli tak uważacie, jesteście głupcami.

204

Zapadło długie milczenie. Na sztucznym jeziorze z hałasem wylądowała dzika kaczka.

Raul wpatrywał się w świeżo wykopaną ziemię. Pedro nagle opuścił ramiona. Dotarła do niego straszna prawda.

- Castro! - wyrzucił z siebie Raul.

- Comunistas de mierda - szepnął Pedro. Jesus ponuro skinął głową.

Poczłapał na krawędź grobu i sięgnął do kieszeni. Wszyscy trzej wyprężyli się, gdy drżącymi rękami upuścił na trumnę papierową flagę.

- Murio por Cuba - zaintonował uroczyście Jesus. Zginął za Kubę. Starzy mężczyźni zaszlochali.

Epilog

Nie szarp tak, bo wyrwiesz mu to z pyska - doradził Meadows. - Carajo - mruknął Octavio Nelson - Bez obaw. Wiem, jak się łowi, tylko trochę wyszedłem z wprawy.

Meadows obserwował jego zmagania z kapitańskiego siedzenia seacrafta. Był piękny, jesienny dzień. Dryfowali na północ wzdłuż Prądu Zatokowego, gdzie łańcuch wodorostów obiecywał delfiny. Meadows czuł się wspaniale.

- Mierda. Straciłem go.

Nelson wetknął wędkę w uchwyt na dziobie i wyjął z chłodziarki nową puszkę piwa.

- Dlaczego nie łowisz? Meadows wzruszył ramionami.

- Po co mam się męczyć, skoro ktoś chce mnie wyręczyć? Nelson wypił solidny łyk.

- Wiesz co, amigo? Cwaniak z ciebie. Dużo o tobie myślałem. - Znów przyłożył puszkę do ust. - Wykołowałeś mnie. To całe cholerne gadanie o prawie, porządku i sprawiedliwości było zmyłką.

- Tak uważasz? - zdziwił się Meadows.

- Chciałeś wbić klin między Bermudeza i Kolumbijczyków, zgadza się? Nie obchodziło cię to, czy go zaaresztuję. Ani teczka. Podparłeś się nią tylko. Jak mną.

Meadows popatrzył na morze. Wyciągnął jedną z wędek i wycelował w linię wodorostów.

Nelson zapalił cygaro.

- Uważaj z zapalką - ostrzegł Meadows. - W łodzi jest benzyna. Nelson zachichotał.

- Szkoda, że nie widziałeś tego starego na posterunku.

206

- Kolumbijczyka?

- Mhm. Potraktowaliśmy go bez żadnej taryfy ulgowej. Rewizja osobista i tak dalej. Cały czas rozglądał się za swoim przyjacielem Bermudezem. Nie rozumiał, dlaczego nie zgarnęliśmy bankiera. O mało nas nie pogryzł.

- Tam jest ryba. Spróbuj na żywą krewetkę.

Nelson zignorował radę. Wskazał cygarem białą latarnię morską na horyzoncie.

- Fowey Rocks? Meadows zmrużył oczy.

- Chyba tak.

- Tam znaleźli ciało.

- W koszuli i krawacie? - upewnił się Meadows.

- Tak. Katastrofa motorówki.

- Gazety pisały, że wypłynął z Crandon z dwoma facetami. Nelson wzruszył ramionami.

- Tak oświadczył kapitan portu.

- Są jakieś inne ślady?

Nelson wydał wargi i wypuścił na wiatr niebieski dym.

- Nie zajmuję się wypadkami na wodzie.

Meadows pokręcił kołowrotkiem i odpowiednio naprężył linkę.

- Nie było mnie wtedy w mieście. Arthur zbierał wycinki prasowe. -A ja byłem na pogrzebie brata.

Bryza zamarła. Po raz ostatni rozmawiali o Jose Bermudezie. Meadows wyciągnął przynętę. Mała, błękitna rybka nie żyła. Została rozerwana na pół. Wystawały z niej fioletowe wnętrzności.

- Cholerne barakudy - zaklął Nelson.

- Albo rekiny - odrzekł Meadows i oczyścił haczyk. - To prawda, co o nich mówią żrą prawie wszystko. A jak zranisz jednego, reszta stada zje go żywcem. Widziałem to na własne oczy.

- Ja to widzę codziennie - odparł Nelson.

Meadows założył nową przynętę; tym razem wyżej. Zamachnął się i zarzucił ją jak najdalej mógł. Rybka wylądowała z cichym pluskiem. Głodna mewa z wrzaskiem zatoczyła krąg.

- Jak poszło przesłuchanie w wydziale wewnętrznym?

- Bez problemu - odpowiedział Nelson.

Trwało zaledwie godzinę. Pincus czytał pewnym głosem ze swojego niebieskiego notesu. Niesamowity facet; zawodowy stenograf. Zapisał dosłownie wszystko. Nelson nie mógł wyjść z podziwu. Ale żeby wyciągać sprawę Aristidio Cruza? Cristo! Pincus ma jaja jak słoń, to pewne.

Oficer z wydziału wewnętrznego był starym kumplem Nelsona z akademii policyjnej. Słuchał Pincusa przez dwadzieścia minut. Potem kazał mu usiąść i wylewnie podziękował.

207

- Twoja kolej, Octavio.

- Roberto był wprawdzie moim bratem, kapitanie, ale zupełnie nie wiedziałem, czym się zajmuje. Holowanie jego samochodu potraktowałem jako przysługę. Pokryję wszystkie koszty. Podwoziłem go na lotnisko, bo mnie poprosił. Nie ma tu co wyjaśniać. A sprawy tego Cruza nawet nie pamiętam.

Przesłuchujący skinął głową. Po kilku minutach powiedział.

- Dziękuję panom. Nie widzę podstaw do wszczęcia postępowania. Skarga zostaje oddalona.

Wilbur Pincus dogonił Nelsona w połowie korytarza.

- Przepraszam. Przykro mi z powodu twojego brata. Wysłałem kwiaty...

- To ładnie z twojej strony... - przerwał mu Nelson - ale powinieneś być przyjąć na pogrzeb. Twój przyjaciel, pan Cruz, zjawił się na cmentarzu.

Pincus na moment zaniemówił.

- Jak to? Skąd znał Roberto?

- Interesy, amigo.

Wędka Nelsona wygięła się. Poderwał ją i wyciągnął małą rybę.

- Jeszcze kilka i mamy kolację - ucieszył się.

- Więc Pincus odchodzi?

- Żartujesz? Wyrasta na gwiazdę. Dostał nowego partnera i pierwszą dużą sprawę. Twoich dwóch Kubańczyków z restauracji. Tego z rozpieprzonym uchem i jego kolesia.

- Tych z moich rysunków?
- Zgadza się. Nazywają się Contreras i Losada. Pincus dobrze się spisał; już po nich. Myślałem, że ci mówiłem.
- Nie - zaprzeczył Meadows. - O co są oskarżeni?
- O morderstwo.
- Kogo zabili?
- Twojego starego znajomego. Mono.
- Powiedziałeś mi kiedyś, że sprawa jest zamknięta.
- Bo była - przyznał z pirackim uśmiechem Nelson. - Dopóki w bagażniku continentala Losady nie znalazł się tamten nóż. Przeszukałem całe lotnisko i nic. A Pincus postarał się o nakaz i sprawdził w samochodzie. No i proszę: jest! Laboratorium twierdzi, że to na sto procent narzędzie zbrodni. Meadows delikatnie uniósł wędkę. Koniec zadrgał. Rybka-przynęta wciąż żyła i rzucała się na haczyku.
- Dobra robota - pochwalił i sięgnął do kieszeni Nelsona po kubańskie cygaro.